

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/235

1967



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

GEORGE J. FLEMMING JEDZIE NA ZACHÓD

H. SCHOENFELD :

ZAWIŁOŚCI I UPROSZCZENIA

M. HŁASKO :

LIST Z AMERYKI

L. TYRMAND : Z NOTATNIKA DYLETANTA

SPIS RZECZY

Od Redakcji:	<i>Dwadzieścia lat</i>	3
—	<i>Nagrody literackie „Kultury”</i>	5
Adam Pragier:	<i>Moja ocena „Kultury”</i>	6



Aleksander Hertz:	<i>Ideologia: treść i zakres</i>	9
Henryk Schoenfeld:	<i>Zawiłości i uproszczenia</i>	33
Józef Czapski:	<i>O Niemcach</i>	47
Michał K. Pawlikowski:	<i>Stanisław Mackiewicz w listach do przyjaciela</i>	65
Marek Hłasko:	<i>List z Ameryki</i>	77

W I E R S Z E

Kazimierz Wierzyński:	<i>Poezja</i>	93
” ”	<i>Pieta</i>	94
” ”	<i>Powiedziane szeptem</i>	95
” ”	<i>Z myślą o Albercie Camus</i>	96
” ”	<i>Itła</i>	97
” ”	<i>Nie lękaj się</i>	98

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Refleksje rewolucyjne</i>	99
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	107

K R A J

George J. Flemming:	<i>Flemming jedzie na Zachód</i>	111
Leopold Tyrmand:	<i>Z notatnika dyletanta</i>	113

DOKUMENTY

Amb. Eugenio Reale:	<i>Dwa raporty</i>	129
---------------------	--------------------------	-----



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	142
------------	----------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Paweł Zdziechowski:	<i>Paskudny zawód re-writera</i>	150
Benedykt Heydenkorn:	<i>Wystawa E. Koniuszego</i>	157
—	<i>Siniawski i Daniel w Izraelu</i>	159
—	<i>Komunikat Uniw. Jagiellońskiego</i>	159

K S I A Ź K I

Maria Danilewiczowa:	<i>Uwagi o pasjonującej książce</i>	160
Florian Śmieja:	<i>Polska historia literatury hiszpańskiej</i> ..	163
Magdalena Czajkowska:	<i>Owady w bursztynie</i>	167
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	173



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	174
--------------	----------------------------	-----



Z. Markiewicz:	<i>List do Redakcji</i>	175
----------------	-------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj — Mai

1967

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Prof. Bogdan Mieczkowski, Ithaca, N.Y. (USA), po raz drugi ..	F. 73,50
T. Jagniński, Montreal, Que (Kanada)	F. 9,00
A. Ragauskas, Chicago, Ill. (USA)	F. 24,50
J. Kołodziej, S. K. Jandzis, F. Ogonowski, M. Dziedzina, Z. P. Kozieł, A. Pietrzak i J. Talaśka, Melbourne, Vic. (Australia) zamiast kwiatów na groby poległych żołnierzy, w 25-tą rocznicę powstania 3 Dywizji Strzelców Karpackich (3. V. 1942) ..	F. 38,00

DZIĘKUJEMY!



W związku z dużym opóźnieniem w doręczeniu marcowej „Kultury” naszym czytelnikom w Stanach Zjednoczonych otrzymaliśmy wiele reklamacji jak również zapytania ile kosztuje dopłata do prenumeraty przy wysyłce pocztą lotniczą.

Przede wszystkim przepraszając naszych prenumeratorów za spóźnienie *powstałe nie z naszej winy*, gdyż „Kultura” odeszła z Paryża normalnie, zawiadamiamy że złożyliśmy reklamację na naszej poczcie jak również na poczcie amerykańskiej i że we Francji zostało w tej sprawie wszczęte dochodzenie. Jeśli idzie o dopłatę lotniczą to wynosi ona od pojedynczego zeszytu „Kultury” F. 2,45 czyli 0,55 dol., oraz zeszytu podwójnego F. 3,50 czyli 0,75 dol. Roczna dopłata do prenumeraty wynosi *dol. 5,90*. (Taka sama opłata lotnicza jest przy wysyłce „Kultury” do Kanady i Meksyku).

REDAKCJA

Dwadzieścia lat

W czerwcu upłynie dwadzieścia lat od pojawienia się w Rzymie pierwszego numeru naszego pisma. Tylko pierwszy numer jego ukazał się we Włoszech, pomyślany zrazu jako kwartalnik. W tymże roku *Kultura* przeniosła się do Francji, zmieniła format i wychodzi odtąd jako miesięcznik.

Dwieście trzydzieści pięć numerów, sześć numerów specjalnych, przeszło sto czterdzieści cztery książki i jedenaście *Zeszytów historycznych* — taki jest bilans dwudziestolecia. Podsumowując otrzymamy przeszło siedemdziesiąt tysięcy stron druku. Wartość słowa drukowanego nie mierzy się ilością stron, ale na uwagę zasługuje, być może, fakt, że potrzebna do tego wyniku żmudna praca redakcji i administracji była dziełem tylko kilku osób.

Dwudziestolecie *Kultury* nie jest jedynie jubileuszem wewnętrznym wydawnictwa. Myśli nasze zwracają się w tej chwili ku pisarzom, którzy z nami współpracowali oraz ku czytelnikom, którzy w różnej formie nie szczędzili nam poparcia i zachęty. W tym i następnym roku wielu z nich obchodzić będzie dwudziestolecie abonowania *Kultury*. Im przede wszystkim chcielibyśmy powiedzieć, jak bardzo cenimy sobie stałość ich zaufania do naszego pisma.

Zyczliwe zainteresowanie, jakim emigranci otoczyli swoje czasopismo, zwraca uwagę swoich i obcych. Na Zachodzie lata powojenne były okresem pomoru wydawnictw periodycznych. Wiele starych i sławnych miesięczników przestało wychodzić. Wśród pozostałych przy życiu nieliczne tylko przewyższają nakładem emigracyjną *Kulturę*. Głos jej nie da się więcej pominąć milczeniem. *Kultura* czytana jest uważnie w kraju, na emigracji i przez cudzoziemców interesujących się sprawami Europy

Wschodniej. Miejsce, jakie zdobyła sobie *Kultura*, jest wspólnym dziełem wydawnictwa i jego czytelników, im też składamy dziś serdeczne gratulacje.

Emigracja składa się z tysięcy indywidualistów, których głosy łatwo rozpraszają się w zgiełku codziennych wypadków. Posiadanie ogólnie znanego czasopisma nie pozwala zapomnieć o jej istnieniu, ani o reprezentowanych przez nią interesach ogólnych. Mamy nadzieję, że świadomość roli, przypadającej w warunkach emigracyjnych prasie, zjedna nam nowych czytelników i abonentów.

W ciągu ubiegłego dwudziestolecia na łamach naszego pisma skryształizowała się pewna myśl polityczna. W dziedzinie tej usiłowaliśmy połączyć niezależność myślenia z największą trzeźwością w ocenie faktów i sytuacji. *Kultura* pierwsza bodaj uznała nowy porządek rzeczy, wytworzony w Polsce po ostatniej wojnie, za częściowo nieodwracalny wynik konfiguracji międzynarodowej. Sądziliśmy, że jakiekolwiek zmiany mogły być wyłącznie dziełem kraju, stymulowanym, ewentualnie inspirowanym z zagranicy. Rok 1956 potwierdził to przekonanie. Wkrótce po polskim Październiku pisaliśmy: „W naszym rozpoznaniu żywe siły narodu reprezentowane są przede wszystkim przez młode, odepchnięte pokolenie, które w oparciu o socjalizm dążyło do rzetelnej, demokratycznej przebudowy Polski Ludowej. Myśl niepodległościowa wiąże się w kraju z rewolucyjnym rewizjonizmem. Ugrupowania prawicowe są antyrewolucyjne, politycznie konformistyczne, lojalistyczne, grzęznące coraz głębiej w wielopolszczyźnie”. Diagnoza była wtedy i jest nadal trafna, z jedną wszakże poprawką. Ówczesne mianowicie pokolenie trzydziestolatków stało się obecnie, z nielicznymi wyjątkami, pokoleniem „zmęczonych bohaterów”, i miejsce jego zajęli młodszy, którzy w okresie październikowym byli uczniami gimnazjów i przedszkoli. Dopóki istnieje ta rotacja, *Kulturze* nie grozi wyobcowanie z kraju. Ukryta, podskórna „rewolucja permanentna” jest upiorem, straszącym dziś dla odmiany w krajach komunistycznych.

Rok 1956 był jednak także rokiem lekcji węgierskiej. Dla większości środkowo-wschodnich Europejczyków mit polityczny Zachodu runął w Budapeszcie, w kilka dni po runięciu pomnika Stalina. Sojuszników należało odtąd szukać przede wszystkim w samej Rosji. *Kultura* śledzi najpilniej wszelkie przejawy niezależności czy buntu wśród młodej inteligencji rosyjskiej.

Tak pomyślana publicystyka polskiego miesięcznika emigracyjnego wywołuje oczywiście szczególną irytację w Warszawie i w Moskwie. Emigranci są nieszkodliwi gdy upierają się przy swych złudzeniach i przestarzałych schematach myślowych, gdy trwają bez ruchu lub poprzestają na samych protestach. Bardziej

niebezpieczni wydają się ci, którzy stawiają sobie odległe chociażby lecz realne cele. W tej chwili zaś nie widać innej drogi do odzyskania wolności jak wytrwałe i cierpliwe poszukiwanie wzajemnego zbliżenia między fermentami rewolucyjnymi w Polsce i wśród narodów całego bloku sowieckiego.

Kultura jest także czasopismem literackim. Znaczna część zarówno pisma jak i publikacji *Instytutu Literackiego* poświęcona jest literaturze pięknej. Wśród pisarzy publikujących u nas reprezentowane były wszystkie kierunki, poglądy i pokolenia. Ta część działalności naszego wydawnictwa zyskała sobie już życzliwość czytelników i nie wymaga więcej komentarzy.

REDAKCJA

NAGRODY LITERACKIE « KULTURY »

W związku z dwudziestolecie pisma redakcja „Kultury” przyznała następujące nagrody literackie w wysokości 1000 F każda:

1. *Lidii i Adamowi Ciołkoszom* — za „Zarys dziejów socjalizmu polskiego”;
2. *Piotrowi Guzy* — za książkę „Krótki żywot bohatera pozytywnego”;
3. *Jerzemu Stempowskiemu (Pawłowi Hostowcowi)* za całość twórczości literackiej.

Nagroda literacka „Kultury” została ustanowiona w 1954. Laureatami jej byli: M. Pankowski, A. Chciuk, Cz. Miłosz, M. Hłasko, G. Herling-Grudziński, H. Guilley-Chmielowska, W. Gombrowicz, J. Łobodowski, Z. Haupt, T. Parnicki i W. Iwaniuk.

Ostatnia nagroda była przyznana w r. 1964. Obecnie nagrody literackie zawieszamy definitywnie. Uzasadnienie tej decyzji jak również omówienie obecnie przyznanych nagród znajdą czytelnicy w przyszłym, tj. czerwcowym, nrze „Kultury”.

W związku z tą decyzją redakcja „Kultury” składa podziękowania członkom jury nagrody w poprzednich latach za ich dotychczasową cenną pomoc.

Moja opinia o «Kulturze»

Jerzego Giedroycia poznałem pod koniec wojny. Przybył do Londynu w różnych swoich sprawach wydawniczych, ale przede wszystkim po to, by zabezpieczyć na przyszłość losy Instytutu Literackiego w Rzymie. Ten Instytut nawet w warunkach wojennych i przy złej komunikacji mógł utrzymywać się, gdyż II Korpus był dla niego pewnym zapleczem. Toteż chyba większość wydawnictw znajdowała czytelników we Włoszech. Teraz — choć nie było jeszcze wiadome czy II Korpus przeniesie się do Wielkiej Brytanii, było wszakże przesądzone, że we Włoszech nie pozostanie i że Instytut Literacki nie będzie miał dotychczasowego podtrzymania — i rynku. Byłem ujęty znacznym już, jak na nie najlepsze warunki, dorobkiem Instytutu. Nie tylko różnorodnością i treścią wydawnictw, ale także ich dobrą formą zewnętrzną. Przrzekłem Giedroyciowi pomoc, bo na nią zasługiwał. Miałem na myśli subwencję w sumie £ 5.000, co by na dłuższy czas wystarczyło. Podobnie postąpiłem na krótko przedtem z dwoma innymi wydawnictwami polskimi. Przrzeczenia jednakowoż spełnić nie zdołałem. Mój wniosek na Radę Ministrów o odpowiednie przesunięcia budżetowe, czy oddzielną dotację, spotkał się z oporem dwu ministrów i niechętną obojętnością wszystkich pozostałych. Musiał sobie być Giedroyc kogoś czymś zrazić; nie zdołałem ustalić — kogo i czym. W każdym razie był to jedyny mój wniosek tego rodzaju, który nie został przez Radę Ministrów przyjęty. Było mi to bardzo przykre, gdyż nie widziałem nikogo podówczas w Londynie, kto by mógł podjąć na najbliższą przyszłość — już emigracyjną — pracę wydawniczą na takim poziomie i w takiej skali.

Giedroyc wydał mi się być człowiekiem o niezwyklej energii i uporczywości. Toteż nie bardzo mnie zdziwiło, gdy po jakimś czasie Instytut Literacki, który gasł w Rzymie, odrodził się w Paryżu. Ten nieudany zabieg o pomoc rządu wydaje mi się godny przypomnienia, by wskazać, że Instytut Literacki w Paryżu powstał w warunkach, które by niejednego zniechęciły, a w Giedroyciu widocznie wzmogły jeszcze przyrodzoną uporczywość.

Dziś, z górą po dwudziestu latach, można bez jubileuszowej przesady, stwierdzić, że dorobek Instytutu imponuje swoją wartością. Sto kilkadziesiąt tomów, wśród których wiele nie może liczyć na łatwy rynek — to ilość po prostu niewiarogodna. A obok tego istnieje przecie miesięcznik „Kultura” — także już dziś

dwudziestolatek. Talent redaktora był dla mnie zawsze czymś tajemniczym i niezrozumiałym. Tym bardziej, jeżeli redaktor sam nie jest pisarzem, czy jako taki nie występuje. Umiem jakoś połączyć się w talencie pisarza, zwłaszcza prozaika. Ale jakież to części składowe zbierają się na to, by powstał utalentowany redaktor? Wyjaśnieniem mogłoby być w pewnej mierze przyrównanie wybitnego redaktora do wielkiego kapelmistrza. Są tacy kapelmistrzowie, co sami grać niemal nie umieją, ale umieją panować nad wszystkimi instrumentami i zestrajać je w orkiestrę, która jest czymś całkiem innym oraz większym niż suma instrumentów.

„Kultura” i Instytut Literacki, gdy im się bliżej przyjrzyć, są całością organiczną. Zwracają się ku teraźniejszości i przyszłości — i spoglądają na kraj. Jest to ich bezsprzeczną zaletą, ale nie dzieje się to bez ryzyka błędów. Mam na myśli nie literackie lecz polityczne oblicze „Kultury”. „Kultura” śledzi pilnie wszelkie objawy kryzysu moralnego wśród komunistów w Polsce. Takich zjawisk jest dość wiele. I nie bez słuszności jest pogląd, że komunista krajowy, trapiiony wątpliwościami czy zgoła skłonny do protestu przeciwko ortodoksom swojej partii, w imię „humanizmu”, który sam sobie obmyślił, czy wypracował w gronie przyjaciół, będzie szukał potwierdzenia swojej nowej postawy u kogoś, kto przemówi do niego „z pozycji lewicowej” chętniej, niż od kogoś, kogo uważa za przeciwnika. Ale czy to wystarcza za cały program pisma? Taktyczna wartość takiego działania jest niezaprzeczona. Ale taktyka przecie, to nie jest wszystko. Wyczuwa się pod spodem w tzw. „zespole Kultury” wiarę, czy może oczekiwanie, że komunizm kiedyś skończy się, w tej postaci w jakiej dziś istnieje, i ustąpi miejsca czemuś nowemu, dziś jeszcze niezbyt określonemu, ale bądź co bądź, nacechowanemu większym „humanizmem”. Ten „ewolucjonizm” stanowi chyba podłoże jego taktyki względem komunizmu krajowego, przez perswazję „z pozycji lewicowej”.

To prawda, że komunizm przemienia się. Wszystko na świecie ulega przemianom, więc byłoby cudem, gdyby z komunizmem miało być inaczej. Styl rządzenia Breżniewa i Kossygina nie jest ten sam co Chruszczowa, Stalina czy Lenina. Styl rządzenia Gomułki nie jest, a raczej nie był, ten sam co Bieruta. Zmieniło się także, i dalej będzie się zmieniało, podłoże materialne ich władzy.

Ale w niczym nie zmienia się sama istota komunizmu, jako władzy totalnej, politycznej i gospodarczej. Jest zrozumiałe, że młody komunista, gdy rozpaczliwie szuka wyjścia, uwierzy, że jest nim zaszczepienie „humanizmu” na pniu komunizmu. Ale kto patrzy na tę sprawę trzeźwo, wie że tak nie jest. Bo humanizm wspólny z komunizmem współistnieć nie może. Są to pojęcia i systemy współzycia ludzkiego wzajem sprzeczne.

Jeżeli prasa obca, zwłaszcza anglosaska, pisze wciąż o „liberalizacji” systemu sowieckiego, to kłamie, świadomie i na zimno, bo jest to przydatne dla doraźnych zabiegów politycznych ich rządów.

Prasa polska nie musi tego robić. Niech sobie już „Kultura” dogadza taktycznie przez przyświadczenie młodym zbuntowanym komunistom w Polsce, że mają rację. Przynosi im to pociechę, na którą ze wszech miar zasługują. Ale poza tym istnieje przecie poważne zagadnienie przyszłości tej części świata, gdzie panuje komunizm. A tutaj fikcja „ewolucjonizmu” do niczego nie prowadzi i raczej mąci ludziom w głowach.

Dlaczego byłoby dobrze, gdyby w „zespole Kultury” przesztano pocieszać się widokami na „ewolucję” komunizmu, a rozpoczęto rozważać zagadnienia jego otamowania i przewyciężenia, w oparciu o siły wolnego świata. Te siły są ogromne, o wiele większe, niż siły imperium sowieckiego. Wojna w erze atomowej nie jest możliwa. Ale nie wynika stąd wcale, by siły świata zachodniego miały być porażone paraliżem, jak jest dzisiaj. Istnieje wiele sposobów działania, o których dzisiaj się nie myśli. Nie mamy wpływu na bieg spraw w świecie, ale nic przecie nie przeszkadza, by sprawy te rozważać i oświeślać.

Zyczę „Kulturze” na progu nowego dwudziestolecia, by podjęła to dzieło i by znalazło ono pomyślne zakończenie, w czasie o wiele krótszym — niż lat dwadzieścia.

Adam PRAGIER

Ideologia : treść i zakres

I

Ustalenie zakresu znaczeniowego terminu „ideologia” nie jest sprawą prostą. Świadczy o tym bogata literatura poświęcona temu zagadnieniu. Od czasów Mannheima — a w rzeczywistości i przed nim — podejmowane były liczne próby wypracowania definicji terminu i określenia funkcji społecznych jej przedmiotu. W Polsce, Jerzy J. Wiatr w książce „Czy zmierzch ery ideologii?” wziął niedawno na siebie zadanie wypracowania typologii wszelkich możliwych definicji i systematyzacji zagadnienia. Czy wyniki w tych próbach osiągnęte można uznać za zadowalające, jest inną sprawą.

Te teoretyczne dociekania są utrudniane przez fakt, że słowo „ideologia” weszło do języka potocznego i stało się monetą obiegową. Co więcej, stało się wyraźną wartością społeczną o silnym zabarwieniu emocjonalnym. Tak było szczególnie w okresie międzywojennego dwudziestolecia, kiedy nazwę „ideologia” odnosiło do wszelkich bardziej autorytatywnych wypowiedzi pochodzących od jednostek przywódczych. W dużym stopniu zachowało się to i obecnie. Wciąż mówi się o „ideologii” Mao Tse-tunga czy Nassera. Niekiedy jest to zastępowane przez „nauki”, co jednak nie zmienia sensu.

W Polsce przedwojennej w powszechnym obiegu było wyrażenie „ideologia Marszałka Piłsudskiego”. Nie jest nam wiadome, by sam Marszałek Piłsudski przyjmował taką etykietkę dla swoich poglądów. Naklejanie takiej etykietyki było zadaniem fachowców-propagandystów, liczących się z jej emocjonalnymi walorami. Było to słowo powszechnie szanowane i odniesienie go do jakiejś wypowiedzi nadawało tej ostatniej wysoki stopień prestiżu.

Jak i w innych analogicznych wypadkach, treść tego, co kryło się pod nazwą, nie była dokładnie definiowana. Piszący te słowa prosił kiedyś jednego z polskich fachowców-propagandystów o wyjaśnienie, co rozumie on przez nazwę „ideologia Marszałka Piłsudskiego”. Oto odpowiedź jaką otrzymał: „Ależ to bardzo proste... Bardzo proste... Ideologia Marszałka? No, to po prostu znaczy — nie rób drugiemu, co tobie nie miło...” Była to odpowiedź zupełnie wystarczająca. Prowadzenie dalszych dociekań byłoby bezcelowe.

Było rzeczą wyraźną, że fachowiec-propagandysta nigdy nie zastanawiał się nad znaczeniem terminu, którym się stale posługiwał. Nie było to mu zresztą potrzebne. Chodziło wyłącznie o etykietkę o silnym zabarwieniu emocjonalnym. Prawdopodobnie nie inaczej jest w wypadku dzisiejszych chińskich czy egipskich kolegów przedwojennego polskiego fachowca-propagandysty.

Czy tego rodzaju pojmowania „ideologii” mogą być w zupełności wyrugowane z teoretycznych rozważań na temat jej definicji? Z tym wypadnie być bardzo ostrożnym. „Ideologia” — nawet jako zdawkowa etykieta — jest faktem społecznym, jest wartością społeczną i jest uwarunkowana społecznie i historycznie. Nawet najbardziej dowolne operowanie tym słowem nie jest czymś przypadkowym i może posłużyć za element badania. Że takie sformułowania są w obiegu, że mają silne zabarwienie emocjonalne, że służą za motywacje dla szerszych działań zbiorowych — wszystko to zlekceważone być nie powinno.

W czasach najnowszych nazwa „ideologia” wiele straciła ze swego dawnego napięcia emocjonalnego. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do środowisk intelektualistów, dotychczas szczególnie wrażliwych na wszystko, co do ideologii dawało się sprowadzić. Aron, mówiący o końcu ery ideologii, jest tu wyrazicielem nastrojów właściwych szerszym zespołom ludzi wykształconych w Europie i Ameryce. Po Hitlerze i Stalinie wytworzyła się tu głęboka podejrzliwość w stosunku zarówno do nazwy jak i do tego co pod nią się kryje.

Udziela się tu nawet pewnym komunistycznym intelektualistom. Zygmunt Bauman — utalentowany socjolog polskiej szkoły marksistowskiej — w swej ciekawej książce poświęconej „konceptji” rzeczywistości społecznej rozważania na temat „ideologii” redukuje do dłuższego odsyłacza. Inna rzecz, że co Bauman nazywa „konceptją”, równie dobrze mogłoby być nazwane „ideologią”. I zapewne Bauman użyłby tej nazwy, gdyby swoją książkę pisał trzydzieści lat temu. Ale trzydzieści lat temu książka tego rodzaju byłaby nie do pomyślenia!

W ostatnich czasach daje się też zauważyć tendencja odnoszenia nazwy „ideologia” nie tyle do usystematyzowanych koncepcji,

ile do racjonalizacji używanych przy podejmowaniu tych czy innych decyzji politycznych. Tak np. Walter Lippmann, krytykując wietnamską politykę Prezydenta Johnsona, mówi o „ideologii Johnsona”. Oczywiście Lippmann jest bardzo daleki od robienia analogii z ideologiami epoki przedwojennej. Ma tu po prostu na myśli te argumenty natury ogólnej, jakimi Prezydent Stanów Zjednoczonych uzasadnia słuszność swej akcji polityczno-militarnej na terenie Azji południowo-wschodniej. Jest jednak rzeczą wyraźną, że znakomity publicysta amerykański, stosując do racjonalizacji polityki Johnsona nazwę „ideologia”, wprowadza tym samym element emocjonalnej deprecjacji. Racjonalizacja Johnsona już przez to samo że zostaje określona jako „ideologia”, traci na swej sile perswazji, staje się czymś wątpliwym i podejrzanym. Tak jest przynajmniej wśród czytelników Waltera Lippmanna, tworzących elitę intelektualną wielkich obszarów całego świata. Słowo „ideologia” ma tu, wyraźnie wydzwięk emocjonalnie raczej negatywny.

W każdym razie z nazwą „ideologia” łączą się i łączyły silne treści emocjonalne. Ideologia nie jest czymś obojętnym, co może być przedmiotem bezstronnej i beznamiętnej analizy. Stale zachodzi tu element jakiegoś emocjonalnego zaangażowania. Nie ułatwia to prób definiowania pojęcia i analizowania jego treści i zakresu. Wyczuwa się to zarówno w pracach Arona jak i w książce Jerzego Wiatra. Autor tej ostatniej jest przekonany komunistą. Emocjonalną przesłanką jego pracy jest wiara w słuszność ideologii komunistycznej i płynąca stąd chęć apologii tej ideologii. Nie jest to bez wpływu na całokształt jego rozważań teoretycznych. Analogicznie antykomunizm Arona stwarza klimat emocjonalny dla jego rozważań i analiz.

Mając to wszystko w pamięci i biorąc pod uwagę, że i autor tych słów nie jest wolny od emocjonalnego zaangażowania się, postarajmy się posunąć dalej w naszych rozważaniach.

II

„Ideologia” jest słowem złożonym. W dosłownym przekładzie można ją określić jako „wiedza o ideach”, jak biologia jest wiedzą o życiu czy geologia jest wiedzą o ziemi. Nie wymagałoby jednak długich wywodów, by wykazać, że „ideologia” widziana empirycznie i w oparciu o znane nam z doświadczenia ideologie, nie jest wiedzą o ideach. Oglądana jednak od strony semantycznej, nazwa ta ma aspekty wysoce interesujące. Świadczy ona, że weszła w użycie jako wyraz dążenia do usystematyzowania jakichś idei czy poglądów. Na tym jednak kończy się jej podobieństwo

z całą masą „logii”, określających czy wyznaczających różne działy wiedzy.

Zasadniczym elementem jest tu słowo „idea”. Nie jest to słowo jednoznaczne. O tym nam mówią całe dzieje myśli ludzkiej, od Platona zaczynając. Ale w tym wypadku właśnie platońskie pojmowanie idei może nam być najbardziej użyteczne. Znane nam z doświadczenia historycznego ideologie w jakiejś mierze stale nawiązują do platonizmu. Nie oznacza to, by twórcy ich byli tego świadomi.

Nie miałoby tu sensu omawianie w całej rozciągłości platońskiej nauki o ideach. Musimy jednak po krótkce przypomnieć czytelnikowi pewną część tej nauki. Jest to nauka o Erosie czyli Erotyka. Platon stale do niej wracał w swych późniejszych dialogach, szczególnie w „Gorgiaszu”, „Faidrosie” i w „Sympozjonie”. W dziejach myśli ludzkiej — a i w dziejach działań ludzkich — rola platońskiej Erotyki była bardzo znaczna. Z niej w taki czy inny sposób wychodziły różne kierunki myśli i działania. Ona ma też zasadnicze znaczenie dla zagadnienia ideologii.

Jak wiadomo, w ujęciu platońskim świat przedmiotów naszego bezpośredniego doświadczenia jest odbiciem świata wiecznych i niezmiennych idei. Obok wieczności i niezmienności zasadniczymi cechami idei są ich doskonałość i niematerialność. Istnieje zarazem wśród nich pewien porządek hierarchiczny, stawiający najwyżej idee prawdy, dobra i piękna. Tę ostatnią myśl szczególnie rozwinęli późniejsi uczniowie Platona, w pierwszym rzędzie — neoplatonicy. Im też i my bardzo dużo zawdzięczamy.

Dusza człowieka przed swym ziemskim narodzeniem przebywała w świecie idei. To było źródłem jej szczęścia. Jednakże w momencie narodzenia zatraciła ona pamięć swego prenatalnego obcowania z ideami i poczucie doznawanego stąd szczęścia. Zostały się w niej jednak jakieś ślady tego pobytu. Idee, wśród których dusza przebywała, zostawiły w niej jak gdyby odciski, nieświadomione i niejasne odgłosy jej dawnego szczęścia.

Dusza ta w swej ziemskiej wędrówce przebywa w świecie rzeczy, z których każda jest odbiciem idei. Percepcja tych rzeczy przez człowieka jest uwarunkowana przez ich zgodność z odciskami, jakie idee zostawiły w duszy w okresie jej prenatalnego wśród nich pobytu. Dzięki temu człowiek, stykając się ze światem który go otacza, może dojść do świadomości istnienia porządku idealnego.

Równocześnie ten akt poznawczy rodzi w nim tęsknotę do doskonałości świata, w którym przed narodzeniem przebywał. Tu jest punkt centralny platońskiej nauki o Erosie, szczególnie rozwinięty w „Faidrosie” i „Sympozjonie”. Człowiek w rzeczywistości danej mu w bezpośrednim doświadczeniu zaczyna dostrzegać

odbicie wiecznych idei i zaczyna za nimi tęsknić. Jego dusza rwie się do nich, szuka dawnych doznań, pragnie wrócić do dawnego szczęścia i doskonałości.

Platon posługuje się tu znaną parabolą. Żyjąc na ziemi jesteś — my jak gdyby więźniami, zamkniętymi w podziemnej pieczarze. Ma ona jednak okienko, przez które pada snop światła. Koło tego okienka przechodzą inni ludzie — wolni i szczęśliwi. Widzieć ich więźniowie nie mogą. Ale cień przechodniów choćby na chwilę pada przez okienko na ścianę pieczary i jest przez więźniów dostrzegany. I to im uświadamia ich obecną niedolę i rodzi tęsknotę za tymi, którzy są wolni. I więźniowie chcą się wyrwać ze swej pieczary, wrócić do świata wolności i szczęścia. Odbite w rzeczach idee — przede wszystkim idea dobra, prawdy i piękna — budzą w nas, skoro dostrzeżone, pociąg do wiecznego Dobra, Prawdy i Piękna, dają nam skrzydła, wzywają do lotu. Tęsknimy do idei i zaczynamy je miłować. I to jest najwyższy i jedynie ważny rodzaj miłości.

Jest to przepiękna parabola. A i cała Erotyka platońska jest nacechowana wyjątkowym pięknem. Wpływ jej na dalsze dzieje myśli ludzkiej był kolosalny i nadal daje się zauważyć. Sami rzadko zdajemy sobie sprawę z tego, ile w naszej codziennej frazeologii i w naszych koncepcjach zachowało się z platońskiej nauki o Erosie.

Zatrzymajmy się na chwilę przy pewnych momentach tej nauki. Idea przede wszystkim jest doskonałością. Mogą być różne stopnie tej doskonałości, może tu zachodzić hierarchiczne uporządkowanie, o którym dużo mówili neoplatonicy. Niemniej jednak idea jest doskonała i jako taka jest nieskończenie wyższa od faktów naszego bezpośredniego doświadczenia. Że doskonałość idei znajduje w nich swe odbicie, to jeszcze nie czyni ich doskonałymi. Odbicie rzeczy w zwierciadle nie jest tym samym co sama rzecz. Jest zawsze czymś wtórnym i podporządkowanym, więc — ograniczonym. To jest jedno.

A drugie — uświadomienie sobie przez nas istnienia idei tym samym staje się dla nas bodźcem do działania. Z poznania istnienia idei wyrasta tęsknota za nią, co przeradza się w miłość i pragnienie powrotu do idei. A to z kolei powoduje nasze działanie, nasz wysiłek wzniesienia się do świata doskonałości.

U Platona działanie to jest rozumiane przede wszystkim jako działanie duchowe. Ale nie trudno jest je widzieć i w skali praktycznego zachowania się. Artysta, tworząc dzieło sztuki, wykonuje szereg czynności mających na celu zbliżenie rzeczy martwej do idei Piękna. Ale nie inaczej postępuje mąż stanu, usiłując zbliżyć organizację publiczną do idei Dobra i Sprawiedliwości.

Ale to jeszcze nie wszystko. Idea jest kategorią niematerial-

ną. Na tym między innymi polega jej doskonałość. Jest ona wartością czysto duchową. I jest wartością samą dla siebie. Nie da się ona ocenić czy wymierzyć przy pomocy kryteriów porządku praktycznego. To by przeczyło jej doskonałości.

I kryteria takie nie istnieją w naszym dążeniu do niej. Dążymy do idei nie z racji następstw praktycznych, jakie w ten sposób mogą być osiągnięte. Nasze dążenie jest całkowicie bezinteresowne. Wynika ono z naszej tęsknoty do idei i z umiłowania idei. Jednakże nie oznacza to, by nie dołączały się tu i względy przyziemne. W duszy człowieka działają siły, które ją ciągną ku ziemi i hamują jej wzlot wzwyż, do światła doskonałości. W „Faidrosie” Platon pięknie przedstawił walkę, jaka zachodzi między bezinteresownym pędem do idei a naszymi przyziemnymi namiętnościami, które pęd ten zatrzymują i spychają nas w dół. Jeżeli dusza potrafi pokonać namiętności, dotrze do idei i osiągnie najwyższe szczęście.

III

Niewiele chyba da się wymienić koncepcji, których wpływ na ludzkość był tak wszechstronny i trwały, jak platońskiej Erotyki. Oddziałała ona na chrześcijaństwo, na myśl arabską i żydowską. Zapłodniła liczne systemy etyczne i estetyczne. Przez neoplatonizm trafiła do wszelkich możliwych stanowisk teologicznych i filozoficznych. I trafiła także do sfery praktycznych działań zbiorowości ludzkich. I tym samym coraz bardziej zbliżała się do spraw ziemskich i przyziemnych.

Od wieku XVIII Erotyka platońska zaczyna wzbogacać język potoczny przez nowe konstrukcje terminologiczne. W parze jednak z nimi zaczynają iść i pewne innowacje znaczeniowe.

Idea zaczyna być rozumiana teleologicznie i jest sprowadzona na ziemię. W wielu wypadkach otrzymuje też dodatkową końcówkę i staje się *ideałem*. Ale i w tej nowej formie nie zyskuje ani na jednoznaczności ani na jasności.

Mówi się odtąd o ideale, o idealnym i o idealiscie. Ideał jest zazwyczaj rozumiany bądź jako doskonały wzór, bądź jako doskonały cel, który sobie zakładamy i do którego osiągnięcia zmierzamy. Często oznacza jedno i drugie. Zakochany nazywa ukochaną ideałem, widząc w niej wzór doskonałości. Dla kogoś osiągnięcie zabezpieczenia na starość jest ideałem, który stara się osiągnąć. Zakochany, widząc w przedmiocie swych afektów wzór doskonałości, czyni wszelkie zabiegi, by zdobyć dla siebie swój ideał. Wielokrotnie praktyczna różnica między ideałem-wzorem a ideałem-celem jest głównie w czymś, co można by nazwać rezerwacją myślową i akcentem emocjonalnym. Mówiąc o ideale-

wzorze, mamy najczęściej na myśli jakąś doskonałość, która może być ale może i nie być osiągalna, lub której osiągnięcie może być albo może i nie być naszym zadaniem. Natomiast ideał-cel jest przez nas uważany za osiągalny i godny naszego wysiłku.

W tych różnych konnotacjach operujemy terminem „ideał”. Mówimy o ideałach młodości, mając na myśli te wzniosłe cele, jakie ludzie młodzi sobie zakładają. Cele te z wiekiem ulegają zapomnieniu czy są podporządkowywane innym — bardziej przyziemnym. Mówimy o ideałach społecznych czy narodowych, mając na myśli jakiś, w naszym przekonaniu doskonały i przez to pożądaný, porządek współżycia ludzkiego, którego osiągnięcie jest lub być powinno celem działań zbiorowych. Stwierdzamy również, że jakieś dzieło sztuki jest dla nas ideałem piękna, co oznacza, że widzimy w nim wzór — niekoniecznie osiągalny czy mający być osiągnięty — dla innych dzieł sztuki. Mówimy nawet o wiecznych ideałach ludzkości, co oznacza pewne doskonałe wzory i doskonałe cele, jakim ludzie zawsze mieli służyć.

Inną pochodną terminologiczną platońskiej idei jest „idealista” — słowo które zdobyło sobie znaczną popularność w wieku XIX. W zasadzie „idealistą” jest każdy, kto założył sobie pewne ideały i poświęcił swe życie ich osiągnięciu. Tu jednak niezbędne jest przeprowadzenie pewnej dystynkcji. Nie każdy ideał uprawnia swego sługę do posiadania godności idealisty. Nie będzie nim ten, dla którego celem życiowym jest zabezpieczenie sobie znacznej renty na starość. Ideały, którym służy idealista, muszą być bezinteresowne i wzniosłe. Muszą mieć walor ogólnoludzki, a nie wąsko indywidualny. Idealista, służąc im, powinien zdobywać się na ofiary i poświęcenia. Jego dążenia do osiągnięcia celu nie tylko muszą być bezinteresowne, ale nie mogą być zbyt łatwe. Od idealisty wymaga się znacznej dozy ascetyzmu. Powinien on całym stylem swego życia składać świadectwo, że zasługuje na swoje miano. Słowem, w postawie jego i działaniu muszą istnieć jakieś cechy charyzmy.

W pewnych językach — wśród nich i w polskim — termin „idealista” współistnieje z terminem „ideowiec” lub „człowiek ideowy” (rosyjski „idejnyj człowiek”). Znaczeniowo oba te terminy niezupełnie pokrywają się ze sobą.

Przede wszystkim zakresowo „ideowiec” oznacza coś węższego niż „idealista”. Jest to ten, którego ideały są wyraźnie natury politycznej czy społecznej, lub też — ujmując to nieco szerzej — odnoszą się do spraw stosunków międzyludzkich. Cele, które tu są założone i które „ideowiec” stara się osiągnąć, oznaczają jakąś ważną przemianę w sferze współżycia ludzkiego. Może to być osiągnięcie niepodległości narodowo-państwowej, nowy ustrój społeczno-gospodarczy, wprowadzenie zakazu sprzedaży na-

pojów alkoholowych, zdobycie praw wyborczych dla kobiet, i t.p. Cele te są stawiane jako bardzo konkretne, dokładnie sprecyzowane, i sprecyzowana jest metoda ich osiągnięcia. W oczach przeciwników mogą to być cele „utopijne”, nie dające się osiągnąć, lub takie, których osiągnięcie nie jest pożądane. Niemniej jednak w przeświadczeniu „ideowca” są one zarówno pożądane jak i osiągalne.

Ponadto są to cele, które zakłada się i usiłuje zrealizować w sposób bezinteresowny. „Ideowiec” może przyjąć — i faktycznie przyjmuje — że realizacja celów, którym się poświęca, przyniesie wielkie praktyczne osiągnięcia dla szerszych zespołów ludzkich. On sam może być w tym beneficjentem. To ostatnie jednak nie jest motywem jego działania. Co więcej, w pewnych przypadkach osiągnięcie celu może mu praktycznie zaszkodzić. Wielu rewolucjonistów i działaczy socjalistycznych wyszło ze środowisk społecznie i politycznie uprzywilejowanych. Marks urodził się w środowisku wybitnie burżuazyjnym, Kropotkin — w arystokratycznym, Lenin — w świecie wyższej biurokracji. Cele, które każdy z nich zakładał, były sprzeczne z interesami praktycznymi ich środowisk i w konsekwencji z ich interesami prywatnymi.

Wymagania, jakie pod tym względem są stawiane „idealiście”, są na ogół mniej rygorystyczne. Oczywiście i od niego oczekuje się znacznej dozy ascezy. Ale można być idealistą, nie zrywając ze swym środowiskiem i nie zmieniając zbyt wiele swego stylu życiowego. Oczywiście musi on i w stylu swego życia stale akcentować swój idealizm, ale nie wyciągając stąd ostatecznych konsekwencji praktycznych. W rzeczywistości jego idealizm nieraz bardziej się wyraża w jego indywidualnym zachowywaniu się niż w szerszych działaniach praktycznych.

Aby być „ideowcem”, trzeba przyjąć na siebie obowiązek bardzo surowej ascezy. Oczywiście rodzaj i zakres mogą być bardzo różne. W każdym jednak razie „ideowiec” bardziej niż „idealista” musi swoją charyzmę uzewnętrzniać w szczegółach swego stylu życiowego. Oczekuje się od niego postawy heroicznej, stale akcentowanej.

Inaczej przedstawia się sprawa z inną pochodną terminu idea. Jest nią „ideolog”, słowo, które weszło w użycie dość późno i zdobyło dla siebie powszechne zastosowanie dopiero w wieku XX.

„Ideolog” nie musi być ani idealistą ani ideowcem, choć w wielu wypadkach wychodzi z szeregów ideowców. Są jednak liczne wypadki, gdy przez „ideologa” rozumie się uczestnika pewnej grupy czysto profesjonalnej. Uczestnictwo w niej nie wymaga ani ascezy, ani bezinteresowności, ani charyzmy. Są nawet

wypadki, gdy nie wymaga ono posiadania silnych przekonań i głębszej wiary w idee czy ideały. Mamy tu do czynienia z ideologami-zawodowcami, bardzo licznie reprezentowanymi w czasach najnowszych.

Znaczeniowo jest to pojęcie bardzo szerokie. Oznacza ono każdego, kto jest intelektualnie zaangażowany w formułowaniu celów, w ustalaniu środków ich osiągnięcia, w rozważaniu okoliczności, wśród których mogą być one postawione i osiągnane. Musi być człowiekiem słowa czy pisma, albo jednego i drugiego. We wszystkim tym jednak należy poczynić szereg zasadniczych dysfunkcji.

Przed wszystkim trzeba odróżnić ideologów-twórców i proroków od ideologów-komentatorów. Pierwsi tworzą jakieś wizje przyszłości, jakieś koncepcje rzeczywistości; drudzy je wyjaśniają, rozwijają, wyprowadzają z nich wnioski, są ich apologetykami. Pierwsi muszą być idealistami czy ideowcami, od drugich nie jest to wymagane. Pierwsi odgrywają role proroków i przywódców charyzmatycznych, funkcje drugich są natury propagandowej czy nawet biurokratycznej.

Twórcy i inspiratorzy wielkich prądów ideologicznych należeli do tej pierwszej kategorii ideologów. Hitler może tu posłużyć za przykład szczególnie uderzający. Ale należeli do niej Lenin i Stalin, wszelcy reformatorzy religijni, amerykańscy abolicjoniści, prohibicjoniści, antywiwisekcyjniści i niezliczone zastępy wodzów-proroków wszelkich prądów ideologicznych.

Marks i Engels tylko w pewnym stopniu odpowiadają takiemu wzorowi. Czynią zadość jego postulatowi jako autorzy „Manifestu Komunistycznego” i jako organizatorzy Pierwszej Międzynarodówki. Jednakże Marks-autor „Kapitału” nie występuje ani jako prorok-charyzmatyk ani jako przywódca wielkiego ruchu. Niewątpliwie końcowym zadaniem jego dzieła było stworzenie podwalin racjonalno-teoretycznych dla ruchu, który miał zbudować ustrój socjalistyczny. W tym sensie Marks i tu jest ideologiem. Ale dzieło jego ma charakter wybitnie analityczny, posługuje się metodami wysoce racjonalnymi i jest pozbawione klimatu wizjonerstwa. Zachowuje też ono swoje znaczenie w oderwaniu od swych założeń i celów ideologicznych. Ideologami-prorokami byli natomiast uczniowie i wyznawcy Marksa, którzy jego rozważaniom teoretycznym dali postać dynamicznego wizjonerstwa. Byli oni jednak ideologami „marksizmu”, przez co trzeba rozumieć coś szerszego niż system myślowy zawarty w „Kapitałe”. Jako ludzie działania i wizjonerzy wychodzili oni bardziej z „Manifestu” niż ze ściśle analityczno-historycznych dzieł mistrza. Byli to zarówno Guesde i Lafargue, nawet Jaurès, który nie był materialistą dziejowym. Byli Labriolla, Kautsky, Liebknecht

i Bebel, Adler i Otto Bauer, Lenin i Stalin. Ci dwaj ostatni — a szczególnie Stalin — w najwyższym stopniu uosabiali wzór charyzmatycznego przywództwa, byli prorokami i wizjonerami.

Tych właściwości nie mają, lub mają je w bardzo słabym stopniu, niezliczeni ideologowie-komentatorzy, popularyzatorzy i apologetci. Zadania ich są wyraźnie interpretacyjne. Są oni narzędziem uprzystępniania myśli proroków (są one często bardzo zawile i mętne!) i rozpowszechniania ich wśród mas wiernych.

Na jedną okoliczność należy tu od razu zwrócić uwagę. Komentowanie to i popularyzacja muszą mieć charakter pozytywny. Punktem wyjściowym jest tu całkowite przyjęcie nauki proroka i widzenie jej jako wykładni prawdy absolutnej. Mogą oni wprowadzać pewne korektywy do nauki mistrza — jak to ma miejsce w dzisiejszym „rewizjonizmie” komunistycznym — ale nie mogą wychodzić poza krąg jego zasadniczych koncepcji. I dlatego np. Sorela nie można uważać za ideologa marksizmu, choć przyjął on szereg ważnych koncepcji Marksa i stale do niego w swych pismach powracał. Albowiem głównym jego celem była krytyka bardzo zasadniczych koncepcji marksowskich i wytworzenie koncepcji własnych. Sorel był ideologiem syndykalizmu. Stanisław Brzozowski w swym wczesnym okresie mógł być uważany za ideologa marksizmu. Później nim być przestał, choć wkład markowski był oczywisty w całej jego dalszej działalności pisarskiej.

Przyjmując nauki mistrza-proroka, ideolog-komentator jest w pierwszym rzędzie ich apologetą i popularyzatorem. To ostatnie jest szczególnie ważne, gdy nauki te są ciemne i trudne do zrozumienia dla umysłów niewyćwiczonych. Wyjaśnienie tych nauk jest rzeczą niezbędną, skoro mają stać się motorem działania szerszych mas i służyć im za racjonalizację i usprawiedliwienie udziału w ruchu. Ideolog, który się taką popularyzacją zajmuje, staje się propagandystą. W praktyce oddzielenie propagandysty od innych kategorii ideologów nie zawsze jest sprawą prostą. Wszyscy ideologowie-prorocy dążyli do jak największego rozpowszechnienia swych idei i bądź starali się je formułować możliwie popularnie, bądź też obok swych bardziej skomplikowanych wersji starali się dawać i wersje bardziej dla ogółu dostępne. Wystarczy tu wskazać na Lenina i Stalina. Obaj w broszurach, artykułach i przemówieniach popularyzowali własne myśli, początkowo wyrażane w formie znacznie mniej przystępnej.

Jednakże ideolog-komentator może bardzo redukować swoją działalność propagandystyczną lub nawet nie uważać jej za swój właściwy cel. Jego praca komentatorska czy apologetyczna może być równie zawila jak obiekt, który komentuje. Jest ona wtedy przeznaczona na użytek dla innych ideologów-komentatorów. Może też ona wtedy polegać na rozwijaniu pewnych punktów dok-

tryny i na wyciąganiu z niej nowych wniosków. Ma to duże znaczenie w krytycznych sytuacjach, gdy chodzi o podejmowanie doniosłych decyzji praktycznych. Trzeba wtedy stwierdzić, czy zamierzona konkretna akcja jest zgodna z doktryną. Jeżeli akcja jest dla tych czy innych względów praktycznych uznana za szczególnie pożądaną, obowiązkiem ideologa jest znaleźć dla niej odpowiednie uzasadnienie. Znajduje je w jakimś ustępie doktryny. Kunszt jego polega na tym, by ustęp taki znaleźć i odpowiednio go skomentować. Przykładów takich można znaleźć nieskończoną ilość w działalności ideologów-komentatorów krajów komunistycznych.

Ideolog-komentator tego typu jest zawsze bardzo ceniony. Korzysta on z dużego prestiżu społecznego i ma zapewnioną pozycję ekonomiczną. Zostaje profesorem, członkiem akademii, znakomitym publicystą, dygnitarzem państwowym.

Wszelkie grupy, których podstawą ideologiczną są rozwinięte i ściśle skonstruowane systemy doktrynalne, muszą się posługiwać bardzo licznym aparatem zawodowych ideologów. Spełniają oni w organizacjach laickich funkcje analogiczne do tych, jakie w organizacjach religijnych spełniają zawodowi teologowie. Rola ich jest specjalnie poważna i odpowiedzialna w takich systemach państwowych jak komunizm i faszyzm. Jednakże i systemy demokratyczne nie mogą się obyć bez swych fachowców-ideologów. W demokracjach stronnictwa polityczne, zespoły przekonaniowe, wszelkie grupy stawiające przed sobą jakieś szersze cele społeczne, nie mogą się obyć bez ideologów. Są to zarówno ideologowie-komentatorzy jak i ideologowie-propagandyści, których zadania są natury ściśle popularyzatorskiej. Wśród tych ostatnich ważne miejsce zajmują dziennikarze.

W ostatnich czasach wyłoniła się osobna kategoria zawodowych ideologów-propagandystów. Są to specjaliści od badania i urabiania opinii publicznej. W Stanach Zjednoczonych najwybitniejszymi przedstawicielami tej kategorii są *Madison Avenue boys*. Są to fachowcy w najwszechstronniejszym tego słowa znaczeniu. Opanowali oni doskonale technikę interpretacyjną i propagandową, tworząc sobie w ten sposób ekonomiczną bazę swego istnienia. Stali się oni ważnym elementem ekonomiki narodowej. Tworzą oni zespół całkowicie instrumentalny i zinstytucjonalizowany. Wykonują zadania, które im są zlecone przez zainteresowane jednostki czy grupy, i za to są płatni. Osobiste przekonania tych zawodowców — jeżeli w ogóle istnieją — nie są tu brane pod uwagę. Są wyłącznie fachowcami, których usługi są wynajmowane i opłacane przez zainteresowanych klientów. Amerykańscy — a obecnie i nie tylko amerykańscy — kandydaci do stanowisk politycznych, stronnictwa polityczne, *pressure groups* — wszyst-

ko to na coraz większą skalę korzysta z wiedzy, doświadczenia i sprawności tych wybitnych specjalistów. W ich doświadczonych rękach spoczywa akcja tysięcy *lobbies* amerykańskich.

Ta kategoria „ideologów” jest oczywiście produktem fantastycznego rozwoju współczesnej technologii, szczególnie w zakresie oddziaływania ludzi na ludzi. Jest też produktem postępującej alienacji człowieka od jego techniki. *Madison Avenue boys* nie są ani „idealistami” ani „ideowcami”. Przeciwnie, są jak najbardziej dalecy od jednego i drugiego. Są „ideologami” w tym sensie, że zajmują się „ideami”, że dla celów propagandowych odpowiednio je komentują i przedstawiają na użytek publiczny. „Idea” jednak jest tu towarem, który ma być umiejętnie zareklamowany. Propaganda jest tu jedną z postaci reklamy handlowej.

Madison Avenue boys nie są wyłącznie produktem ustrojów kapitalistycznych. W Stanach Zjednoczonych, kraju najbardziej rozwiniętej technologizacji życia zbiorowego, mogli oni znaleźć dla siebie szczególne zastosowanie i rozwinąć się w najwyższym stopniu. Wiele jednak zdaje się przemawiać za tym, że i w krajach „socjalistycznych” zaczyna się wytwarzać lokalny odpowiednik *Madison Avenue boys*. Za taki można uważać „aparatchków”, fachowo zajmujących się pracą ideologiczno-propagandową. Że nie tworzą oni podgrupy autonomicznej, ale są częścią ogólnego aparatu państwowego czy partyjnego, nie ma większego znaczenia. Funkcje ich są analogiczne, technika i jej środki wybitnie zbliżone. To co robią, również stanowi bazę ich ekonomicznego istnienia. Oczywiście zakres koncepcji, którym służą, jest tu bardzo ograniczony i sprowadzony do ram oficjalnego programu partyjnego. Ale i to ma znaczenie podrzędne. Jeżeli mają jakieś osobiste przekonania (co nie zawsze jest pewne!), to niekoniecznie musi to wpływać na charakter ich działalności. I oni nie są ani „idealistami” ani „ideowcami”, ale zwyczajnie fachowcami od popularyzowania idei.

IV

Co należy rozumieć przez termin „ideologia”? Tej sprawie poświęcona jest ogromna literatura. Jak już wzmiankowaliśmy, Jerzy Wiatr w swej książce stara się sformułować typologię wszelkich możliwych znaczeń tego terminu. Jest rzeczą wyraźną, że termin ten nigdy nie był traktowany jednoznacznie, że był odnoszony do bardzo różnych faktów. Niekiedy nie był on stosowany nawet do takich faktów, które znaczeniowo i zakresowo mogłyby być do niego odniesione. Tak np. Pareto, pisząc swe dzieło o różnych kierunkach i prądach socjalistycznych, używa nazwy „sys-

temy socjalistyczne", choć w rzeczywistości ma na myśli różne odchylenia socjalistycznej ideologii. W okresie jednak gdy powstawały *Les systèmes socialistes* nazwa „ideologia” nie była w zbyt wielkim rozpowszechnieniu. Pareto zaczął się nią posługiwać — zresztą ogólnie — później w swym „Traktacie” przy rozwijaniu teorii „derywacji”.

Mannheimowi zawdzięczamy pierwszą próbę stworzenia ogólnej teorii ideologii. Jednakże Mannheim wyraźnie zwęził zakres znaczeniowy tego pojęcia. Ideologię związał z utopią, co jest słuszne tylko w pewnym stopniu, i za istotny charakter ideologii uznał jej propagandowy charakter. Jest to bezspornie słuszne, ale nie wyczerpuje całości zagadnienia. Ponadto Mannheim sądzi, że propaganda ideologiczna nie jest możliwa bez świadomego zniekształcania obrazu rzeczywistości. Stale więc wchodzi tu w grę element świadomego fałszerstwa.

Podjmując próbę ustalenia zakresu znaczeniowego terminu „ideologia”, musimy opierać się wyłącznie na materiale empirycznym, to jest na tych stanowiskach, koncepcjach czy kierunkach, do których termin ten może być odniesiony i w rzeczywistości bywa odnoszony. Wypadnie nam wtedy odnaleźć, co wszystkie one mają wspólnego, jakie okoliczności warunkują fakt zaliczenia ich do „ideologii”.

Pierwszą z tych okoliczności jest istnienie jakiejś *wizji przyszłości*. Przyszłość ta jest oceniana jako wysoce *pożądana i godna osiągnięcia*. Oczywiście są nam znane wizje przyszłości niepożądanej i nie godnej osiągnięcia, przyszłości która budzi w nas lęk. Ale takie stanowiska pesymistyczne rzadko kiedy nabierają właściwości ideologii, choć często stają się składnikami ideologii o wizjach przyszłości pożądanej i godnej osiągnięcia. Ciemna przyszłość jest tu możliwością, która się spełni, jeżeli nie wybierzemy alternatywy prowadzącej do przyszłości jasnej. Możemy śmiało przyjąć, że optymistyczna wizja przyszłości jest właściwa ogółowi znanych nam ideologii.

Mannheim tę wizję przyszłości sprowadza do kategorii „utopii”. Od razu wprowadza to element wartościowania ujemnego czy lekceważącego. Uważając jakiś pogląd za „utopijny”, z góry go deprecjonujemy; uważając jakiś zamierzenie za „utopijne”, z góry przesądzamy niemożliwość jego osiągnięcia. W praktyce sądy takie i przewidywania nieraz okazywały się fałszywymi.

Marks swój socjalizm „naukowy” przeciwstawił socjalizmowi „utopijnemu”. W koncepcji marksowskiej „utopią” jest wszelka próba tworzenia wizji przyszłości, oparta wyłącznie na pożądalności tej przyszłości, ale bez uwzględnienia warunków i możliwości rozwoju historycznego. Socjalizm marksowski przez to stał się „naukowym”, że jest oparty na wszechstronnej i gruntownej

wiedzy rzeczywistych procesów rozwoju historycznego. Przyszły ustrój socjalistyczny będzie koniecznym rezultatem tych procesów. Stąd ustrój ten to nie wizja przyszłości, ale jej przewidywanie, oparte na faktach i tendencjach dziejów.

Marks i jego szkoła wychodzą z założenia posiadania prawdziwej wiedzy o mechanizmie dziejów. Jak się przekonamy, miało to ogromną wartość praktyczną dla całego ruchu, wywodzącego się z ideologii marksowskiej. Z największym zapałem walczyliśmy o realizację naszych celów, gdy wiemy że jesteśmy narzędziami nieuniknionego rozwoju dziejowego, który do tych celów prowadzi. Zapał istniał też i wśród inteligencji hitlerowskiej. Hitlerizm był też posiadaczem prawdziwej wiedzy o mechanizmie dziejów i przyszłość, do której zmierzał, nie była wizją, ale trafnie przewidzianym celem historii. Z czego oczywiście nie wynika, byśmy „naukowość” Hitlera traktowali na jednym poziomie z koncepcjami Marksa. Marks nawet w swych błędach nie przestawał być wielkim myślicielem. I nie mógł być odpowiedzialny za wnioski wyciągane przez jego uczniów i wyznawców.

Oczywiście jeżeli się przyjmie jednokierunkowość procesu historycznego i jednorodność czynników jego uwarunkowania, przewidywanie przyszłości stanie się sprawą dość prostą. Można tu nawet mówić nie o przewidywaniu, ale o pewności i konieczności. Ale sceptykowi mogą się nasunąć liczne wątpliwości. Czy znane są nam wszystkie czynniki warunkujące proces historii? Czy możemy z całą pewnością określić, które ze znanych nam czynników będą miały decydujący wpływ na przebieg przyszłych wydarzeń? A do tego dochodzi wielka niewiadoma w postaci czynników, które w tej chwili nie istnieją lub istnieją w postaci zaczątkowej, a które rozwijając się z czasem będą miały zasadniczy wpływ na dalszy rozwój historii. Wystarczy tu wskazać na społeczne, polityczne i kulturalne następstwa osiągnięć dzisiejszej technologii — faktu, którego Marks nie przewidział i przewidzieć nie mógł.

Rzecz jest w tym, iż nasz stosunek do faktów historycznych i ich ocena są uwarunkowane przez doświadczenia epoki, w której sami żyjemy. Inaczej, są społecznie uwarunkowane. Jest to głęboka myśl, którą w pierwszym rzędzie zawdzięczamy samemu Marksowi.

Robiąc nasze przewidywania przyszłości, opieramy się na faktach danych nam w naszym dotychczasowym doświadczeniu. Przyszłość widzimy jako przedłużenie teraźniejszości i przeszłości. Patrząc retrospektywnie na wydarzenia, możemy stwierdzić jak dalece to co zaszło nie było zgodne z tym co było przewidywane. Paretońska teoria celu zamierzonego i celu osiągniętego znajduje tu swoje uzasadnienie.

Oczywiście przewidywanie przyszłości ma zawsze potężną wartość emocjonalną. Jest to wartość natury ideologicznej. Każda ideologia, tworząc wizję przyszłości, musi tym samym założyć jej przewidywalność. Dla żadnej ideologii jej wizja nie może być traktowana utopijnie. Inaczej straciłaby całą swoją wartość emocjonalną i swoją dynamikę. Obiektywnie rzecz biorąc, w każdym przewidywaniu zawiera się element utopii, i tu Mannheim ma słuszność. Ale w odczuwaniu twórców i wyznawców ideologii utopijność celu nie istnieje i istnieć nie może.

Nie wolno też zapominać i o tym, że nasze przewidywania odnoszą się do przyszłości pożądaney. Oznacza to, że do aktu przewidywania wprowadzamy sady wartościujące i normatywne, którym towarzyszą jakieś stany emocjonalne. Wyprowadzając przyszły pożądaný stan rzeczy z istniejących faktów, nie zajmujemy wobec tych faktów pozycji bezstronnego badacza. Ideolog nie jest biologiem czy fizykiem, który ze swej obserwacji faktów przyrody stara się skwapliwie wyeliminować możliwość błędu indywidualnego. Natomiast ideolog jest sam organicznie związany z faktami, które rozważa i z których wyprowadza swe przewidywania przyszłości. To samo odnosi się i do jego przewidywań odnośnie użycia środków i metod, prowadzących do osiągnięcia celu. Naturalnie jest on stale przekonany o rzetelności swych wysiłków intelektualnych. Jest człowiekiem charyzmy i głębokiej wiary. Tworzy wizję przyszłości, która może być niezmiernie pociągająca. Stąd jednak nie wynika, by jego przewidywanie było oparte na obiektywnie mocnych podstawach.

Nic też dziwnego, że pewność czy prawdopodobieństwo przewidywania budziły wątpliwości wśród pewnych ideologów, bardziej praktycznie i racjonalnie usposobionych. W końcu wieku XIX w środowiskach socjalistycznych intelektualistów pewnych krajów Zachodniej Europy wytworzył się sceptycyzm odnośnie konieczności przyszłej rewolucji i jej przewidywania. Rewizjoniści niemieccy i reformiści włoscy byli nadal przekonani o słuszności ruchu socjalistycznego jako w sposób pożądaný przekształcającego rzeczywistość społeczną i polityczną. Widzieli w nim najlepszą drogę do osiągnięcia emancypacji mas robotniczych. Nie mieli jednak żadnej pewności, by dalszym etapem tego ruchu miała być powszechna rewolucja i ostatecznym celem bezklasowy ustrój socjalistyczny. Nawet bez wizji takiego celu, którego konieczności nastania udowodnić się nie da, ruch robotniczy będzie mógł zdobyć wielkie osiągnięcia, i na tym polega jego sens historyczny. To właśnie na myśli miał Edward Bernstein, głosząc zasadę *Die Bewegung ist alles*. W praktyce odpowiadało to metodom angielskiego „fabianizmu”.

Czy jednak ruch robotniczy może utrzymać swoją dynamikę

bez wiary w osiągnięcie celu ostatecznego? Takie pytanie postawił Georges Sorel. I odpowiedź jego była przecząca. Dynamizm każdego ruchu masowego wypływa z wiary w osiągalność celu ostatecznego. Jednakże osiągalność tego celu nie może być uzasadniona przy pomocy racjonalnego przewidywania. Czy jest to ważne? Sorel przypuszczał, że ważne jest tylko to, by cele były odczuwane jako osiągalne przez uczestników ruchu. Obojętne jest czy naprawdę będą osiągnięte. Istotne jest, by stały się mitemi społecznymi, wyrazami wiary szerokich mas ludzkich. I wtedy staną się bodźcem do działań zbiorowych. Działania te dadzą jakieś pożądane konkretne wyniki, choć te nie muszą być zgodne z treściami mitów.

Sorelowski mit jest wizją przyszłości. Jest to jednak wizja bardzo ograniczona. Wyrosła ona z pragmatyzmu amerykańsko-angielskiego, który na Sorela wywarł silny wpływ. Na taką koncepcję wizji przyszłości nie zgodzi się i zgodzić nie może żaden ideolog-prorok. Jego wizja przyszłości nie może być tylko mitem, ale nieuniknionym stanem rzeczy. Ideolog nie tworzy hipotez, nie przypuszcza, ale przewiduje. I ma wiarę w nieomyłość swego przewidywania.

Nie zmienia to sprawy, że i Sorela — przy całym jego sceptycyzmie odnośnie możliwości przewidywania — musimy zaliczyć do szeregu ideologów-proroków. Różniło go od innych to, że wizję pożądanej przyszłości przeniósł na ruch robotniczy i jego metody. Rozwijając filozofię syndykalizmu, tworzył on wizję działań i metod organizacyjnych, jakie masom robotniczym zapewnią ogromne zdobycze i tym samym przekształcą istniejącą rzeczywistość. Fakt, że syndykalizm przez wiele lat był ważnym elementem w ruchu robotniczym Francji, Włoch, Hiszpanii i jeszcze kilku krajów, najlepiej świadczy o inspiratorskich zdolnościach Sorela-ideologa i proroka.

V

Ideologia, tworząc wizję przyszłości, traktuje tę przyszłość jako *cel działania*, który jest zarówno pożądany jak i osiągalny. Osiągalność jego wynika z pewnych założeń historiozoficznych, niekiedy — z przeświadczenia o istnieniu potężnych racji moralnych czy społecznych, uzasadniających konieczność jego osiągnięcia. W ideologiach nowoczesnych jest to cel ziemski, doczesny, nie projektowany w życie pozagrobowe. Odnosi się on bądź do całokształtu stosunków międzyludzkich, bądź też do jakiejś ich dziedziny.

To ostatnie oznacza, że *zakres* tego celu może być różny. Ideologia np. prohibicji widziała swój cel w obowiązkowym za-

kazie sprzedaży napojów alkoholowych. Był to cel negatywny, którego jednak osiągnięcie prowadziło do szerszych pozytywnych przemian w stosunkach międzyludzkich. Zwolennicy prohibicji widzieli w konsumpcji alkoholu źródło wszelkich nieszczęść społecznych. Zakaz sprzedaży alkoholu miał stworzyć nową erę powszechnej szczęśliwości, zresztą definiowanej bardzo mętnie i ogólnikowo. W każdym razie zakres celu, do którego zmierzali ideologowie prohibicji, był dość wąski.

Na ogół jednak cel jest ujmowany bardzo szeroko. Jest to rzecz tak doniosła i o tak wielkich następstwach, jak zdobycie własnego państwa, jego potęga, zjednoczenie narodowe, nowy ustrój społeczny, uszlachetnienie rasy, wyzwolenie ludzkości, sprawiedliwość powszechna i td. W każdym wypadku chodzi tu o gruntowną przemianę całego współżycia ludzkiego.

Samo wszakże postawienie celu nie tworzy jeszcze ideologii. Postawienie takie może być tylko hasłem, rzuconym w sposób dowolny. Cel nabiera jednak innego sensu, gdy staje się punktem centralnym całego systemu przekonań, dokładnie rozwiniętego i przepracowanego. I tu dochodzimy do drugiej istotnej cechy ideologii. Jest ona *systemem przekonań*.

Ideologia musi być wyrażona w postaci zdań, wypowiadających jakieś sądy, ułożonych systematycznie i stanowiących całość. Najczęściej taki system jest zawarty w jakiejś książce czy w szeregu książek. Jako przykłady mogą posłużyć: „Manifest komunistyczny”, „Państwo i rewolucja”, „Mein Kampf”, „Myśli nowoczesnego Polaka” i cała masa podobnych enuncjacji. Zazwyczaj jest to uzupełniane przez inne wypowiedzi, które są dziełem bądź twórcy ideologii bądź jego uczniów czy komentatorów. Wreszcie system jest formułowany w postaci popularnej dla celów propagandystycznych. Służą temu książki, broszury, artykuły, ulotki i tp. W naszych czasach *media of mass communication* — radio, telewizja i film przede wszystkim — spełniają takie zadania popularyzatorsko-propagandowe. Dla dramatyzacji koncepcji i nadania im większej mocy emocjonalnej używane są też wszelkiego rodzaju demonstracje masowe w rodzaju pochodów, marszów, parad wojskowych i niewojskowych, zgromadzeń publicznych i tp. Są to zawsze widowiska bardzo barwne i głośnie.

Centralnym punktem każdego systemu ideologicznego jest ustalenie i uzasadnienie wizji pożądanej i osiągalnej przyszłości. Ideologia tym samym jest systemem *teleologicznym*. Powstaje ona i rozwija się pod znakiem celowości. Swoją sens zawdzięcza celowi, jaki wyznacza, i środkom, jakie prowadzą do jego osiągnięcia. Cel ten odnosi się do przyszłości. Zakłada on powstanie nowego porządku rzeczy, innego niż istniejący, który *explicite* jest uznany za niepożądany i nie do utrzymania. Inaczej — ideolog,

formułując swój system, posługuje się szeregiem sądów wartościujących i normatywnych, starając się jednak nadać im postać sądów twierdzących o faktach. Ponadto, jeżeli wprowadza on elementy czysto opisowe, to służą mu one za ilustracje i oparcie dla całego systemu wartościowań i reguł.

To zasadniczo różni pracę ideologa od pracy badacza. Ten ostatni stara się zachować wielką ostrożność w operowaniu sądami wartościującymi. Jego celem jest opis faktów i ich analiza. Wartościowanie ich pod kątem kryteriów moralnych, religijnych, politycznych, społecznych i tp. nie jest jego zadaniem. Tu różnica między Marksem-autorem „Kapitału” a Marksem-autorem „Manifestu komunistycznego”. Jest jasne, że i w „Kapitale” Marks posługuje się sądami wartościującymi. Ale o znaczeniu jego dzieła decyduje metoda opisowo-analityczna, jaka w nim została użyta. Fakt, że „Kapitał” był przez marksistów używany dla celów czysto ideologicznych, nie zmienia charakteru tego dzieła. W podobny sposób ideologowie ateizmu i postępu posługiwali się Darwinem. Nie wynika stąd, by „Pochodzenie gatunków” było pisane dla celów ideologicznych.

Tworząc wizję pożądaną i osiągalną przyszłości, każda ideologia musi ustosunkować się krytycznie do teraźniejszości. Rzeczywistość tę ocenia, stosując do niej sądy wartościujące wynikające z wizji przyszłości. Z afirmacji istniejącej rzeczywistości nie powstają ideologie. Odnosi się to i do ideologii konserwatywnej. Żadna z nich bowiem nie jest ślepą wielbicielką wszystkiego co istnieje. I żadna nie jest przeciwniczką zmian. Konserwatyzm brytyjski odnosi się głównie do tempa zmian, przyjmując jednak konieczność i racjonalność wielu z nich. Konserwatyzm amerykański ma wizję przyszłości, polegającą na nawrocie do przeszłości, którą uważa za lepszą od teraźniejszości i godną przywrócenia. W swych metodach umie być nawet bardzo radykalny.

Krytyczne ustosunkowanie się do istniejącej rzeczywistości jest punktem wyjściowym systemów ideologicznych i stanowi dalszą cechę ideologii. Wizja pożądaną przyszłości wtedy nabiera swego sensu, gdy staje się zaprzeczeniem tego, co obecnie istnieje. Tylko przez krytykę tej rzeczywistości można uzasadnić i usprawiedliwić konieczność i słuszność pożądanego celu. Nacjonalizm musi wykazać niedolę czy upośledzenie grupy narodowej, której chce służyć. Na lwią część „Mein Kampf” złożyły się opisy okropności systemu weimarskiego. Socjalizm wykazuje wszystkie złe strony kapitalizmu. Antysemityzm wszystkie źródła nieszczęść społecznych widział w roli, odgrywanej przez Żydów. Ideologia białej supremacji jest przerażona następstwami mieszania się z czarnymi. Amerykańska *Anti-Saloon League* dramatycznie opisywała potworności alkoholizmu.

W tej krytyce istniejącej rzeczywistości treści emocjonalne są z reguły ukrywane pod formami racjonalnymi. Szczególnie w krytyce ideologowie chętnie uciekają się do argumentów, które mają być naukowymi. Hitler w swej ideologii sięgał do antropologii, rozumianej bardzo swoiście. Marksisci sięgają do rozległych dziedzin ekonomii politycznej, socjologii, historiozofii, teorii państwa i prawa.

Wizja przyszłości i negacja teraźniejszości uzupełniają się nawzajem. Dla powodzenia ideologii niezbędne jest niezadowolenie z rzeczywistości. Ideologia niezadowolenie to jakoś kanalizuje, daje mu cel, wiarę i perspektywę przemiany. Równocześnie racjonalizuje stan niezadowolenia i daje mu dynamikę skierowaną w stronę przyszłości.

Zasadnicze znaczenie ma tu fakt istniejącego niezadowolenia z rzeczywistości. Gdyby narodowości bezpaństwowe we wszystkich środowiskach godziły się z brakiem własnej państwowości, żadne ideologie rewolucyjno-niepodległościowe nie mogłyby się były w nich rozwinąć. Hitler nie osiągnąłby sukcesu, gdyby w Niemczech nie panował nastrój powszechnego niezadowolenia. Lenin nie zwyciężyłby, gdyby w Rosji panowały nastroje przychylne dla wojny i caratu. By stać się zwycięskim prorokiem, trzeba mieć tych, którzy czekają na proroka. I do nich trzeba umieć przemówić. Trzeba umieć wyzyskać ich stan niezadowolenia. Inaczej będzie się fałszywym prorokiem, jakich całe masy nie znalazły dla siebie miejsca w historii.

VI

Jako system przekonań ideologia ma charakter *charyzmatyczny*. Wynika to przede wszystkim z charyzmy jej twórcy-proroka. Może to być charyzma świadomie przez niego odczuwana i uznawana przez jego wyznawców, jak to ma miejsce w przypadku np. Stalina, Hitlera czy Mao Tse-tunga. Może to być również charyzma przypisana twórcy przez jego wyznawców. Marks i Lenin mogą tu służyć za przykłady. W każdym razie charyzmatyczne właściwości twórcy przenoszą się na jego dzieło. Ideologia wyraża jakąś prawdę absolutną, która nie może być zaprzeczona. Jest ona czymś jedynym i doskonałym. Albowiem jest przeznaczona do spełnienia misji, która jest czymś jedynym i doskonałym, a zarazem bezspornie prawdziwym.

Koncepcja wysuwająca przyszłe cele, które, choć wysoce pożądane, nie są doskonałymi, nie jest ideologią. Jest po prostu programem reform. Program taki może wynikać z jakiejś ideologii i mieścić się w jej ramach. Oznacza to wtedy, że chodzi

o zrealizowanie pewnych konkretnych środków, potrzebnych dla osiągnięcia celu ostatecznego. W koncepcjach socjalistycznych odróżniano program minimalny od maksymalnego. Reformy składające się na treść programu minimalnego były czymś wysoce pożądanym, ale nie były doskonałymi. Były tylko możliwymi etapami na drodze do osiągnięcia doskonałości. Koncepcja, która ogranicza się do *możliwego*, przestaje być ideologią.

Jest rzeczą wyraźną, że nowoczesne stronnictwa polityczne, prowadzące walkę o reformy na terenie instytucji parlamentarnych, coraz bardziej tracą charakter zespołów ideologicznych. Ich akcja sprowadza się do osiągania tego co możliwe i nie pretenduje do celów doskonałych. Stronnictwa te mogą powoływać się na formalnie obowiązujące ideologiczne wyznania wiary, członkowie ich mogą się posługiwać motywacjami i racjonalizacjami natury ideologicznej, ale cała praktyczna działalność jest tu sprowadzana do sfery możliwego, jest pod znakiem stałego robienia kompromisów.

Charyzmatyczny charakter ideologii powoduje jej *bezkompromisowość*. Prawda absolutna jest jedna i niepodzielna. Ideologiczny kompromis byłby jej zaprzeczeniem. Dbanie o „czystość” ideologii jest ważnym zadaniem ideologów-komentatorów. Każda ideologia konkurencyjna jest samym faktem swego istnienia wyzwaniem rzuconym naszej ideologii, jest zaprzeczeniem jej charyzmatycznych właściwości. Nie może tu być mowy o współistnieniu. Ideologia *nie może być tolerancyjna*. Nie jest nią nawet wtedy, kiedy za cel stawia sobie osiągnięcie powszechnej tolerancji. Będzie wtedy zwalczać wszelki „fanatyzm”.

W praktyce zwycięstwo haseł tolerancyjnych oznacza słabnięcie napięcia ideologicznego i postępowanie procesu instytucjonalizacji i formalizacji charyzmy. W miarę jak ta ostatnia staje się tylko formą i rytuałem, w miarę jak zanika jej napięcie emocjonalne, zaczynają się wytwarzać i rozwijać postawy tolerowania ideologii konkurencyjnych. Jest to jednak stale wynik dłuższego procesu, połączonego z daleko posuniętymi zmianami w strukturze całego zespołu ideologicznego.

Nie wynika stąd, by nawet najbardziej nietolerancyjne zespoły ideologiczne w praktyce nie posługiwały się kompromisami. Odnosi się to jednak wyłącznie do posunięć taktycznych, do środków i etapów prowadzących do zdobycia celu ostatecznego. Hitler przed zdobyciem władzy — a nawet po jej zdobyciu — szedł na różne kompromisy. Okres np. Nepu może posłużyć za przykład kompromisowości Lenina. Nawet Mao Tse-tung nie unika pewnych kompromisów. W żadnym jednak wypadku kompromis nie odnosi się do prawdy absolutnej, wyrażanej przez ideologię. Ma wyłącznie charakter taktyczny, odnosi się do zabiegów doraźnych,

niegdą do spraw zasadniczych. Komunizm sowiecki w swej taktycznej kompromisowości umie wykazać wysoki stopień elastyczności.

Ale nawet czysto taktyczna kompromisowość może budzić niepokój w wyznawcach, dbających o „czystość” ideologii. Może też w ogóle budzić duże podejrzenia i obawy. Czy kompromis w środkach nie oznacza lub nie prowadzi do kompromisu w celach? Takie są zarzuty, jakie komunizm chiński stawia swemu sowieckiemu konkurentowi.

Zasadniczym zadaniem ideologów-komentatorów i propagandystów jest stałe wykazywanie, że kompromisy taktyczne są zarówno zgodne z założeniami ideologicznymi jak i z nich wynikają. Udowadnianie to jest często operacją bardzo subtelną i niełatwą. Jest jednak operacją konieczną, gdyż obawy i podejrzenia mogą prowadzić do powstawania herezji.

Herezje są nieodłącznym towarzyszem dziejów wszelkich ideologii. W pierwszym rzędzie powstają one na gruncie interpretowania metod i środków. Herezja rodzi się z przekonania, że interpretacje pewnych działań praktycznych pozostają w wyraźnej sprzeczności z obowiązującą ideologią. Oczywiście w praktyce spór interpretacyjny może być tylko fasadą, poza którą ukrywają się walki współzawodników o władzę i o prawo do własnej charyzmy. W każdym wypadku spory takie są bardzo niebezpieczne. Podważają one charyzmę oficjalnych interpretatorów i są groźbą dla ich pozycji wśród wyznawców. Losy Trockiego, Zinowiewa, Bucharina czy Kamienewa mogą tu posłużyć za pouczającą ilustrację.

VII

Wszystko cośmy dotąd mówili nie daje nam jeszcze pełnego obrazu tego, co określamy jako ideologia. Aby jakiś system przekonań o przyszłości mógł stać się ideologią, musi on być uznany przez szersze zespoły ludzkie, stać się ich wyznaniem wiary i motorem ich działań zbiorowych. Inaczej, ideologia zakłada fakt powstania i istnienia „*ruchu*”.

Mówiąc o ruchu, mamy na myśli zespół zorganizowanych działań zbiorowych, zmierzających do osiągnięcia celów, sformułowanych w danej ideologii. Ruch najczęściej implikuje masowość tych działań, choć oczywiście nie da się ona wyrazić w postaci statystycznej. Jest to tym trudniejsze, że ruch może być czymś znacznie szerszym, niż taki zorganizowany zespół ideologiczny jak np. partia polityczna. Nie da się powiedzieć, od jakiej liczby uczestników zaczyna się fakt powstania „*ruchu*”. W każdym razie musi to być liczba dość znaczna.

Należy jednak pamiętać, że w olbrzymiej ilości znanych nam wypadków ruchu zaczynały się od małej liczby uczestników. Była to garść pierwszych wyznawców, którzy skupili się przy ideologu-proroku i przyjęli jego charyzmę. Byli to zarazem pierwsi apostołowie, najbliżej uczestniczący w charyzmie proroka i przyszłego wodza. Naczelnym zadaniem tego zespołu było pociągnięcie za sobą szerokich gromad ludzkich. Gdy to zaczynało być osiąganе, powstał ruch.

W tym sensie mówimy o ruchach narodowych czy nacjonalistycznych, o ruchu socjalistycznym czy komunistycznym, o ruchu kobiecym czy antyalkoholowym, o ruchu pacyfistycznym czy esperanckim i td.

Ruch wymaga jakiejś organizacji. Jest ona niezbędna jako narzędzie działań zbiorowych prowadzących do osiągnięcia celu ostatecznego. Może ona być luźna i może być bardzo zwarta, zakładająca surową dyscyplinę i ścisły system hierarchiczny. W tym ostatnim wypadku staje się ona partią polityczną, nieraz jednak skupiającą dokoła siebie znacznie szersze i luźniejsze zespoły ludzkie. Można wszakże przytoczyć liczne przykłady ruchów posługujących się zwartymi formami organizacyjnymi, które nie stały się partiami politycznymi. Tak jest w przypadku różnych ruchów religijnych. Jako inny przykład mogą posłużyć związki zawodowe.

W każdym razie formy organizacyjne ruchów — luźne czy zwarte — mogą być bardzo różne. Są to, obok partii politycznych, związki zawodowe, zespoły paramilitarne, wszelkiego typu stowarzyszenia i asocjacje, sekty religijne i td. Armia Zbawienia może posłużyć za przykład skombinowania różnych typów organizacyjnych.

Ruch nie może być czymś statycznym. Musi być w stałym działaniu. Tak czy inaczej, musi mieć charakter rewolucyjny. Bez tego staje się instytucją, przeradza się w *establishment*, a ideologia jego przeobraża się w formalną doktrynę, w praktyce niekoniecznie obowiązującą. Objawy tego dają się dziś zauważyć w przypadku europejskiego i sowieckiego komunizmu. W Chinach natomiast jest to wciąż ruch i żywa ideologia.

Wiele okoliczności składa się na powstanie dynamiki ruchu. Działa tu zarówno niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy jak i atrakcyjność wizji przyszłości i wiara w jej osiągalność. Szczególne znaczenie ma też przekonanie o charyzmie ideologa-proroka i o charyzmie całego ruchu. Uczestnicy ruchu głęboko wierzą w misję, do której spełnienia zostali powołani.

Dynamika ruchu jest pochodną napięcia emocjonalnego, jakie panuje w całym zespole. Twórcy ideologii i ich wyznawcy posługują się wszelkiego rodzaju racjonalizacjami. Każda ideologia stara się przybrać postać racjonalnego systemu. Ludzie, którzy za

nią idą, szukają racjonalnych odpowiedzi na swe pytania i szukają racjonalnej gwarancji zarówno słuszności swej sprawy jak i pewności zwycięstwa. Nie racjonalizacje jednak decydują o mocy ich dążeń i woli zwycięstwa. Decyduje napięcie emocjonalne, entuzjazm, miłość dla sprawy i nienawiść do jej wrogów. Dzięki temu gotowi są oni pójść na ofiary i poświęcenia. To napięcie emocjonalne, te postawy irracjonalne są warunkiem przyjmowania odpowiednich racjonalizacji, bez względu na ich wady logiczne, sprzeczności wewnętrzne i niezgodność z faktami rzeczywistości. Pareto w swej teorii residuum i derywacji wnikliwie wyjaśnia to zagadnienie.

W tym napięciu emocjonalnym szczególne znaczenie ma charyzma twórcy-proroka i jego kult. Już to samo staje się źródłem potężnych emocji, popychających masy ludzkie w kierunku działań zbiorowych. Napięcie takie może się utrzymać i w takich wypadkach, gdy osoba twórcy-proroka stopniowo zaczyna ulegać zapomnieniu, lub gdy osobiście unikał on wykazywania swych cech charyzmatycznych. Tak np. było w przypadku ruchu esperanckiego, którego twórcą był skromny lekarz-marzyciel. I tak było w przypadku *Anti-Saloon League*, gdzie osoba inicjatorki dość szybko zeszła w cień. Charyzma była tu przeniesiona na cały zespół lub na jego kierownictwo.

Emocjonalne i irracjonalne treści ideologii najpełniej wypowiadają się w ruchu. A równocześnie ideologia bez ruchu staje się pustym słowem. Jej ważnym zadaniem jest powołanie ruchu do życia, zorganizowanie go, danie mu racji istnienia, dostarczenie mu potężnej motywacji.

VIII

Spróbujmy teraz podsumować to wszystko, cośmy dotąd powiedzieli o ideologii. Zaczniemy jednak od pewnej uwagi natury bardzo ogólnej: ujęcie ideologii pojęciowo niezbyt odbiega od wywodów platońskiej nauki o Erosie.

Każda ideologia zakłada pewien cel doskonały, który może i powinien być osiągnięty. Świadomość tego celu jest wynikiem naszego poznawania istniejącej rzeczywistości. Z tej świadomości i z tego poznawania wypływają nasze działania zbiorowe, prowadzące nas do zrealizowania naszej wizji przyszłości. Przy wszystkich różnicach terminologicznych, nie odbiega to od fundamentalnych koncepcji Platona nauki o Erosie. „Idea” jako zasadniczy składnik nazwy „ideologia” ma swoje uzasadnienie, sięgające wstecz do myśli wielkiego filozofa antyku.

Po tej uwadze wstępnej możemy wrócić do sprawy zakresu

znaczeniowego naszego terminu. Następujące elementy były tu przez nas wzięte pod uwagę:

1. Ideologia jest systemem przekonań, formułujących jakąś wizję przyszłości zarówno pożądaną jak i osiągalną. Przeciwwstawieniem tej wizji jest istniejący porządek rzeczy, oceniany krytycznie i negatywnie.

2. Przekonania, składające się na system, mają formę sądów orzekających o faktach, które jednak są podporządkowane sądom wartościującym i faktycznie do nich się sprowadzają. W każdej ideologii to „co jest” i to „co nie jest” są identyczne z tym „co być powinno” i „co być nie powinno”. Zachodzi tu zupełne utożsamienie tych dwóch rodzajów sądów.

3. Genetycznie ideologia wywodzi się od jakiegoś twórcy-proroka i jest rozwijana, komentowana i propagowana przez uczniów, wyznawców i fachowych specjalistów od interpretacji i propagandy.

4. Twórca-prorok jest traktowany przez wyznawców jako postać charyzmatyczna i sam najczęściej jest we własnym przekonaniu nosicielem charyzmy. Przenosi się to na sam system przekonań i na tych wszystkich, którzy systemowi służą. Ideologia jest produktem charyzmy i jej wyrazicielką.

5. Stąd wynika charakter ideologii jako wyrazu prawdy absolutnej i równocześnie stąd wynikają jej potężne treści emocjonalne. Te ostatnie są potęgowane przez warunki historyczne powstawania danej ideologii. Jako wyraz prawdy absolutnej ideologia nie może współistnieć z ideologiami konkurencyjnymi. W konsekwencji jest ona ortodoksyjna, nietolerancyjna, zwalczająca wszelkie herezje.

6. Ideologia wymaga masowego ruchu o formach organizacyjnych. Jego celem jest osiągnięcie i urzeczywistnienie wizji przyszłości oraz walka z przeszkodami, stawianymi przez istniejącą rzeczywistość. Stąd ruch taki jest dynamiczny i rewolucyjny. Oczywiście aby ruch taki powstał, przyjął ideologię i rozwinął działanie, musi on być uwarunkowany społeczno-historycznie. Każda ideologia i każdy ruch są produktami określonych warunków czasu i miejsca. Inaczej system tworzący wizję pożądaną przyszłości nie jest ideologią, ale fantazją, utopią, efemerydą o epizodycznym znaczeniu historycznym.

Tak wygląda nasza próba ustalenia treści i zakresu terminu „ideologia”. Jest to jednak wciąż bardzo dalekie od wyczerpania zawartości całego zagadnienia. Ma ono i dalsze aspekty, nad którymi teraz wypadnie nam się zatrzymać.

Aleksander HERTZ

Zawiłości i uproszczenia

Pamięci Klary

Żyjemy w niezwykłym wieku. Niezwykłym z wielu powodów. Boję się frazesu „wiek przełomowy”, ale frazes — powtarzając sprawy oczywiste — ma wartość jako akcent i trzeba tę oczywistość wypowiedzieć na wstępie. Cokolwiek było w naszej młodości — a dla ścisłości, jestem w średnim wieku lat 60-ciu — przestało istnieć raz na zawsze. Jak bohater powieści Wellsa, przekroczyliśmy granicę czwartego wymiaru, a z takich wycieczek powroty są możliwe tylko w powieściach fantastycznych. Przed pierwszą wojną światową porządek spraw był wyregulowany jak zegar. Mógł iść za wolno albo mógł przyspieszać, ale jego mechanizm był wiarygodny i napawał zaufaniem. Demokracja była demokracją; monarchia była c.k. lub podobnie niewzruszalna; atom był najmniejszą, niepodzielną i niezniszczalną częścią materii; rodzina, religia i majątek były alfą i omegą porządku społecznego i nawet ci co się z tym nie zgadzali pomlaskiwali świętoszkowato na myśl o macierzyństwie, Panu Bogu i Rotszyldach; pan był z dziada-pradziada; poezja musiała się rymować; prawa przyrody były niezmiennie i wieczne. Wmówiono nam także — i naiwnie w to wierzyliśmy — że wiek XIX był wiekiem pokoju i spokoju społecznego, wiekiem triumfującej tradycji i tradycyjnego układu sił. Pax Britanica, Trójprzymierze, doktryna Monroe’go etc.

W Polsce, nawet pierwsza wojna nie zmieniła tradycyjnego myślenia. Szlachetczyzna przebrała się w biurokrację ale wszyscy wiedzieli, że to *wsio* ryba. Kolega — Boże, jak ten czas leci, nie pamiętam już nawet nazwiska — „wyleciał” z 8-ej gimnazjalnej tuż przed maturą za to, że odważył się napisać w wypracowaniu szkolnym, że Trylogia jest pełna sadyzmu. Olgierd Górka powiedział to samo, ale jakoś rozeszło się po kościach. Może dla tego,

że nie był Żydem! Wierzyliśmy święcie we wszechwiedzę humanistyki i w niższość scjentyfiki (Chemia jest taka praktyczna, Henryku, to dobre dla syna stróża, nie dla Ciebie!).

Ewolucjonizm przyrodniczy nie był problemem w Polsce tak jak nim był w Anglii i Ameryce bo nie groził naszemu zacofaniu. Nawet kościół był postępowy i inteligencki, gdy mógł sobie na to pozwolić, a często mógł sobie na to pozwolić bo niewiele groziło bezwładności naszego domowego wykształcenia. Płaciliśmy za to drogo niską stopą życiową, nie-uprzemysłowieniem, zacofaniem intelektualnym, zaściankowością naszej literatury i sztuki. Jedyna muzyka, ze wszystkich muz, wyrosła nad poziomy. Dowód, że nasze zacofanie nie było genetyczne lecz środowiskowe, bo muzyka i scjentyfika łączą się podobno znacząco w uzdolnieniach jednostek. Przebłyski w tym mroku były rzadkie i nawet praktyczność polskiego pozytywizmu nie umiała przemówić znacząco do współczesnych. Pozytywizm był wyjątkiem który potwierdzał regułę. Regułę, której uosobieniem było „Bez Dogmatu”, może dlatego, że była tak dogmatyczna. Na pocieszenie pp. szowinistów, te polskie przykłady są tylko lokalną ilustracją czegoś bardziej powszechnego. Królowa Wiktorja nie na próżno symbolizuje wiek XIX-ty.

Nagle, na naszych oczach, wszystko się przełamało. Pewność stała się niepewnością, porządek przyczyny i skutku przemienił się w chaos statystycznie uchwytne ale niezrozumiały dla scjentyficznie niedokszałconych. „Wojna jest pokojem. Wolność jest niewolą. Ciemnota jest siłą”.

— To tak odświeżająco, wisieć nad przepaścią — powiedział mi (alegorycznie) młody człowiek, lat poniżej 30, gdy wyraziłem zdziwienie, że rzucił pewną i lukratywną posadę, żonę i rodzinę i wyjechał do Afryki z jakąś mglistą misją bez określonego celu i bez zapewnionych funduszy. I nie było w tym nic idealistycznego. Ot, po prostu, jego filozofia życiowa buduje na wodzie, tak jak nasza budowała na fundamentach familijnych, finansowych i politycznych. Tego, że żelazobeton naszych fundamentów okazał się równie płynny, jakoś nie zauważyłem gdy krytykowałem awanturniczą żyłkę mego młodego przyjaciela. Nie myślałem także... o hydrostatyce! (A w ogóle *chapeau bas* przed „beat’nikami”, „peace’nikami”, długowłosymi mandolinarzami, brodacami, dziewczętami w czarnych leotardach, przed wszystkimi którzy z godnością i bez gwałtu protestują, buntują się, zaprzeczają, którzy stają po stronie takiej, siakiej czy owakiej, którzy w imię czegoś lub bez pretekstu, z przekonania lub nierozsądnie mają odwagę ogłaszać swe poglądy słowami czy przykładem. To jest moje prywatne, nieproszone, może nawet niemile widziane oświadczenie. Oświadczenie człowieka „ponad 30”).

W polskiej literaturze, Skamander „wiślaną mieniąc się falą”, był tylko odbiciem dziewiętnastowiecza. „Słopiewnie”, słowiańska odmiana „Finnegans Wake”, stylistycznie, choć nie intelektualnie zapowiadały przełom. Ale nie! Skamandryci — jak Romanicy przed nimi — byli tylko innym wyrazem tej samej myśli. Buntem przeciw ustalonej formie, nie rewolucją przeciw ustalonym prawom. Były wprawdzie przebłyski — głównie imitacje futuryzmu, ale były zbyt słabe aby się przebić przez wszechwładzę grydzewszczyzny, i na ogół wydaje mi się, że minęły niedostrzeżone. Współczesność w literaturze i sztuce dostrzegłem dopiero, gdy druga wojna światowa wyrzuciła mnie poza nawias polszczyzny. Dopiero Anglia uświadomiła mi, że to co było ukryte przede mną w języku polskim znano na Zachodzie i mówiono o tym otwarcie. Moja scjencyficzna jednostronność była niewątpliwie winna tej ignorancji, ale grzeszyłem chyba mniej niż moi humanistyczni przyjaciele, dla których kultura scjencyficzna jest wciąż jeszcze zamknięta na siedem spustów tajemniczości. Literatura i sztuka objawiły się nagle — dla mnie nagle — pedantycznie ściśle, obnażone z zieleni jak drzewa zimą ale przez to rysujące się wyraźnie na tle nieba. Zobaczyłem przeszłość, która jest tylko jałowym wspomnieniem złudzeń w które nie można już wierzyć.

*„What are the roots that clutch, what branches grow
Out of this stony rubbish? Son of man,
You cannot say, or guess, for you know only
A heap of broken images...”*

„The nymphs are departed”.

Adres nieznanym.

*„I can connect
Nothing with nothing...”*

Wczorajszy patos unicestwiony analityczną logiką i jutro którego T. S. Eliot nie widzi.

*„There is not even silence in the mountains
But dry sterile thunder without rain...”*

Ziemia jałowa. „The Waste Land”.

*„But when I look ahead up the white road
There is always another one walking beside you
Gliding wrapt in a brown mantle, hooded*

*I do not know whether a man or a woman
— But who is that on the other side of you?"*

Scjentyfika?... Chciałbym! Ale to nie jest takie proste. Zaczniemy więc znowu od pieca.

Nowa forma literacka działa skrótami. Skoro wiemy, że słowa-symbole inaczej tłumaczą się każdemu (i w każdym miejscu i w każdej epoce) po co bawić się w grzeczną gramatyczność i wykończoną, zaokrągloną pełność klasycznego zdania, zaczynającego się dużą literą i kończącego się myślą przewodnią i rymem. Skrót, często niegramatyczny skrót, jak błyskawica oświecili, to i tylko to, co chcemy widzieć. Tego czego nie chcemy widzieć nie dostrzeżemy nawet w świetle kinkietów, jak starzy ludzie którzy słyszą tylko to, co chcą słyszeć. Podobnie sztuka wie, że podobieństwo — jest tylko iluzją. *Widzimy* płaski, dwuwymiarowy obraz, bo nauczyliśmy się rozumieć symbole malarskie naszej epoki i ubiegłych epok, ale pies nie rozpozna portretu swego pana, nawet jego fotografii tak jak nie podniesie nogi na namalowaną latarnię. Pies nie rozumie symbolizmu dwuwymiarowego malarstwa. Jeśli więc kolorowa płaszczyzna którą nauczyliśmy się rozpoznawać jako „realistyczne” malarstwo jest tylko symbolem czegoś czego inne pokolenie (nie mówiąc o psach) nie rozumie, dlaczego nie stylizowany wyciąg rzeczywistości — abstrakcja, albo nawet bezprzedmiotowy dobór kształtów i kolorów. Tzw. „Op-Art” — jeszcze niedawno i nie wiadomo dlaczego tak modna w Ameryce — wykorzystwała to scjentyficznie podnosząc złudzenie optyczne do rangi sztuki. A fotografie scjentyficzne, elektron-mikroskopowe i inne oraz muzyka elektroniczna doczekały się artystycznego uznania nawet najbardziej zaciętrzewionych realistów.

Wiek XIX, wiek „pokoju i spokoju”, cnót drobnomieszczańskich, królowej Wiktorii, cesarza Franciszka-Józefa, naiwności architektonicznych kariatyd i aniołków, Matejki, Sienkiewicza, Rodziewiczówny, nagle rozstał się pod nogami.

„Thy nymphs are departed”.

Zawisnęliśmy nad przepaścią. „To tak odświeżająco wisieć nad przepaścią”.

Wydaje mi się, że tylko egzaltacja mojego młodego przyjaciela i brak wykształcenia niektórych starszych panów mego pokolenia, widzą przepaść a nie widzą mostu. Mostu który łącząc humanistyczne natchnienie z scjentyficzną dedukcją i indukcją, solidnie prowadzi ludzkość jedyną drogą jaką ludzkość może obrać. Musi obrać! Drogą wyznaczoną prawami przyrody. Prawami, które człowiek częściowo rozumie, którym podlega bo

jest częścią przyrody, których używa, ale których nie może zmienić, bo wszystkie rzekome zmiany są tylko nowym rozpoznaniem, lepszym rozpoznaniem, tego co istnieje.



Spór humanistyki i scjentyfiki stał się niestety sensacją dziennikarską i jak zwykle, sensacyjność przesłoniła problem. Nagłówki kładą nacisk na konflikt, ale konflikt nie jest problemem. Konflikt nie jest nawet szczególnie ważny.

Gdy scjentyści badają naukowo jakiekolwiek zjawisko, wyodrębniają je w znanym środowisku lub w znanych warunkach i tak wyodrębnione mierzą, analizują, rozkładają i składają z powrotem. Potem zmieniają środowisko lub warunki — po jednej zmianie naraz — i mierzą, analizują i badają zjawisko od nowa, aż wyczerpią wszystkie istotne środowiska i warunki. Doświadczenia są powtarzane i sprawdzane przez wielu, aż nie ulega wątpliwości, że obserwacje są wiarygodne. Takie badanie daje scjencyficzny opis zjawiska. Nabytą w ten sposób wiedzę można stosować do innych problemów. Cegielka na cegielkę w sposób zgodny z prawami przyczyny i skutku. Zebraną wiedzę można także analizować statystycznie, rzutować ekstrapolacją na inne płaszczyzny i w inne dziedziny, można nią mierzyć i oceniać hipotezy i teorie, można ją wreszcie stosować praktycznie. W tysiącach laboratoriów, tysiące scjentyistów — chemików, fizyków, biologów, astronomów, matematyków — codzień przymierza wiedzę scjencyficzną do teorii badających istotę otaczającego nas świata. Ta żmudna metodyczność jest tak przyziemna, że aż nudna dla niewtajemniczonych.

Humanistyka bada swe sprawy inaczej. Humanistyka także zbiera fakty, ale nie muszą się one wiązać nicią przyczyny i skutku, konsekwencją cegielki na cegielce. Poezja opisuje porównaniem, analogią, metaforą które są tym piękniejsze im dalej rzucają swe powiązania. Nawet pojedyncze słowa nie muszą się wiązać gramatyką, jeśli łączy je figura poetycka, intonacja, asonans, rytm. A muzyka i sztuka, wyrażając bez słów cokolwiek pragną wyrazić, tłumaczą swoje racje znowu w innym logicznym wymiarze. Logika humanistyki, jak kiplingowy kot, innymi chodzi drogami.

Scjentyfika bada świat zadając pytania i szukając na nie odpowiedzi. Humanistyka nie pyta. Humanistyka wie! Ponieważ reguły scjentyfiki wymagają dowodów rzeczowych i sprawdzalnych, scjentyści stąpają ostrożnie w laboratoriach swej wiedzy. Każda śrubka może być istotną, niezastąpioną częścią maszyny a każda cyfra, każdy fakt, każde doświadczenie może być brakującym ogni-

wem łańcucha prawdy. Scjentyfika stawia pytanie: „Co to jest życie?” Zależnie od definicji życia (a jest ich wiele) znajduje rozmaite odpowiedzi, fakty, cyfry, wykresy. Rzetelny scjentyista nigdy nie uważa, że jego definicja — a zatem jego odpowiedź — jest jedyną, jedynie pełną i jedynie prawdziwą. Czasami, bardzo rzadko a zatem zwykle sensacyjnie, ktoś wiąże to wszystko w rozłożystą, jednolitą, harmonijną teorię. Teorię tak długo prawdziwą, jak długo jest urodzajna, jak długo służy celowi dla którego ją stworzono. Gdy teoria przestaje być urodzajną, ktoś inny, z nowych przesłanek wysnuwa nową teorię bardziej rozłożystą, jednolitą i harmonijną a zatem bardziej prawdziwą. I tak *ad infinitum*. Nie ma więc scjentyficznej prawdy — biologicznej, chemicznej, fizycznej! I tak chyba na chłopski rozum być powinno. Świat nie jest prosty, a życie jest bodaj najbardziej zawiłą sprawą tego świata. Nawet fizyka, której zdawało się jeszcze tak niedawno temu, że zna wszystkie odpowiedzi, komplikuje się z każdą nowo-odkrytą cząstką elementarną. W dzisiejszym, dużo mniejszym stanie wiedzy biologicznej, ogólna teoria życia jest więc marzeniem ściętej głowy.

Humanistyka, działając słowami z których każde może znać tak wiele, nie boi się luźnych powiązań, nieściśłego myślenia, niekontrolowanych akcji. Każda prawda humanistyczna wytrzyma nacisk rozmaitych interpretacji. Dla humanisty życie tłumaczy się teologią. „Na początku było słowo”. „I słowo ciałem się stało”. Z tych i podobnych przesłanek zbudowano kunsztowny gmach humanistycznego wytłumaczenia życia. Świętą, nie-wzruszalną prawdę!

Scientific American zamieścił raz — dawno temu — artykuł lingwistyczny pt. „Loglan”, który podkreśla wagę jaką scjentyfika przykładają do spraw języka i zainteresowanie jakim scjentyści darzą sprawy które do niedawna były symbolem jak najbardziej ezoterycznej niepotrzebności. Artykuł opisywał próbę stworzenia nowego, sztucznego języka — Loglan — który ma służyć jego twórcom jako narzędzie doświadczalne na udowodnienie tezy, że „budowa języka danego narodu ustala pogląd tego narodu na świat”. Benjamin Lee Whorf, amerykański lingwista-antropolog, twórca determinizmu językowego, uważał, że język którego budowa utrzuca istniejące formy społeczne, kształtuje myśl. Wszystkie dotychczasowe języki sztuczne — esperanto, interlingua, volapük, novial i tp. wymyślono jako narzędzia porozumienia, a w ogóle zbyt mało wiedziano w czasach gdy były tworzone o tym, że „granice naszego świata są zakreślone granicami naszego języka”. Loglan koryguje te niedociągnięcia. Jego słownictwo i składnia są ściśle opisane matematyką i logiką i nowe słowa i formy można stwarzać automatycznie w miarę potrzeby.

Humanistom, którzy z trudem i niechętnie asymilują scjentyfikę takie powiązanie humanistyczno-scjencyficzne wydaje się dziwaczne i niepotrzebne. Myślenie humanistyczne jest intuitywne i niezdiscyplinowane. Brak mu jednoznaczności i zwięzłej precyzji. Trza mu stu słów-symboli tam gdzie logice lub matematyce wystarczy jedno, a równocześnie jest tak usztywnione i tak konserwatywne, że nie widzi postępu jeśli nie wyraża się w formie uświęconej tradycją. Broni się więc wszystkimi siłami swych uprzedzeń przeciw nowatorstwu w poezji, literaturze, sztuce, przeciw nieoczekiwanej prostocie argumentów współczesnej logiki, która w imię ścisłości kwestionuje nie tylko poszczególne słowa ale nawet ich powiązania gramatyczne. Humanistom trudno pogodzić się z argumentacją semantyczną w humanistyce nawet gdy przyjmują argument semantyczny w scjentyfice. Jest to psychologicznie zrozumiałe. Scjentyfika jest ziemią nieznaną i tajemniczą ale wyniki nauk ścisłych są zbyt widoczne i zbyt wpływowe aby je lekceważyć. Ponieważ nie znają języka scjentyfiki, więc każde tłumaczenie na język humanistyki jest do przyjęcia. Nie mają wyboru! Ale uczyć się języka scjentyfiki aby rozumieć humanistykę — po co? Każdy rozumie język humanistyki, który jest tak znajomy, że maskuje komplikacje tam gdzie nawet najmniejsza różnica intonacji paczy kierunek myśli. Zdziwienie pana Jourdain jest odwracalne. Wiedzą, że mówią prozą, choć nie zawsze wiedzą co mówią!



Nie umiem pisać o sobie i jestem pełen wątpliwości i zakłopotania gdy mam pisać o innych. Dlatego może żyłka literacka którą hoduję w ciepłarni wolnych godzin, nie rozwinęła się w beletrystykę. Wolę esej scjencyficzny. Nieosobisty, niesentymentalny, jednoznaczny. Przyczyna wiodąca w skutek, skutek wynikły z przyczyny. Tak jak nie można o człowieku. Tak jak się boję o siebie.

Trudność — pomijając osobiste kompleksy — polega chyba na tym, że zdaję sobie sprawę z zawiłości których nie umiemy jeszcze rozgryźć rutyną naukowej symboliki. Wiemy na przykład, że scjentyfika dobiera się współcześnie do wymierzania świadomości i że są poważne poszlaki, że istnieje współzależność między fizyko-chemią mózgu a niektórymi objawami świadomości, ale nie umiemy opisać symboliką scjentyfiki człowieka i jego pobudek w sposób równie zadawalający jak dobrą prozą literacką lub poezją. To stwarza pewnego rodzaju schizofrenię. Rozdwojenie mej scjencyficznej i literackiej osobowości. Wiem, że *ex scientia lux*, ale wiem także że daleko scjentyfice do tak uchwytnej

wymierzalności aby mogła wytłumaczyć całego człowieka. To zostawia wolne pole literaturze. Literatura może tłumaczyć człowieka zrozumiale symboliką słów. Zrozumiale, ale niekoniecznie prawdziwie, bo symbolika słów jest bardzo luźna. Rozumiemy argumentację słowną, — jeśli jest wyrażona gramatycznie — choć każdy może rozumieć ją inaczej. Daje nam ona poczucie pewności siebie. Gubimy kompleks niższości i arogancko poczynamy wierzyć we własną nieomyślność. Dla niepoznaki przypisujemy antropomorficznie nasze własne opinie Bogu i wszystko układa się grzecznie w zadawalający wzór. Wszystko jest jasne, droga jest prosta.

Symbolika scjentyfiki ma także swe ograniczenia, ale jest jednoznaczna. Można ją stosować bezpośrednio i logicznie a wyniki scjentyficznego rozumowania muszą być praktycznie sprawdzalne. Mowa, która jest symboliką literatury, nie jest jednoznaczna, więc rozumowanie literackie nie może być sprawdzane. Stąd najprzeróżniejsze interpretacje pism świętych i świeckich. Gra w pokera w której graczom wierzy się na słowo. Ta wieloznaczność słów sprawia, że literatura opisuje człowieka okrężnie i wielu słowami. Każde z tych słów coś znaczy. Słowa wiążą się w zdania i te powiązania nadają im nowe, z lekka odmienne znaczenia. A układ słów w zdaniu, ich rytm i melodia — to co nazywamy stylem — jeszcze dalej poszerzają znaczenie literackie. Literatura zakresła szeroki łuk rozumienia ale... gubi precyzję.

Czy to tłumaczy mą schizofrenię?



Wróćmy do oczywistości naszego „przełomowego wieku”. Rewolucja scjentyficzna jest dziś także oczywista, więc siłą bezwładności narzuca się *non sequitur*, że scjentyfika spowodowała przełom. Dla szarego człowieka jest rzeczą oczywistą, że scjentyfika i scjentyści są w awangardzie przełomu. Biały płaszcz laboratoryjny stał się symbolem przyszłości. Takie rozumowanie jest, nielogiczne i bałamutne. Przełom jest wynikiem *całokształtu* cywilizacji a całokształt spraw innymi rządzi się prawami niż pojedyncze sprawy. Tłum reaguje inaczej niż jednostka. Jesteśmy znowu na pograniczu humanistyki i scjentyfiki. Tłum i jednostka — są zagadnieniem humanistyki, ale konfrontacja całokształtu spraw z pojedynczymi sprawami, jest podstawowym problemem scjentyficznym. Biologia jest tego dobrym przykładem.

Biologia jest „nauką o życiu”, jeśli etymologię tego słowa wywiedziemy z grecczyny. Przypomina to jednak zawstydzająco anegdotę o dyktatorze greckim Metaxasie, który na zarzut, że jego rządy nie są demokratyczne, miał rzekomo odpowiedzieć:

„Demokracja jest greckim słowem więc my Grecy najlepiej wiemy co ono znaczy!” Zastosujmy więc definicję wyjętą z Encyklopedii, która bardziej pedantycznie ale bardziej zadawalająco określa biologię jako „różnorodne formy i zjawiska życia, rządzące nimi prawa i warunki oraz przyczyny ich przejawiania się”.

Współczesna scjentyfika wie, że życie i nie-życie tak za siebie zachodzą, że trudno rozpoznać co jest czym w półmroku, w którym się spotykają. Nie wiemy np. gdzie życie się zaczyna a drobić na kończy. Klasyczna biologia — a ten klasycyzm jest bardzo młodej daty w czasach gdy nauki ścisłe starzeją się nieraz w ciągu paru lat — była biologią *omnes ex ovo*. Życie zaczyna się od komórki tak jak w klasycznej chemii materia zaczynała się od atomu. Nowa biologia, biologia molekularna, wywodzi się z odkryć biochemii, która rozkładając komórkę i wydzielając jej poszczególne związki otworzyła puszkę Pandory pełną związków chemicznych równie zawiłych jak zadziwiających. Bodaj najciekawsze z nich to DNA, RNA, i enzymy. Skrót DNA, używany nawet w nauce polskiej, wywodzi się z angielskiego *deoxyribonucleic acid* (po polsku: kwas dezoksyrybonukleinowy). DNA kieruje m.in. układem aminokwasów w syntezie proteiny. RNA (*ribonucleic acid*) gra pomocniczą rolę w tej syntezie. Oba kwasy zawierają szyfr który umożliwia samorodne „rozmnażanie się” poszczególnych protein. Enzymy są katalizatorami które ułatwiają reakcje chemiczne zachodzące w biologii. Biologia molekularna tłumaczy teoretycznie i doświadczalnie jak proteiny, które są związkami chemicznymi o znanej budowie drobinowej, rozmnażają się samorzutnie, a rozmnażanie jest funkcją którą utożsamiamy z życiem.

Konfrontacja biologii komórkowej i biologii molekularnej także wydaje się przełomowa. Zawiłość komórki, tego wszechświata w miniaturze, przemawia do nas bo umiemy dopatrzeć się w niej całego człowieka. (Pierwsi odkrywcy komórki zaklinali się, że widzieli homonculus pod mikroskopem). Łatwo więc rozumieć teorię komórkową jako „naukę o życiu”. W biologii molekularnej nie widać życia. Są proteiny, jest DNA, RNA i enzymy — wszystko nieżywe związki chemiczne, które są w stanie rozmnażać proteinę. Konflikt na pozór nie do pogodzenia, tym bardziej, że umiemy wydzielić te wszystkie związki chemiczne z komórki i że działają one nawet poza błoną komórkową. A jeśli to jest możliwe, inne cechy życia mogą także mieć swe fizyczno-chemiczne wytłumaczenie. Dla ścisłości należy dodać, że rozumiemy wiele innych reakcji i zjawisk zachodzących w komórce, choć jak dotąd żadne nie podnieciło naszej wyobraźni tak sensacyjnie jak DNA i RNA. Rozumiemy — a nie należy zapomnieć, że nasza wiedza jest tylko dorywcza i ułamkowa — inne zjawis-

ka w cytoplazmie komórkowej. Rozumiemy przenoszenie tlenu i dwutlenku węgla, przekazywanie wiadomości między różnymi rodzajami komórek, mitochondrie — siłownie komórki — które rozkładują energię chemiczną na użytek komórki i zadziwiające ATP (*adenosine triphosphate*) które tę energię magazynuje. Wiemy także, że to wszystko łączy się jakoś organizacyjnie. Organizacja komórki nie jest oczywiście organizacją w tym samym znaczeniu w jakim fabryka jest organizacją, choć często porównuje się komórkę z fabryką. Porównania i analogie są, podobnie jak w humanistyce, usługowym narzędziem rozumienia ale w ścisłości używa się ich ze szczyptą soli. Znamy dokładnie organizację i funkcje fabryk i są one przeważnie prostolinijnie zrozumiałe. Organizacja komórki nie jest widoczna nawet gdy widzimy tę lub inną część wykonującą jakąś uchwytną funkcję. Części jest zbyt wiele, są zbyt zawiłe i zbyt małe, a nasze instrumenty i narzędzia tylko z grubsza i zwykle pośrednio umieją je nam pokazać, a funkcje wykonywane przez rozmaite części komórki wyrażają się niewidocznymi reakcjami chemicznymi i fizycznymi, o których wiemy bardzo niewiele. Niemniej nie ulega wątpliwości że organizacja komórkowa istnieje. „Życie” komórki nie jest wypadkową przypadkowych, nieskoordynowanych wydarzeń. Aktywność DNA, RNA i enzymów jest tylko jedną z wielu części tej organizacji. Rozumienie jak się białka samorzutnie rozmnażają, nie tłumaczy życia. Dopiero całościowy kształt wszystkiego co istnieje w komórce, powiązania i wpływy każdego zjawiska i każdej poszczegółnej reakcji na każdą inną reakcję i każde inne zjawisko dadzą nam wytłumaczenie życia. Dadzą... jeśli w ogóle jesteśmy zdolni pojąć taką zawiłość spraw. Człowiek jest częścią przyrody i podlega prawom przyrody. Będąc tylko częścią przyrody, nie jej całością podlega zatem ograniczeniom uwarunkowanym fizyko-chemią ludzkiego ciała. Być więc może, że „rozumienie życia” nie jest możliwe dla człowieka.

Dawniej, gdy ścisła była w powiśkach i nie zawracała głowy swą przełomowością, całościowy kształt spraw nazwano Bogiem i łatwo było widzieć ułamkową słabość człowieka. Dzisiaj człowiek jest nadal słaby i ułamkowy, ale eksplozja ścisła kusi do megalomanii. *A little knowledge is a dangerous thing*. Analogia z dwudzielną humanistyką i ścisłością jest tu widoczna i kusi do teoretyzowania, nie miałem jednak na myśli żadnych konkretności czy teorii. Użyłem po prostu literackiego chwytu. Analogia nie jest dowodem w ścisłości, ale... zmusza do myślenia. I o to chodziło!

Ścisła szuka innych odpowiedzi o życiu niż humanistyka. Odpowiedź ścisła nie jest więc zupełna mimo, że metoda ścisła jest precyzyjna i przejrzysta. Ścisła nie umie

ważyć imponderabiliów. Odpowiedź humanistyki także nie jest zupełna bo humanistyka nie bada metodycznie i precyzyjnie. Nie szuka nawet pozorów bezstronności. Niemniej mierzy sprawy scjentyficznie niewymierne. Mierzy je słowami. Symbolizmem który jest znamię człowieka. Uzupełnia scjentyfikę! Albo... scjentyfika uzupełnia humanistykę. Jak wolicie!

Scjentyfika tłumaczy świat i scjentyfika pozwala nam zmieniać otoczenie. Gdy tłumaczy świat (— i życie —) jest humanistyczna, gdy daje nam kontrolę nad siłami przyrody jest techniczna. Człowiek jest człowiekiem gdy rozumie wszechświat i swoje w nim miejsce, i gdy umie stosować to zrozumienie. Technologia która tylko „stosuje” jest czystą, nierozcieńczoną scjentyfiką tak jak niektóre utwory literackie, malarskie, muzyczne są tylko wirtuozostwem, sztuką dla sztuki, grą dla gry.

Takie uproszczenie nie jest jednak zupełnie zadawalające. Technologia stwarza rzeczy użytkowe, ale użytek jaki z nich robimy jest sprawą humanistyki. Podobnie rozumienie tego co się wokoło nas dzieje może prowadzić i często prowadzi do postępu technologicznego tak nieosobowego, często nieludzkiego, że trudno skojarzyć tę technologię z człowieczeństwem. Przykład: rozszczepienie atomu które jest wynikiem scjentyficznego rozumienia i bomba która jest konsekwencją humanistycznego myślenia: polityki! Scjentyści rozszczepili atom nie dla stworzenia bomby, ale ponieważ postęp ogólny wiedzy ludzkiej w tej dziedzinie do tego doprowadził. Mur scjentyfiki, cegiełka na cegielce, wzrósł do miejsca w którym rozszczepienie atomu było nieuniknioną konsekwencją postępu czystej nauki. I w to apogeum wstąpiła polityka humanistyka. Rozszczepienie atomu wykorzystano dla celów polityczno-wojskowych i było to równie nieuniknione jak odkrycie scjentyficzne. Einstein symbolizuje „rozumienie”, Truman (powiedzmy) — użytkowość. Te nagłówki nazwisk są jednak tylko uproszczeniem. Wszyscy jesteśmy winni i wszyscy jesteśmy zasłużeni. *Całokształt* spraw daje dopiero pełnię obrazu. *Całokształt* musi być wzięty pod rozwagę jeśli chcemy rozumieć co się dzieje i jeśli chcemy uchronić świat — i siebie — przed doktorem Strangelove.

Bomba i — bardziej jeszcze — wyścig satelitowy Rosji i Stanów uwidoczniły dla wszystkich w kinkietach politycznej propagandy nagły i oszałamiający postęp naukowy scjentyfiki. Postęp który nie był nowiną dla scjentyistów ale który zaskoczył nawet uczonych humanistów nie mówiąc o niedouczonej scjentyficznie dziennikarce i o półinteligencji politykierskiej. Współczesną rewolucję scjentyficzną można przyrównać w konsekwencji i zasięgu z neolitycznym przewrotem jaki wywołało „odkrycie” rolnictwa. Tyle tylko, że tempo wydarzeń wzrosło w progresji

geometrycznej równej wzrostowi ludności. I tyle tylko, że jesteśmy świadomi przewrotu.

„Jesteśmy świadomi przewrotu”...! wyraża się to rozmaicie ale nigdy chyba wzniosłej i głębiej niż gdy rozważamy przeszłość i przyszłość. Przeszłość i przyszłość są prawowitą domeną filozofii więc wzniosłość jest zupełnie na miejscu a głębia wynika z faktu, że po raz pierwszy usiłujemy uzasadniać nasze poglądy. Już nie emocjonalizm słów i snów ale indukcja i dedukcja poddane jak najbardziej skrupulatnej kontroli matematycznej, fizycznej, chemicznej. Niestety trudno przemawiać symbolami scjentyfiki w sposób popularnie zrozumiały i literacko poprawny. Trudno uniknąć frazesu i szablonu i trudno uniknąć patosu. Ale czy musimy być posłuszni przesądom humanistycznym w obliczu spraw tak ważnych? Czy musimy styl eseju scjencyficznego naginać do literackich wymagań?

Dwie kultury — humanistyczna i scjentyficzna — istnieją współcześnie jedna obok drugiej. Nieuniknione tarcia wybuchają zniecierpliwieniem. Ale jutro wypływa nieuchronnie z wczoraj a wczoraj kształtuje jutro, więc ten spór rodzinny — często gorzki i nieumiarkowany — jest sprawą normalną. A to, że wczoraj i jutro, scjentyfika i humanistyka, mistyka i logika tak często żyją pod jednym dachem i w jednej piersi — nie ułatwia porozumienia.



Ktoś bardzo praworządny i bardzo bogo-ojczyźniany powiedział mi raz:

— Nasze filozofie życiowe się nie zgadzają.

— Być może — odrzekłem, — ale... co pan rozumie przez filozofię życiową?

— Filozofia życiowa... jakby powiedzieć... to światopogląd.

— Pogląd na świat, — poprawiłem. — Ale co to jest pogląd na świat?

— Ja jestem człowiekiem wierzącym, a pan jest ateistą.

— Przypuśćmy, aby ułatwić dyskusję, że pan ma rację. Co to jest jednak „pogląd na świat” — powtórzyłem pedantycznie.

— Pańska scjentyfika jest światopoglądem...

— Poglądem na świat...

— Tak, — powiedział, pańska scjentyfika jest światopoglądem i każe panu wierzyć w absolutną prawdę ewolucjonizmu i w mistyczną prawdę biopoezy. Proszę zauważyć, że akcentuję słowo „wierzyć”.

Przestałem dogryzać mu „światopoglądem”. Wzdrygam się przed obcością tego nowotworu kradzionego z niemieckiego *Weltanschauung*, który, nie wiem jakim skojarzeniem przypomi-

na mi „biustonosz”, ale, było nie było, nie jestem purystą. (I niby dlaczego scjentyfika tak a światopogląd nie!) Nie mogłem jednak przepuścić „absolutnej prawdy” i „mistycznej prawdy”, więc odrzekłem:

— Wciąż jeszcze czekam na wyjaśnienie słowa „światopogląd” a pan wprowadza dwa nowe, niewyjaśnione terminy — absolutną i mistyczną prawdę.

— Każdy wie co to jest absolutna prawda — obruszył się — a ewolucja nią na pewno nie jest.

— Ja nie wiem co to jest absolutna prawda. Nie wiem nawet co jest absolutną prawdą, więc nie wszyscy, bardzo przepraszam, nie wszyscy... — ironizowałem.

— Aha — zawołał. — Złapałem pana na nieścisłości. Pan twierdzi, że nie wie co jest absolutną prawdą, ale jako ateista wierzy pan w absolutne nieistnienie Boga.

Jak tu z takim dyskutować.

— W kółko Macieju — powiedziałem. — W kółko Macieju.

Popatrzał na mnie jak na wariata, wzruszył ramionami i... zdaje się poszedł. „Zdaje się”, bo może go w ogóle nie było. Powyższa rozmowa jest fikcyjna, choć protagoniści są prawdziwi. Mój rozmówca był i jest przeciw ewolucjonizmowi, fluorowaniu wody — i pewnie także przeciw Żydom, Murzynom i cyklistom — a możliwość przypadkowego powstania życia na ziemi jest dlań hipotezą wręcz wszeteczną, więc facet który, jak ja, pisze o ewolucji i biopoezie musi być najgorszym z najgorszych. Ateistą, bezbożnikiem, komunistą! Tfu!

Mój spór z „praworządnym” jest jednak mimo wszystko, sporem o filozofię życiową — cokolwiek to znaczy. Sporem nie o prawdę taką czy siaką, ale o to czy możemy kiedykolwiek wiedzieć na pewno co jest prawdą. Sporem o wątplenie i pewność. Ja wierzę w dwóję pewności i wątplenia, które są jak „tak i nie”, jak dwa kierunki wahadła, „jak te klamki u tych drzwi”. Tak i nie. Tak i nie. Tak i nie. On uznaje tylko pewność. On wie. Tak. Tak. Tak. Nie. Nie. Nie.

Nie tak dawno temu, wybór między Bogiem a scjentyfiką był łatwy. Wiedza ludzka była ograniczona nie tylko ułomnością naszych zmysłów i naszej wiedzy ale nawet ułomnością pomocniczych narzędzi naukowych. Były sprawy jasne i zrozumiałe i były sprawy Boskie i niezrozumiałe. Spraw niezrozumiałych było tak wiele a spraw zrozumiałych tak mało, że pokora w obliczu niezrozumiałego była postawą nie tylko właściwą ale także rozsądną. Ostatnich trzysta lat zmieniło zasadniczo ten układ. Postęp wiedzy i technologii był tak olbrzymi, że spraw zrozumiałych jest coraz więcej a spraw niezrozumiałych coraz mniej i trzeba być naprawdę bardzo naiwnym lub bardzo wykształconym aby wie-

dzieć *na pewno*, że nie wiemy, nie rozumiemy, nie umiemy. Scjentyfika, dzięki wszechobecności technologicznego postępu, trafiła pod strzechy. Silniki spalinowe, elektronika, materiały plastikowe, energia atomowa, rakiety międzyplanetarne, witaminy, antybiotyki i wiele, wiele innego (— A czy znacie? Znamy, znamy! —) tak rozpowszechniły scjentyfikę, że wszyscy wiedzą wszystko lepiej niż scjentyści. Tylko scjentyści i ludzie bardzo prości są świadomi swych ograniczeń. Może więc tylko oni mają prawo wierzyć w Boga. I może konflikt religii i scjentyfiki jest tylko konfliktem ludzi a nie konfliktem idei. Konfliktem ludzi, a więc konfliktem politycznym. A cóż tak świętego w polityce, aby nie wolno było jej szargać!

Henryk SCHOENFELD

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



Tel: FRE. 7888

§ = 72 zł.

£ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

O Niemcach

W marcu 1967 roku ukazała się w kolońskim wydawnictwie Kiepenheuer und Witsch moja książka „Na nieludzkiej ziemi” w tłumaczeniu niemieckim (Unmenschliche Erde). Do tego wydania dołączyłem postowie, złożone z sześciu nowych rozdziałów, pisanych z myślą o czytelniku niemieckim. Próbowałem w nich opowiedzieć o faktach nam, Polakom, dobrze znanych, bo o losach Polski pod niemiecką okupacją aż po Powstanie Warszawskie, po koniec wojny. Mówiłem także o wędrówkach i walkach 2 Korpusu.

Do książki dołączony został aneks: „Prawda o Katyniu”.

Poniższy, ostatni rozdział Postowia, jest próbą spojrzenia na Niemcy oczami Polaka.

J. Cz.

Przeżywając na nowo dzieje, które tu, w Posłowiu, opisałem, stanął mi przed oczami z nową siłą świat niemiecki taki, jakim go widzę: świat niemiecki w oczach Polaka.

Nie jeden z moich czytelników zarzucił mi, że pogłębiam tylko przepaść nas z Niemcami dzielącą przypominając przeszłość, zamiast ją z pamięci wykreślić. Ale pisząc o niej chciałem przekazać coś więcej niż prawdę faktów, chodziło mi o wyznanie wiary, że nie zaciemniając i nie maskując przeszłości, ale te czasy przeżywając na nowo, już z dzisiejszym dystansem, będziemy może w stanie z ich mroku się wyzwolić.

Polityka dzisiejszych rządów w Polsce, demagogicznie i jednokierunkowo antyniemiecka — to jedno, głosy o Niemczech

polityków i dziennikarzy emigracyjnych nieraz, ale wcale nie zawsze, idą po tej samej linii, ze strachu, by w oczach kraju nie wydać się mniej antyniemieckie niż kraj. Gdzie droga prób porozumienia? Co mają robić ludzie, jak piszący te słowa, którzy nie biorąc udziału w żadnej akcji politycznej, na politykę bieżącą nie mogą mieć najmniejszego bezpośredniego wpływu, ale pragną zmiany klimatu polsko-niemieckich stosunków?

Oni mogą może więcej, niż zdawać by się mogło, poprzez uwagę spojrzenia, wolę prawdy nie uróżnowionej, a potem dialog dobrej woli między człowiekiem a człowiekiem. Ludzi pragnących takiego bezinteresownego dialogu jest może więcej niż myślimy, z jednej i drugiej strony, wielu z nich dialog ten już nawiązało i to z czasem może i klimat polityczny zmienić. Jeżeli zaś o mnie chodzi, jestem wobec Niemców *homo quidam*, o naszych wzajemnych polsko-niemieckich stosunkach i o samych Niemczech wiem nie więcej niż każdy przeciętny Polak. Ale dlatego właśnie wypowiedzenie moich myśli i uczuć może mieć znaczenie, bo źródło ich — punkt wyjścia, doznania — są (w pewnym stopniu) *typowe* dla Polaka. Chcę więc wrócić do siebie i nie w statystykach, cyfrach, tomach dokumentacji (na to mnie nie stać), ale we własnym sumieniu, w ograniczonym ale własnym doświadczeniu szukać dróg wyjścia.

„Jak świat światem Niemiec Polakowi nie będzie bratem” — to przysłowie w Polsce zna każdy.

Nie zdobycie Moskwy przez Polaków w XVII wieku, ale Grunwald, więc cios zadany Zakonowi Krzyżaków, jest dla każdego Polaka datą centralną jego historii. Nie opriczniki Iwana Groźnego, ani nawet armie Suworowa, ale Zakon Krzyżacki jest wciąż jeszcze dla nas wcieleniem woli zniszczenia narodu Polskiego.

Potęga pruska to dalszy ciąg potęgi Zakonu. A dalej?

„*Haut doch die Polen, dass sie am Leben versagen; ich habe alles Mitgefühl für ihre Lage, aber wir können wenn wir bestehen wollen nichts anderes thun, als sie ausrotten, der Wolf kann nichts dafür das er von Gott geschaffen wie er ist, und man schießt ihn doch dafür tot wenn man kann*” — tak pisze Prusak Bismarck, wielki Kanclerz, do siostry w 1861 r., a słowo przez niego użyte: *ausrotten*, znają nawet ci Polacy, którzy słowa po niemiecku nie mówią.

A kto z nas — chyba nikt prawie — zna testamenty Hohen-

1. „Bijcie Polaków tak, aby im się żyć odechciało; mam całkowite współczucie dla ich położenia, ale jeżeli chcemy sami istnieć nie możemy postępować inaczej jak ich zgładzić z powierzchni ziemi; wilk nie jest winien, że go Bóg stworzył takim, jaki jest, a przecież zabijamy wilki wszędzie tam, gdzie tylko możemy”.

zollernów, Polsce przyjazne, jak ten Wielkiego Elektora z 1667 r., doradzający dobrosąsiedzkie stosunki z Rzeczpospolitą: *Denn an ihre Conservation und Erhaltung beruhet Ewere und Ewerer Lande Wohlfahrt*”, albo Fryderyka Wilhelma z 1721 r., więc już w wieku rozbiorów: *„Mit der Republicke Pohlen ist gut in gute Freundschaft leben und sie ein gut Vertrauen bezeugen”*”.

Argumentacja niektórych historyków (m.in. Bocheńskiego), że nie ma mowy o historycznej i geograficznej *konieczności* polsko-niemieckich antagonizmów — jest więcej niż kiedykolwiek obca świadomości polskiej. Dziś, po Hitlerze i Himmlerze, stara klisza „jak świat światem...” zdaje się więcej niż kiedykolwiek dla wielu Polaków aksjomatem.

Czy jestem od takiej kliszy wolny? Jeżeli jeszcze teraz, dwadzieścia lat po ukończeniu wojny, mnie samego zaskakuje odruchowa wrogość mojej reakcji — przeważnie już dziś u Francuzów nie spotykana — na zbyt głośnie, zbyt swobodne rozmowy niemieckich turystów na ulicy, w wagonie czy nawet w Luwrze, bo budzą we mnie natychmiast okropne wspomnienia? Jak z siebie samego wyrwać uczucie, które obraża mnie do żywego i boli, gdy choć cień takiego odruchu wyczuwam u kogokolwiek wobec Polaków? Wyczuwałem to parę razy u Żydów. A przecież kto, jeżeli nie ja, musiałbym się prędzej od innych od takich odruchów uwolnić.

Moja matka była Austriaczką, urodzoną w Sudetach. Ona mnie pierwsza nauczyła kochać Polskę. Mając 12 lat, podczas lekcji historii, powiedziała, że chciała wyjść za Polaka, bo to naród nieszczęśliwy, i tak się stało, że za Polaka wyszła. Na dnie wspomnień z dzieciństwa widzę migotliwy odbłysek świateł na klawiszach fortepianu, kiedy przy matce i z nią śpiewaliśmy „Boże coś Polskę”, a nieraz także „Gde domow moj”, bo urodzona w Czechach matka moja się czuła pół-Czeszką. Dzięki niej również Schubert i Beethoven i Schumann byli dla nas obok Chopina pierwszą rewelacją muzyki.

Niemiecki język słyszę od dzieciństwa, uczy go nas w domu rodzinnym kochana przez nas stara nauczycielka, Austriaczka z Linzu, która już wtedy, wbrew poglądom mojej matki, twierdziła, że Austria i Niemcy to jedno, bo nasza dobra nauczycielka była namiętnie *Alldeutsch*.

Miałem 7 lat kiedy matka umarła. Cóż mi dała z jej austriac-

2. „Bo od jej zachowania i utrzymania zależy każdy i stały dobrobyt kraju”.

„Dobrze jest żyć w dobrej przyjaźni z Rzeczpospolitą Polską i mieć całkowite zaufanie”.

Powyższe cytaty czerpię z książki Adolfa Bocheńskiego pt. *Między Niemcami a Rosją*. (Wyd. „Polityka”, Warszawa 1937).

kiej tradycji poza światłem swojej miłości, tradycją żarliwie katolicką i wiarą w nas wkorzenioną, że była święta i że to nas do czegoś zobowiązuje.

Moja babka, po stronie ojca, pochodziła z niemieckiej szlachty, od wieków na Łotwie osiadłej. Sama z rodziny, która dała Rosji parę pokoleń wybitnych dyplomatów, była wyzbyta świadomości narodowej. Wyszła sama za Polaka, jedna z jej siostr za Finna, druga za Rosjanina. Wiele podróżowała po Europie, a dzieckiem jeździła jeszcze kareta z Petersburga do Neapolu. Naznaczona do śmierci wpływem ukochanej i skrajnie nabożnej wychowawczyni Angielki, była głęboko wierzącą protestantką.

Zawsze z robótką, w czepku koronkowym na włosach śnieżnej białości, ukochana przez wnuków, była typową przedstawicielką kultury pewnej sfery w Europie XIX wieku, gdzie różnice narodowe zaledwie istniały i zdawały się nieistotne, sfery, do której należała autorka głośnej w XIX wieku książki „*Le récit d'une sœur*”³. Do tej samej warstwy należeli również ci czytelnicy Stendhala, do których się zwracał pisząc *ami lecteur*.

Czy znałem kobietę mniej skłoną do fanatycznych zacieśnień, subtelniejszą i do śmierci najżywiej równie zainteresowaną wypadkami o zasięgu światowym, jak starymi monetami, które jej mąż kolekcjonował, gniazdami ptaków w swym parku lub młodym niedźwiadkiem, który sobie w tym parku oswojony spacerował. *Je suis cosmopolite* — mawiała, ale z krwi była Niemką. Ileż powodów, bym świat niemiecki odczuwał przez filtr tych właśnie wspomnień.

Moja osobista biografia, studia w Petersburgu, przyjaźnie rosyjskie, literatura rosyjska, Tołstoj i jego wpływ, potem Dostojewski, rewolucja rosyjska tam przeżyta, udział w walce w 1920 roku z najazdem bolszewickim, a w wojnie ostatniej obozy w Rosji, udział w tworzącej się tam na nowo armii polskiej — wszystko to powiązało moje losy w złym i dobrym z Rosją. Może dlatego odczuwam świat rosyjski wcale nie tylko od strony polskich krzywd, ale w całej złożonej, ze skrajności utkanej, konkretnej rzeczywistości. Dlatego wszystkie totalne sądy o niej tak mi się wydają fałszywe i nawet zdrożne.

Świat zaś niemiecki był dla mnie w porównaniu z rosyjskim prawie abstrakcją, bladym oleodrukiem.

W 1934 roku spędziłem lato na dalekich Wschodnich Kresach ówczesnej Polski, na Huculszczyźnie, w górach. Podczas jednej z dalekich wycieczek trafiłem na resztki okopów z I-jej wojny światowej i na mały wśród drzew, na zupełnym bezludziu, cmentarz niemiecki. Nieliczne groby były zadbane, a nad wejściem

3. Książka ta, której autorką była Pauline Craven urodzona La Ferronnière, oddaje, jak mało która, *aure* tamtej międzynarodówki.

był wyryty napis: „*Sie sind gefallen weil sie ihre Heimat liebten*”.

Tego znaku wierności i pamięci wobec swoich umarłych, tych skromnych grobów niemieckich i lakonicznego napisu, nie zapominałem. Jakże mi się to zdawało bliskie tradycji niemieckiej, której dotknęłem w dzieciństwie.

Hitler, to była jeszcze dla mnie daleka bajka o żelaznym wilku, a w krótkich tylko chwilach świadomości groza nawisła nad naszym losem, którą głużyła euforia odzyskanej niepodległości, moja własna praca, jakiś głęboko tkwiący, odruchowy i bezrozumny, optymizm, gdy chodziło o los Polski.

Przebudzenie — to dopiero 1939 rok. Wybuch wojny, napisać na Polskę, dalszy bieg wypadków — nowe i nowe wieści o okrucieństwach i woli wykreślenia nas z karty świata.

Czy zastanawiałem się nad tym głębiej, inaczej jak pod wyłącznym kątem losu mego kraju? Hitlerowcy-zbrodniarze — Niemcy to hitlerowcy — któż może dzisiaj myśleć o wyjątkach. Wiedziałem, że czas przyjdzie, kiedy myśleć o Niemcach trzeba będzie inaczej, wiedziałem i czułem zawsze, że myślenie o jakimkolwiek narodzie *en bloc* z wrogością, jest moralnie nie do przyjęcia, jest dosłownie grzechem.

Po wojnie myśl ta zaczęła mnie drażnić, ale z nielicznych spotkań z Niemcami nie udało mi się nawiązać stosunków na tyle bliskich, by Niemcy współczesne przeżyć od wewnątrz i na nowo. Niemcy tamtych lat wojennych i powojennych. Tylko opowiadania coraz większej ilości przybywających na Zachód bliskich mi ludzi, Polaków i Żydów, oraz ukazujące się książki o obozach niemieckich wnosily coraz to nowe światło i nadawały kształt temu niemieckiemu światu, tak jak go Polacy i Żydzi przeżyli podczas wojny w kraju i w obozach, kształt nie do zniesienia okrutny, który wtenczas dopiero objawił mi się brutalnie, tak jak bym sam te lata w Polsce przeżył. I ten szok dopiero zmusił mnie do myślenia.

W 1950 roku pojechałem do Berlina; powstawał tam wówczas Komitet Wolności Kultury. Było to pierwsze moje zetknięcie z Niemcami. Berlin był jeszcze wówczas pełen ruin i kalek. Nieoczekiwanie dla mnie, po triumfalnym, wspaniałym New Yorku, skąd wracałem, zrobił na mnie wrażenie zamiast wrogiego, odpychającego, po jakimś bliskie, swojskie. Przypomnił mi Warszawę, Polskę poczułem o miedzę. Świat ruin, kontakt bezpośredni z ludźmi na ulicy, Tiergarten — parę chudych drzew (pamiętałem wspaniałą zieleń sprzed wojny), czarny szkielet Reichstagu, równinne okolice Berlina wśród pięknych lasów „nasze drzewa”,

sosny i brzozy, skromne, prawie warszawskie, nad jeziorami kamiennie — i coraz to spotkania z Niemcami, rozmowy uprzejme z nieznajomymi, czasem wylewne, ale najczęściej po ludzku nieprzymuszone i przyjazne, aż po tę żebraczkę bez nóg na wózku, która żebrząc o 11-ej w nocy na ulicy, w załomie spalonej kamienicy, spytała mnie o godzinę, tłumacząc, że czas już jej wracać do domu, spać.

Zdawała mi się ona o ileż bliższa i nawet mniej tragiczna w tym świecie kalek i nędzy, która wtedy wyglądała zewsząd, niż żebraczka kaleka, którą widziałem w New Yorku parę tygodni wcześniej klęczącą na Placu Rockefellera. W „luksusowym” (na ówczesny Berlin czy Warszawę) płaszczu, w kapelusiku w różowe kwiaty, sprzedawała z krzywym uśmiechem (*keep smiling*) przechodniom ołówki, które tam żadnej ceny nie mają, czysty pozór żeby żebrać.

Berlin, zaraz po New Yorku, Berlin katastrofy i nędzy zbiorowej, budził we mnie najprostszą reakcję ludzkiej wspólnoty, zrozumiałem, że stosunek do Niemców inny niż urazowy, jest możliwy. A przecie i wówczas jako Polak coraz to miałem... niespodzianki. Pewien Niemiec wojujący o zjednoczoną Europę opowiedział mi jak bardzo się zdziwił, gdy w obozie oficerskim odkrył Polaka, który tłumaczył Dantego: „Pierwszy raz stwierdziłem, że są Polacy wykształceni, nie tylko kucharki i praczki”. Moi przygodni rozmówcy: kelnerzy, woźni, tragarze zaczęli czasem mówić do mnie po polsku. Ukrywali to jednak przed Niemcami odruchowo, nie chcieli być wobec Niemców *nur Polen*. (Rodzina szwedzka moich przyjaciół przygarnęła z tamtych czasów młodego chłopca, syna pastora z Niemiec Wschodnich. Gdy go spytano czy sam widział w rodzinnym mieście egzekucje, odpowiedział po namyśle, że widział wieszanych na placu „*aber es waren nur Polen*”.

◆

W 1955 roku wyjechałem do Ameryki Południowej. Statek zapełniali Włosi, Hiszpanie, południowi Amerykanie. Panował włoski i hiszpański język. Dopiero po paru dniach skonstatowałem wśród pasażerów dość liczny odsetek Niemców.

Przykra scena na samym początku naszej podróży rozegrała się w moich oczach. Sympatyczna pani z małymi dziećmi wdała się w rozmowę ze starszą kobietą, która po paru przyjaźnie wymienionych zdaniach nagle zerwała się z miejsca, brutalnie zaznaczając, że ze swoją rozmówczynią nie chce mieć nic, ale to nic wspólnego. Dlaczego? Bo ona jest Żydówką, a ta pani jest Niemką! Pamiętam wyraz Niemki, zaskoczenie, niezrozumienie niewinnie doznanej, ciężkiej krzywdy malowało się na jej dobrodusznej

twarży. „Cóż ja jej zrobiłam?!“ Widziałem, że opowiadała o zajęciu prawie nieznanym, jakby zgubiona, szukając odpowiedzi i wyjaśnienia, jakby w 10 lat po wojnie nie musnęło nawet jej świadomości, że może tamta kobieta straciła w piecach czy gettach całą swoją rodzinę.

Na tym statku poznałem profesora wiedeńskiego uniwersytetu, który jechał wówczas do jednej z wyższych uczelni w Brazylii. Całą tę podróż morską spędziłem na rozmowach z nim. Jemu zawdzięczam pierwszy kontakt z Niemcem, któremu mogłem wszystko powiedzieć i opowiedzieć. Jego reakcja nigdy nie była niska, pozorna. Opowiadałem mu wiele, pamiętam, między innymi, mówiłem mu o losie człowieka, o którym z miłością i podziwem mówił mi jeszcze w obozie sowieckim w Griazowcu jeden z najbliższych mi w tym obozie przyjaciół, dr J. Kohn. Dr Kohn był sam studentem medycyny we Lwowie; jako lekarz wojskowy i oficer polski trafił do obozu. Opowiadał mi o swoim mistrzu, skromnym lekarzu małego miasteczka Horodenki. Jemu zawdzięczał, że poszedł na medycynę. Kiedy Niemcy zdecydowali się zlikwidować Żydów horodenskich, zabrali jakichś paręset ludzi do lasu i kazali im tam groby kopać dla siebie. Ten lekarz był wśród skazanych. Nagle oficer niemiecki poznał go przy kopaniu. Lekarz wyświadczył mu przedtem jakieś usługi, leczył go? Oficer kazał mu wystąpić z szeregu i wrócić do domu i do jeszcze wtedy żyjącej rodziny. Lekarz odmówił, wolał zostać i dalej groby kopać z innymi i dać się razem z innymi nad tymi świeżo wykopanymi grobami zastrzelić. Cóż to znaczyło? Czym ten gest mógł komukolwiek pomóc? Tym Żydom skazanym w zagubionym miasteczku Europy Środkowej, o którego istnieniu nikt prawie w Zachodniej Europie nie wiedział? Gest biednego Żyda coż mógł znaczyć w uniwersalnych, profetycznych „zawiłych rachunkach”, w które się zaplątał nawet Drieu la Rochelle, Francuz, pisarz czujny i całkowicie bezinteresowny. O tym wszystkim mówiłem z profesorem S. na leżakach na pokładzie. Zaręczał mi, i wierzę mu, że o tym w czasie wojny nic, czy prawie nic nie wiedział. Był profesorem uniwersytetu w Wiedniu, w czasie kiedy mordowano tych Żydów w Horodence i wszędzie, kiedy najmłodszych Polaków — dzieci prawie — z obozu w Buchenwaldzie przyspasabiano na katów, każąc im dźwigać po wioskach i miastach Turynгии dwuramienne szubienice, na których mogło wisieć z każdej strony po trzech ludzi, kiedy wieszano Polaków za zdradę honoru (tą zdradą honoru było, że pozwolili zbiec z obozu towarzyszom i nie zdradzili ich), kiedy Polacy, Żydzi, Cyganie i iluż innych jeszcze, ginęli setkami tuż pod Wiedniem w Moedling, zatłukiwani kijami. Przecie o miedzę od Wiednia był ten Moedling, stara kopalnia gipsu, która rękami więźniów całej

Europy została zamieniona na fabrykę samolotów odrzutowych Heinkla. Błoto i ziemię wywoziło się taczkami, ludzie pracowali w wodzie po kolana, fabryka szła na trzy zmiany. Schodziło się po schodach w dół, to schodzenie wraz z czekaniem na kolejkę w błocie czy śniegu trwało godzinę. Ludzie w kolejce zamarzali w mokrym śniegu, umierali przeważnie na zapalenie płuc; co kilka dni robiono karne ćwiczenia na dworze, kazano padać w błoto i śnieg, niemiecki Cygan żelaznym drągiem zabijał więźniów za byle nieposłuszeństwo. Karą w fabryce było najczęściej 25 uderzeń gumową pałką. Po 15-20 uderzeniach więźniów tracił przytomność, umierał. W oczach mego przyjaciela, Jarosława Górskiego, dziś emigranta w dalekim Puerta Ordaz w Wenezueli, który mi to opowiadał, zamordowano pewnego Żyda bo znaleziono u niego w kieszeni dwa gotowane kartofle.

Stamtąd, gdy zbliżał się front sowiecki, pędzono tych ludzi do Mauthausen górami austriackimi. Każdy kto po drodze usiadł, już nie miał sił wstać, był dobijany. Doszło 700 czy 600 na 2000. Po drodze przez cztery dni nie dawano im ani wody ani jedzenia. Ten tłum żywił się trawą, robakami. Ludność widząc ten pochód mar odwracała się ze wstrętem, wierzyła jakoby, że wszyscy ci ludzie to kryminaliści, zbrodniarze i degeneraci. A tam w Mauthausen, także nie tak daleko od Wiednia, rano, w południe i wieczór posyłano po 200 osób do gazu, dopóki nie dokończono budowy pieców, które zabijały 1000 osób za jednym razem. Popiół tych ludzi, których tam palono, sprzedawano chłopom austriackim na nawóz. I tego nawozu było pracowitym rolnikom wciąż jeszcze za mało, wołali o więcej.

W tymże Mauthausen, należy pamiętać, *pierwsi*, którzy wyginęli, to byli przeważnie Austriacy z Wiednia, przeciwnicy Hitlera.

Wśród scen i faktów, które opowiadałem memu rozmówcy, było jedno wydarzenie, które zdawać by się mogło błahe na tle przeżyć tamtych lat. Na mnie zrobiło ono może wrażenie największe, bo osobiste, bo symboliczne.

Ofensywa niemiecka we wrześniu 1939 stanęła na parę dni na Wiśle i Narwi, na pierwotnie ustalonej przez układ Mołotow-Ribbentrop granicy niemiecko-sowieckiej. Najmłodsza z moich sióstr mieszkała wówczas w majątku krewnych, o parę dziesiątków kilometrów na wschód. Czerwona Armia, która 17 września uderzyła od wschodu, dotarła już do powiatu, gdzie majątek ten się znajdował. Poprzedzały ją wieści o wywózkach w głąb Rosji i o rozstrzałach ziemian przede wszystkim. Siostra zdecydowała się uciekać pod Kraków. By tam dotrzeć, musiała przedostać się przez most na Narwi, w Pułtusk, na terenie już okupowanym przez wojska niemieckie. Wozem chłopskim z trójką małych

dzieci dotarła do rzeki i tu czekała, czy ją Niemcy dalej przez most przepuszczą.

Żołnierze niemieccy w euforii zwycięstwa otoczyli wóz. Jeden z nich, młody, przystojny blondyn oparłszy się o poręcz wozu, na którym jechała, zaczął się wesoło rozpytywać: „Pani mąż pewno generał, wszyscy Polacy to generałowie... Nie w wojsku? Chory na serce? No, pewno Polacy chorzy, boją się wojować, a my wojujemy wszyscy, więc zwyciężamy”.

Moja siostra nie miała wątpliwości, że od pozwolenia przejazdu przez ten most zależy życie dzieci i jej własne. Czekwała na wyrok. Odpowiedź przyszła kategoryczna. Nikogo przez most nie wolno przepuszczać ze wschodu na zachód.

Wśród tłumu żołnierzy stał jeden młody oficer. Milczał i patrzył uparcie na najmłodszą 7-letnią córeczkę, Elżbietę, która siedząc przerażona na kolanach matki, z oczami pełnymi łez, poruszała z lekka wargami — modliła się. Może też ma córeczkę, może uratuje, może ona go wzruszy — myślała moja siostra. Nagle Niemiec podszedł do wozu. „Nie mam prawa pani przeprowadzić — powiedział — ale zrobię to przecie, jeżeli pani mi coś przysięgnie”. „*Wen sie mir etwas schwören*”. Siostra moja aż się wychyliła z wozu. „Ależ naturalnie, przysięgnę, wszystko przysięgnę”. Może ma kogoś drogiego z tamtej strony, błysnęło jej w głowie, zobowiąże mnie bym się nim zajęła, pomogła.

„Musi pani mi przysiąc — powiedział ciągle patrząc na dziecko — że dzieci swoje wychowa pani jak obywateli III Rzeszy, całkowicie wiernych i oddanych”.

Siostra, tak jak się była wychyliła, tak się odruchowo cofnęła.

„Nie, tego nie przysięgnę”.

Zurück.

Matka z dziećmi wrócić musiała tam skąd się ratowała ucieczką, z uczuciem, że została skazana.

Wszystko potoczyło się inaczej, Niemcy nie zatrzymali się na Narwi, poszli dalej, bolszewicy spędziwszy dobę w domu, który opuściła, cofnęli się za rzekę Bug, ale ten dialog dwojga ludzi, który się kończył wyrokiem prawdopodobnej zagłady matki i trojga dzieci, był starciem dwóch światów. Ileż razy opowiadałem go wielu ludziom, Polakom, Anglikom, Żydom, Francuzom, wszystkim postępowanie oficera niemieckiego wydawało się monstrualne i niepojęte. Nikt z nas nie próbował wnikać w sens, korzeń takiego zachowania. Ten oficer chciał pomóc przecież, matce i dzieciom, nawet przekraczając swoje prawa i właśnie on ich skazał?

Ale mój rozmówca na statku, który zawsze tak żywo reagował i komentował moje opowiadania, tu zamilkł. Na drugi dzień, gdy wszyscy pasażerowie witali przebycie równika i Neptun w Inia-

nowłosej peruce i papierowej koronie „chrzcif” wśród wybuchów śmiechu wrzucanych do basenu pasażerów, mój Niemiec leżał obłożony książkami na leżaku, na zupełnie pustym pokładzie. Ułożyłem się przy nim. Mój przyjaciel zaczął mówić. „Myślałem dużo o tym co mi pan wczoraj opowiedział, to spotkanie siostry... Nie umiem zaraz reagować. Widzi pan... ten oficer, młody Niemiec — chcę go przed panem bronić. On był na pewno ideowy. On *wierzył* w wyższą rasę, wierzył, że nie tylko ratuje siostrę pana, ale że jej *daje* coś w jego pojęciu najcenniejszego”.

Teraz ja zamilkłem. W pierwszej chwili dosłownie zgorszony. Czy jest możliwy kontakt z Niemcami, jeżeli u najlepszych odruchowa reakcja na nagi fakt jest tak różna od naszej!

Opowiadać mu zacząłem wówczas wszystko, co z bezpośrednich opowiadań świadków wiedziałem o uszczęśliwianiu Polaków wyższą rasą, o metodach anihilacji Polaków i Żydów.

„Przysięgam panu — powtarzał mój rozmówca — nic o takich sprawach nie wiedziałem”. Po długim milczeniu dodał: „Dopiero około r. 1942 doszły mnie wieści o Żydach mordowanych przez Niemców, gdzieś w Rosji, ale było zakazane najsrożej o tych rzeczach mówić i wieści o tym były głuche i niepewne”. Tak mówił S. usiłując sobie przypomnieć, co widział i ile było w nim winy, że tych spraw nie znał. „... tak, tak pamiętam jeszcze w 1938 spalono szereg bóżnic, zniszczono sklepy żydowskie, tego nie mogłem nie wiedzieć (*Kristallnacht*). Młody chłopak, entuzjasta Hitlera, jego rasowych teorii przybiegł wówczas do nas blady, trzęsący się: „Nie, tego nie mogę znieść — mówił — kazali się nam przebrać po cywilnemu, udawać wzburzony tłum, palić i niszczyć. Zrywam z partią!”

„Jeszcze ludzi nie mordowano wtedy” — dodaje S. starając się umniejszyć grozę faktów. „Kilka dni potem ten sam chłopak przyleciał do mnie uradowany: ‘Te rzeczy były widocznie tylko z rozkazu niższych władz, szły od złych podwładnych, to było nieporozumienie, dziś przyszedł rozkaz od władz wyższych, żeby tych praktyk zaprzestać, więc ci u szczytu widać są temu przeciwni, Hitler tego nie pochwała’ — mówił mi z ulgą młody wyznawca. I w partii pozostał”.

Słucham mego profesora z trudem. Entuzjasta teorii rasowych? Szlachetny?

Ale przypominałem sobie rok 1936, na plaży w Sopotach. Było tam wówczas pełno wycieczek, wysportowanej, poprawnej i w masie bardzo nordyckiej *Hitlerjugend*. Utkwiła mi jedna scenka: chłopak 15-16 letni w mundurze prowadził chłopca może 6-8 -letniego z prawie macierzyńską czułością i uwagą. Przygotowywał go chyba do jakiegoś wstępnego egzaminu partii, wykładał mu, pamiętam, wszystkie rangi w marynarce! Malec słuchał

w najwyższym skupieniu, widocznie ten starszy wziął na siebie rolę korepetytora dziecka. Obrazek idealny. Jeżeli nie ci sami, to tacy sami kilka lat później bili Żydów, wypędzali Polaków z osiedli, kopali na warszawskich ulicach trupy rozstrzelanych bojowców. I te ostatnie wspomnienia, myślałem, nie powinny we mnie zatrzeć wspomnienia tamtej, niewinnej sceny. Ona także była.

„Wyrusza się jako ochotnicy dla idei poświęcenia, aby polec w szeregach najemników w wojnie przeciążonej okrucieństwem” — pisze Simone Weil do Bernanosa w 1938 r. w związku z wojną domową w Hiszpanii.

Mój Niemiec na statku opowiadał mnie o tej młodzieży: o jej IDEALIZMIE, o jej wierze w Hitlera, wcieleniu ojczyzny, przez złych sąsiadów krzywdzonej. Nie zapomnę mu, że przez niego to drugie jej oblicze przez Hitlera poniżone i zatrute zacząłem przeczuwać.

Wiąże mi się to ze zgorszeniem młodej Niemki, z którą Żydówka z Izraela nagle urwała rozmowę, bo ta Niemka prawdopodobnie czuła się niewinną, nie tylko ona indywidualnie, ale ona jako Niemka zawsze wierna, zawsze posłuszna, mistycznie posłuszna władzy. Sama może straciła na froncie czy w bombardowaniach istoty najdroższe *mit stolzen Trauer*, może nawet wspominała jeszcze swe wzloty i porywy miłości do *Führer'a*. Łączyło się to u niej z pamięcią bohaterstwa swoich, cierpieniem swego narodu i ani na chwilę się nie kojarzyło z piekłem obozów i krzywd przez jej naród zadawanych. Może nawet w nie nie wierzyła?

Ile razy patrząc na tym statku na Niemców, a przede wszystkim na sympatyczne, skrajnie uprzejme, skrajnie niemieckie kobiety, które wzajemnie przy pożegnaniu wpisywały sobie do albumów sentymentalne wiersze i opowiadały jak jeszcze w zbombardowanych miastach i zbombardowanych mieszkaniach umiały mężom ustawić bukiet kwiatów na stole obiadowym, jak słuchały w piwnicach amatorskich kwartetów klasycznej muzyki — tym silniej w moim wyobrażeniu widziałem nieludzkie sceny tępego niemieckiego okrucieństwa czy patologicznego sadyzmu, brzmiały mi w uszach słowa gubernatora Franka wypowiedziane na zebraniu rządowym zimą 1941: „Współczucie chcemy zachować zasadniczo tylko dla narodu niemieckiego, po za tym dla nikogo”.

Jeszcze w 1939 roku, zaraz po kampanii wrześniowej, 17-letni syn znanego polskiego dyplomaty przybył do swego opuszczonego domu rodzinnego w kieleckim chcąc w nim zamieszkać. Dwór był zajęty przez Bawarczyków ludzi spokojnych, sympatycznych, z *Landsturmu*. Przyjęto go uprzejmie, odmówiono mu prawa

zamieszkania, pozwolono mu jednak dom swój odwiedzić. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy odkrył, że w rozległych piwnicach domu była zmasowana ludność żydowska z sąsiedniego miasteczka. Znał z nich wielu, spędzeni tam rozpaczliwie wołali o pomoc, o szklankę wody, o jadło. Prawie niekarmieni, żyli pod podłogą po której sympatyczni Bawarczycy się przechadzali. Ci żołnierze *Landsturmu*, to byli katolicy, dawali na mszę na różne intencje, przystępowali do Komunii św., jak mu to ksiądz z pobliskiego kościoła powiedział. „Nie słyszeli” jęków i krzyków skazanych na zagładę wygłodzonej masy nędzy żydowskiej.

Jak zrozumieć, jak wyrozumieć to połączenie pocziwości, *gemütlichkeit* i obojętności, akceptacji? Cenzurą wewnętrzną? Świadomą dyscypliną NIEkojarzenia, która ostatecznie doprowadza do niezdolności kojarzenia.

W jednym z obozów kobiecych, w chwili zajęcia przez Aliantów znaleziono porzucony album; kobiety tam więzione nie wierzyły swoim oczom, gdy na fotografiach starannie wklejonych oglądały rozczulające sceny, rozpoznały tam najokrutniejszą z dozorczyń w kręgu rodzinnym, ze swoją starą mamusią, z dzieckiem na kolanach i z rozkosznym macierzyńskim uśmiechem na twarzy. Ta sama kobieta w obozie nie rozstawała się ze szpicrutą, biła do krwi, nieraz bez żadnych powodów, podwładne sobie kobiety, znęcała się nad nimi.

„Szeroki człowiek, zbyt szeroki — pisał Dostojewski — ja bym zwęził”.

Iluż ludzi, którzy z obozów wyszli, opowiadało mi sceny podobne, gdzie ich własni oprawcy, zaledwie znaleźli się poza drutami, zmieniali twarz, ruchy, czuli się z dziećmi, głaskali miłe kotki. Ci sami, którzy chwilę przedtem dosłownie zakatowywali ludzi, rozbijali czaszki dzieciom chwytając je za nogi i ciskając o ścianę. Czy jest dziwne, że patrząc na te Niemki na statku, szlachetne, muzykalne, poetyczne, stale wracały mi wspomnienia innych scen, opowiadań i wprost podejrzenia okrutnie krzywdzące?

Borowski, pisarz polski, który przeżył piekło, dosłownie piekło w obozach niemieckich, a po wyjściu z nich stał się namiętym, aktywnym, totalnym komunistą w Polsce, widząc wówczas w komunizmie jedyną przeciwwagę tym szalom niemieckim (ostatecznie w komunizmie miał odkryć podobne manowce, zakłamania i te same krzywdy człowieka — zabił się otwierając kurki gazu swej kuchenki). Borowski opisał w książce, w nagim sprawozdaniu swych przeżyć obozowych, scenę przez niego widzianą. Gdy z kolejnego transportu wrywano półżywych ludzi z zapakowanych do niemożliwości wagonów, by rozbierając ich po drodze do naga i katując prowadzić na śmierć, młoda Żydówka mia-

ła siłę wyrwać rewolwer SS-manowi, którego zadaniem codziennym było pędzić tych ludzi do komór gazowych, i z tego rewolweru strzelić mu w brzuch. SS-man, leżąc drapał pazurami ziemię i wołał: *Gott was hab ich getahn um so zu leiden.*

Jak czytać będzie te moje słowa Niemiec? Przecie wiem że nie raz a tysiące razy na terenach z powrotem przez Polskę zajętych i oczyszczanych od Niemców, dokonywane były przez Polaków zemsty, zbrodnie, grabieże i mordy niewinnych. Ten sam Niemiec patrząc na mnie wspominał, być może, tamte sceny, a przecie to „kto zaczął” gubi się w wiekach przeszłości. Ale nie chodzi mi tu w danej chwili o okrucieństwo, którego potencjalne złoża kryje w sobie jeżeli nie każdy człowiek, to na pewno każdy naród, zastanawia mnie zdolność łączenia uczuć wzajemnie się wykluczających, to podwójne życie i to zadziwiające poczucie niewinności. Czyż byłoby to cechą specyficzną niemiecką? Hitler ją świadomie w narodzie rozwinął i doprowadził do ostatecznych konsekwencji, rozkładając w czasie zaskoczenia swoimi decyzjami, budując niezliczone, nieprzenikalne przegrody, które całą ludność rozwarstwiały na mniej więcej, lub wcale nie wtajemniczoną w formy i metody walki. Przecie rozkaz Hitlera głosił, że nikt nie ma prawa wiedzieć więcej niż wiedzieć musi — *das niemand mehr erfahren durfte als er musste.*

Pod wpływem S., jego opisów i opowiadań zacząłem siebie samego analizować. Gdzie jest granica między tym co Niemcy dźwigają od Hitlera, jako współodpowiedzialność i tym co każdy z nas dźwigał i dźwiga? Dźwiga, bo był, bo jest głuchy, z braku imaginacji, z wygody, z łatwego argumentu „to nie moja sprawa”. Tysiące i tysiące Polaków pochłoniętych nieszczęściem swoim własnym, walką o Polskę czy wprost walką o swój byt, patrzyło obojętnie na zagładę żydowską w Polsce, a byli i tacy którzy się z tej zagłady cieszyli. „Hitler, o tak, to wcielenie zła, ale jedno co zrobił dobrego, czego my byśmy nie potrafili zrobić — uwolnił Polskę od Żydów”. Takie zdanie słyszał niejeden. Dziś wiemy, że w więzieniach polskich w okresie międzywojennym — niepodległości — bito i torturowano komunistów w Łucku (wzmiankę o tych torturach znajdujemy w absolutnie wiarygodnej książce Weissberg-Cybulskiego „Hexensabbat”). Wiemy, że specjalnością polskiej policji było odbijanie nerek gumowymi pałkami, tak jak węgierskiej wtykanie stalówek pod paznokcie. Przypominam sobie, w tamtych latach zabiegałem u szczytów hierarchii naszej policji o komunistę, uwięzionego w Łucku. Otrzymałem po paru miesiącach uprzejmą odpowiedź, na pięknym papierze, że sprawa jest w badaniu. Czy nie daje mi to możliwości zrozumienia czym była tajemnica obozów niemieckich, eksterminacji Żydów, czy planów kompletnej zagłady Polaków?

Grać musiało zresztą u Niemców *nie tylko* ślepe posłuszeństwo rozkazom Hitlera, była tu także podświadoma chęć, *nie wiedzieć*, bo to wymagałoby reakcji moralnej, *niezależnej*.

„Przysięgam Panu, że o tym nie wiedziałem” — słyszę jeszcze głos S. Ile takich głosów słyszeliśmy wszyscy?

A my? Jakże to było u nas już w latach rządów Hitlera w Niemczech przed 1939? Proces Brzeski, Bereza Kartuska — obóz na szczęście w Polsce przed 1939 rokiem jedyny, gdzie zsyłano skrajnych nacjonalistów polskich, nacjonalistów ukraińskich, Żydów, komunistów i spekulantów. Pacyfikacja ukraińska przeprowadzona okrutnie. Przecie wiedzieliśmy o tym wszyscy — nie było zmywy milczenia i były głosy protestu — między innymi wielkiej pisarki, Marii Dąbrowskiej. Ale czy moja własna reakcja wychodziła wówczas poza liberalne oburzenie, które mi do tego niczym nie groziło, bo nie mieliśmy Hitlera?

Od czasu moich długich rozmów z niemieckim przyjacielem na statku, sprawa odpowiedzialności niemieckiej wcale nie przestała dla mnie istnieć, ale stała się mniej prosta, mniej wyłączna. Stała się problemem powszechnym, wybiegającym daleko poza Niemcy. Dziś już nie umiem myśleć o Niemcach w oderwaniu. W innej formie, z inną ideologią, do innego kraju dopasowaną, czy szaf podobny nie mógłby ogarnąć każdego kraju?

A odruchowa pogarda tyłu Polaków do wszystkich swoich sąsiadów, a bardziej jeszcze do Żydów, płynęła z podobnego uczucia własnej wyższości, a nawet misji. Czy Polska nie byłaby zdolna ulec — jak Niemcy — masowej hipnozie, jaką tam wywołał Hitler? Może nie pozwoliby jej na to składnik anarchiczny, tak obcy psychice niemieckiej, który by nie dopuścił do podporządkowania całego człowieka, dobrowolnie, według własnej decyzji, podporządkowany nie tylko jego czynom, ale i myśli, bo w takim wypadku nie myśl żłobi człowieka, ale jednokierunkowa wola żłobi myśl i nie ma wówczas skrawka zwoju mózgowego na myśl wolną.

Nie myślę bynajmniej stawiać na równi win polskich ze zjawiskiem — jedynym chyba w swoim rodzaju w historii — z hitleryzmem. Jest różnica między winami polskimi a tą piramidą zbrodni nad człowiekiem, która powstać mogła tylko dzięki aktywnej systematycznej, do najdrobniejszych szczegółów rozpracowanej, u szczytu obowiązującej, koncepcji, dzięki systematycznej, aktywnej zgodzie narodu, bezwzględnemu, ślepemu posłuszeństwu, pracy milionów ludzi, ogniw tego precyzyjnego mechanizmu. Żaden kraj nie zdobył się na takie setki i setki inżynierów, chemików, uczonych, lekarzy, którzy planowali piece krematoryjne, fabryki mydła z tłuszczu ludzkiego, którzy tysiącom ludzi dawali śmier-

telne zastrzyki fenolu, przeprowadzali doświadczenia lekarskie nad jeńcami, których rezultatem było kalectwo lub śmierć, żaden kraj nie zdobył się na te zastępy maszynistek, kreślarek, które pilnie pisały i przepisywały na maszynach formułki chemiczne, uśmiercające możliwie szybko tysiące ludzi, czy rysowały pod kierownictwem wybitnych uczonych i architektów plany budynków, których celem było umieszczenie w nich możliwie wielkiej ilości istot, które należało mordować w oszczędny sposób i w najkrótszym czasie.

Magia, jaką Hitler posiadał, genialne wyczucie, jak i czym mógł na psychice niemieckiej grać, wszystko to nie było jakimś wypadkiem, wyrastającym z niczego, i miało swoją z głębi wieków idącą niemiecką genealogię. Heine pisał o starych kamiennych bożkach, które „podniosą się z głuchych osypisk i rozbijając będą gotyckie sklepienia”.

Jakich ludzi trzeba było, by tej masowej hipnozie narodu się nie poddać, rozpocząć z nią walkę i toczyć ją przez lata, do śmierci. Nie za głośne są słowa, gdy myśl nieustraszoną i wolę nieustraszoną tych ludzi nazwiemy wielkością.

Grupa moich przyjaciół federalistów zaprosiła mnie w latach 50-tych, by obejrzeć prywatnie wyświetlany film. Był to film zrobiony dla Hitlera i z jego rozkazu, na rozprawie sądowej w Berlinie, nad uczestnikami zamachu lipcowego, gdzie prokuratorem był Freisler. Film ten wykryto w ruinach Berlina (o ile wiem, trafił potem do innych wyświetlanych po świecie filmów dokumentarnych). Wśród oskarżonych byli, jak sobie przypominam, von Hassel, ambasador hitlerowski w Rzymie, von Schulenburg, ambasador w Moskwie oraz szereg innych najwyższych dygnitarzy i generałów. Wśród tych wszystkich postaci, które częściowo znałem z nazwiska i z działalności, tych wszystkich zwycięskich, wyorderowanych, którzy tam stali w brudnych koszulach podtrzymując swoje zmięte spodnie bez szelek i guzików, był jeden człowiek, którego nazwiska nigdy nie słyszałem, o którego roli w zamachu na Hitlera nie miałem wówczas żadnego pojęcia. Był nim Ulrich Wilhelm hr. Schwerin von Schwanenfeld, Prusak z Pomorza. Człowiek jeszcze względnie młody, o twarzy bardzo spokojnej, skupionej, prawie nieobecnej. Gdy na wyświetlanym procesie nadeszła kolej na sąd nad Schwerinem, prokurator Freisler zaczął go z punktu znieważać, wymyślać nieustannym potwornym rykiem. Patrzyłem tylko na tę twarz skupioną i daleką, na którą padał grad przekleństw „*Schweinshund, Schweinshund*”. Była chwila, w której prokurator zamilkł na chwilę, by przełknąć ślinę i wtedy usłyszeliśmy głos Schwerina, spokojny, jakby do siebie: „Za wiele mordów widziałem w Polsce”.

„*Ich habe zu viel Mord in Polen gesehen*”.

„Mord? Mord? Dass nennen sie Mord!” — zaszczekał, zaskowyczał prokurator.

Nic więcej. Ale ta twarz Schwerina i to jedno króciutkie przez niego wypowiedziane zdanie powiedziały mi więcej, niż wszystko co o Niemczech wiedziałem. Schwerin został tego samego dnia procesu rozstrzelany. Do dziś zachowałem uczucie, że nie tylko byłem przy wyroku śmierci na niewinnego, ale że mój stosunek do Niemców od tej chwili się zmienił.

Samotność jednostki wśród wrogiego tłumu, więcej: odnaleziona godność. Więc człowiek istnieje.

Dopiero wiele lat później dowiedziałem się o roli, jaką odegrał Schwerin. Już w 1923 roku, w Monachium, widział groźbę nazizmu i z nim walczył. W 1932 roku występował otwarcie przeciwko Hitlerowi, przed wyborami na prezydenta Rzeszy. Gdy jeden z jego przyjaciół w 1935 roku wrócił z Afryki do Niemiec, zastał już całą organizację oporu stworzoną przez Schwerina i jego przyjaciół. W 1938 r. zebrali się oni w Meklenburgii, w jego domu — zamach na rządy Hitlera miał być już wówczas ustalony i przygotowywany. Wizyta Chamberlaina w Niemczech rozbiła jednak przygotowane powstanie. 20 czerwca 1944 r. znajdował się Schwerin w pokoju Stauffenberga w Berlinie, stamtąd został wyprowadzony w kajdanach na śmierć. Wówczas powiedział: „Jedynie co możemy zrobić teraz dla naszej sprawy, to umrzeć”.

Pani Annedore Leber wydała dwie książki: 138 suchych sprawozdań historii życia ludzi, którzy polegli w walce z Hitlerem⁵. Każdy życiorys jest zaopatrzony w fotografię. Są to przeważnie zdjęcia policyjne lub zdjęcia z sali sądowej. Na każdego człowieka dobrej woli, te dwie książki, te życiorysy i te twarze działają silniej niż najgroźniejsze cyfry, czy teoretyczne rozważania.

Klaus Schenk hr. von Stauffenberg, autor zamachu z 20 lipca 1944 roku, jego profil jak z rzymskiego medalu. Gdyby ten zamach się był udał — myślę tu jako Polak — nie byłoby prawdopodobnie zagłady Warszawy. Ten człowiek — którego jeden z generałów niemieckich oceniał jako jedyne genialnego oficera sztabowego — Niemiec tamtego okresu, decydując się na zamach powiedział: „Przed Bogiem i naszym sumieniem, to, co zamierzam, stać się musi, bo ten człowiek jest samym złem” — ginie od kuli 20 lipca 1944.

Kartkuję obie książki: portrety i biografie.

Juliusz Leber, jeden z przywódców robotniczych północnych Niemiec — socjaldemokrata, w planach zamachowców przeznaczony na ministra spraw wewnętrznych nowych Niemiec, już w

5. „Das Gewissen steht auf”, „Das Gewissen entscheidet” Mosaik-Verlag, 1956-1957.

1933 aresztowany. Aresztowany znów w lipcu 1944, skazany na śmierć. Przed wykonaniem wyroku 6 stycznia 1945 przekazał swym przyjaciołom: „Dla tak dobrej, tak słusznej, sprawy cena własnego życia jest godną stawką. Zrobiliśmy to co było w naszej mocy. Nie nasza wina, że wszystko się tak potoczyło a nie inaczej”.

Wilhelm Kitzelmann, z chłopskiej rodziny z Turyngii, dwudziestoparoletni, mówi swym kolegom na froncie: „Jeżeli ci zbrodniarze mają zwyciężyć, wolę nie żyć” Osadzony w twierdzy w Orle skazany jest na śmierć za „podkopywanie siły obronnej wojska”. Podanie o łaskę odrzucone. W tejże twierdzy, na wysokim brzegu Oki, wyrok zostaje wykonany w 1942 roku.

22-letnia Zofia Scholl z bratem Hansem, skazana na śmierć w lutym 1943 za przynależność do „Białej Róży”, tajnego towarzystwa oporu przeciw Hitlerowi, którego celem było „odnowienie ciężko rannego ducha Niemiec”.

Józef Wirmer, jemu było przeznaczone po zamachu ministerstwo sprawiedliwości, odbudowa sprawiedliwości. Słyszając mowę Hitlera przez radio już w 1933 roku, powiedział: „Będę wrogiem tego człowieka”. Na berlińskiej sali sądowej 8 września 1944 r. stoi ogromny, barczysty, w sobie zebrany człowiek i spokojnym spojrzeniem patrzy na Freislera: „Jeżeli będę wisiał, panie prokuratorze, nie ja będę się bał ale pan!” Wyrok śmierci jest tegoż dnia wykonany.

Autorka tej książki wyznaje jak trudno jej było tych 138 nazwisk wybrać wśród tak wielu, których z braku miejsca tu umieścić nie mogła, bo ci tu wymienieni, to, jak mówi A. Deber, drobna cząstka niemieckich ofiar w walce.

David Rousset, sam więzień oświęcimski, twierdzi, że w styczniu 1943 przesłano do dezynfekcji tysiąc mundurów, tysiąca, 48 godzin przedtem zagazowanych niemieckich oficerów.

E. Kogon, autor podstawowej niemieckiej książki o obozach, który sam siedem lat w nich przeżył, pisze o ponad pięciu tysiącach ludzi ze wszelkich warstw społecznych, którzy zginęli po zamachu lipcowym na Hitlera. Przy śmiercią karanej zdradzie tajemnic, te wykradzione cyfry muszą znaczyć tylko nikły procent ofiar buntu. Czy sami Niemcy dziś, 20 lat po wojnie, znają ich ilość?

Na procesie, o którym wspominałem, prokurator Freisler grzmiał na skazanego Helmutha Jamesa hr. von Moltke: „Panie hrabio, my narodowi socjaliści, jedno mamy wspólne z chrześcijaństwem i tylko to jedno, żądamy całego człowieka”.

Walka z nazimem żądała również całego człowieka. Nie tylko Wotan i Tor stworzyli łożysko świadomości i podświadomości niemieckiej.

Charles Du Bos pisał wiele lat przed katastrofą: „Mam wrażenie, że gdyby wszystko opuściło człowieka, muzyka Bacha byłaby zawsze; jeżeli by świat ten miał być zmieciony przez wielki kataklizm, nie możemy sobie nawet wyobrazić by i muzyka Bacha miała być tym kataklizmem porwana”.

Bach był i jest w Niemczech nie tylko pokarmem elity, ale chlebem powszednim niezliczonych mas, słuchali go ludzie porażeni apokalipsą miast bombardowanych, trupów i zgłiszcz, i do życia ich przywracał.

I nagle, patrząc na fotografie w dwóch tomach Annedore Leber — twarze zgłodzonych przez Hitlera, myśląc o milionach ofiar niemieckich, bije mi w oczy, że małoduszny jest każdy z nas, który hitleryzm identyfikuje z Niemcami, z całymi Niemcami.

Józef CZAPSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 138 — WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK (1961-1966)



OPERETKA

Str. 256.

Cena F 16,50 (24/6; dol. 3,50)



TOM 139 — ALEKSANDER HERTZ

**REFLEKSJE
AMERYKAŃSKIE**

Analiza współczesnej rzeczywistości amerykańskiej opracowana przez autora „Amerykańskich stronnictw politycznych”.

Str. 260.

Cena F 16,50 (24/6; dol. 3,50)

Stanisław Mackiewicz w listach do przyjaciela

Pani Zofii Staniszewskiej

Twórczość Stanisława Mackiewicza jest w piśmiennictwie i publicystyce polskiej zjawiskiem niecodziennym i trwałym. Za życia był — używając utartego wyrazu — instytucją, a po śmierci pozostał instytucją oraz wzorem dla szeregu prosperujących dziś pisarzy. Jego zwięzły styl, styl dosłownie telegraficzny, i zdolność błyskawicznego dostrzegania najważniejszych stron zagadnienia z pominięciem ubocznych — zdolność, którą Rosjanie nazywają obrazowo „chwytaniem byka za rogi”, jest w mętnej, rozgadanej, wielosłownej pisaninie większości współczesnych pisarzy odświeżający. Stanisław Mackiewicz — w jednej osobie polityk publicysta, historyk, krytyk literacki, prawnik, wspominkarz i poeta (tak, poeta!) — zasłużył na coś więcej niż miano „wielkiego dziennikarza”, którym sam ochrzcił w nekrologu Czesława Janowskiego, zmarłego 38 lat temu a jakże niesłusznie zapominanego, czy może już zapomnianego pisarza i poety.

Toteż uważam, że twórczość i życie Stanisława Mackiewicza staną się prędzej czy później przedmiotem wszechstronnej i wnikliwej monografii. Mój szkic nie ma pretensji do takiej monografii. Najwyżej może być drobnym do niej materiałem. Natomiast poważnym źródłem do tej monografii będzie artykuł „Stanisław Mackiewicz” Wacława A. Zbyszewskiego w „Kulturze” z czerwca 1966. Artykuł ten, pomimo wielu błędów — nieraz drobnych a nieraz irytujących (o jednym z nich wspomnę niżej) — z których parę już wytknięto w „Kulturze”, jest „konterfektem, wizerunkiem tego niezwykłego i niepospolitego człowieka” tak trafnym, tak *żywym*, że jeżeli kiedykolwiek Stanisław Mackiewicz trafi do tej lub innej serii „Żywych”, to w takiej pracy zbioro-

wej artykuł Zbyszewskiego powinien się znaleźć na pierwszym miejscu.

Nie mając, jak zaznaczyłem, pretensji do pisania monografii chcę jednak w tym miejscu podkreślić dwie cechy Stanisława Mackiewicza dotąd pomijane przez jego najlepszych apologetów. Jedną z nich był dar przewidywania politycznego. A jest to dar, którego przeciętny czytelnik nigdy nie oceni, jak nie ceni w ogóle wszelkiego „krakania”, a kolega-publicysta nigdy nie daruje kolesze-publicyście. W innym miejscu wspomniałem jak w czerwcu czy lipcu 1939 roku na moje pytanie, czy wojna będzie, odpowiedział: „Chociaż emocjonalnie nikt w wojnę nie wierzy, wojna będzie”. A po chwili dodał: „Skończy się na tym, że w najlepszym razie stracimy ziemie wschodnie”. A w 10 lat później, już tu w Ameryce ks. J. D. L. opowiadał mi jak Mackiewicz w Paryżu w błogim okresie *drôle de guerre* przewidział nieuchronny upadek Francji.

Drugą cechą był pesymizm. Pesymizm przede wszystkim polityczny. Czy jednak tylko polityczny?... Przy całym poczuciu humoru i zamiłowaniu do dobrych kawałów, przy całej sile witalnej, którą dopiero ciężka choroba i zmora głodu potrafiły powalić, na dnie jego „radości życia”, czy też, jak kto woli, w zakamarkach podświadomości leżał pesymizm, który zresztą osobiście uważam za nieodłączony składnik wysokiej inteligencji.

Jakże więc krzywdzi go p. Adam Ciołkosz, gdy pisząc o memoriale z r. 1943 nazywa umysłowość Mackiewicza „pozbawioną poczucia rzeczywistości” („Zeszyt historyczny” nr 11 z 1967). Naprawdę było zupełnie inaczej. Stanisław Mackiewicz był jednym z drobniutkiej garstki Polaków, którzy w latach 1941-1945 w Londynie jasno widzieli nawiście nad Polską niebezpieczeństwo. Olbrzymia bowiem większość albo chowała głowę w piasek, albo była „Alicją w krainie czarów”, jak Mackiewicz nazwał w jednej ze swoich broszur londyńskich jednego z ministrów rządu polskiego. Że Mackiewicz miał zawsze, a zwłaszcza od roku 1941, pełne poczucie rzeczywistości tego dowodem wszystkie jego broszury wydane w tym okresie, no i jego książka z tragicznie ironicznym tytułem „Lata nadziei”.



Stanisława Mackiewicza poznałem zapewne wkrótce po moim osiedleniu się w Wilnie, czyli na jesieni 1924. Wtedy nie był jeszcze w Polsce szerzej znany, ale w Wilnie już bardzo ceniono młodego, bo tylko 28-letniego redaktora. Współpraca moja ze „Słowem” zaczęła się w dwa lata później. Na razie była to współpraca „łowiecka”, później ogólna. Prawdziwa przyjaźń między nami zawiązała się jednak dopiero w Londynie. Po moim wy-

jeździe do Ameryki napisał do mnie z Londynu 93 listy, a potem z Warszawy 167, czyli jestem w posiadaniu 260 listów Stanisława Mackiewicza.

Znając moją awersję do polityki w ogóle a do polityki emigracyjnej w szczególności mało w tych listach pisał o polityce. Dużo natomiast o swych pracach literackich, o literaturze, o plotkach londyńskich, o pisarzach. Do końca — a korespondencja nasza skończyła się na parę tygodni przed jego śmiercią — w każdym liście jest jakiś kawał — przeważnie z gatunku „dla palących” czyli niecenzuralnych. Dużo w listach wynurzeń, które nazywał „wyliryczeniem się” i za które przepraszał, dużo intymnych szczegółów — o sobie i innych osobach. Listy z Londynu są, oprócz krótkiego okresu „premierostwa” (kiedy to po raz ostatni słyszałem jego głos przez telefon z Chicago) — smutne. Listy z Warszawy są nacechowane na razie optymizmem (może nadrabianym?) i bardzo śmiałą charakterystyką stosunków krajowych, choć musiał zdawać sobie sprawę, że listy jego są cenzurowane. Potem przyszła ciężka choroba i kalectwo. Listy znów są smutne, nieraz ponure. Skarży się na lekarzy, których wzorem Tołstoja nazywa szarlatanami, skarży się na operację, która miała stan jego pogorszyć, a była dokonana przez lekarza, który potem według jego słów poszedł do zakładu nerwowo chorych... Nie mniej w każdym liście jest jakiś kawał. Pisał kawały nawet wtedy gdy go męczyły straszne nerwobóle. Po proteście „34-ech”, a zwłaszcza po zdemaskowaniu „Gastona de Cerizay” (którego tożsamość nawet przede mną ukrywał i zapewne dla oszukania cenzury podsuwał mi nazwiska możliwych autorów podpisujących się tym pseudonimem) listy stają się po prostu rozpaczliwe. Niemniej jednak zdobywa się na parę miesięcy przed śmiercią na napisanie dla londyńskich „Wiadomości” recenzji mojej „Wojny i sezonu”, jako też przesyła przeze mnie do „Kultury” swoje ostatnie „Zapiski z kraju niewoli”.

Gdy miałem nieostrożność napisania do Polski, że zamierzam opracować artykuł na podstawie „listów Stanisława Mackiewicza do przyjaciela”, jedna ze spadkobierczyń jego „praw autorskich” przysłała mi z kraju list z protestem zaznaczając, że według woli zmarłego (?) wszystkie jego listy nie mogą być ogłoszone przed upływem tylu a tylu lat. Mógłbym w odpowiedzi powołać się na list jego do mnie pisany z Londynu 25 lutego 1956, w którym stoi wyraźnie: „Mam nadzieję, że zaraz po mojej śmierci wydasz naszą korespondencję”. Nie zrobiłem jednak tego. Po pierwsze bo pisał te słowa 11 lat temu, gdy tryskał zdrowiem i energią i gdy tylko żartem mógł przypuszczać, że ja — starszy od niego o kilka lat i będący świeżo po zawale serca — mogę go przeżyć. Po drugie nigdy nie będę mógł wydać naszej „korespondencji”,

a chyba tylko jego listy, moje listy bowiem wysyłałem bez zachowania kopii. Po trzecie w ogóle nie mam zamiaru ogłaszania jego listów. Nawet po upływie 50 lat i po śmierci wszystkich wspomnianych w nich ludzi nie znalazłby się wydawca, który by się zgodził ogłosić te listy w całości: nie mówiąc o wyrazach niecenzuralnych i o kawałach nieprzyzwoitych, czy może być mowa o ogłaszaniu listów, w których szanownym i poważanym ludziom wymyśla od durniów i kanalii, albo też używa takich mistyfikujących przezwisk jak „Jawnogrzesznik” lub takich wyrafinowanych określeń jak „chamstwo dwornika moskiewskiego”. Zresztą z wyjątkiem Kazimierza Okulicza, o którym stale mówi z szacunkiem i uwielbieniem, prawie o nikim nie wyraża się dobrze. Ale Okulicza „kocha naprawdę za lojalność, przyzwoitość, szlachetność i rozum”...

Urywki lub raczej wyrwane zdania z listów Mackiewicza podzieliłem w sposób następujący: 1) Liryka (do której włączyłem luźne myśli, nieraz „filozoficzne”, jako też próbki humoru i celniejsze kawały); 2) O innych pisarzach; 3) O emigracji; 4) O Anglii; 5) O „Dostojewskim”; 6) O „Stanisławie Augustcie”. Ostatnie dwa działy dotyczą dwóch jego książek, z których pierwszą on uważał za swoją najlepszą, gdy ja ceniłem daleko wyżej „Stanisława Augusta”. Litera „L” w nawiasie oznacza, że list był pisany z Londynu, litera „W” że z Warszawy.

Liryka

„Samobójstwa nie popełnię, bo nie umiem na niego się zdobyć... że nie mogę teraz zdobyć się na akt tak logiczny, stanowi dla mnie tragedię samą w sobie” (L)... „Bardzo bym chciał umrzeć: życie kaleki bezrobotnego nie jest tak przyjemne, jak londyńskiego dandy, wierzaj mi!” (W)... „Najlepiej byłoby umrzeć i nie mam żadnego strachu przed śmiercią, ale nie stać mnie na popełnienie samobójstwa” (W)... „Śmierć, do której szczerze wzdycham, nie chce przychodzić” (W)... „Mózg mój to jakaś synagoga szatana (?) pełna cierpienia zupełnie nie do zniesienia” (L)... „Ach, gdybym mógł z tego Londynu wyjechać” (L, rok 1952)... „Jaka szkoda, że jako pisarz nie potrafiłem wyleźć na międzynarodową scenę. Ale dlatego trzeba być albo pijakiem, jak Strindberg lub Przybyszewski, albo pederastą... albo co najmniej Żydem” (L)... „Przegrywali zawsze ci, z którymi byłem: Sławek, ziemianie kresowi, ziemie wschodnie. Doprawdy może lepiej, abym stanął po stronie bolszewików. Jeśli to nie spowoduje ich upadku, to już nic nie spowoduje” (L)... „Przez higienę mózgu wystrzegam się przede wszystkim kontaktu z durniami” (L)... „Ze wszystkich form samobójstwa jest ta forma (powrót do kraju) najbardziej masochistyczna” (L)... „We wtorek

29 maja (1956) jest u mnie konwentykiel w składzie: Alfons Poklewski-Kozieł herbu własnego, Okulicz herbu Oksza, Lew Sapieha herbu Lis, niejaki Rogowicz... herbu Lubicz, nieznanego mi herbu Stanisław Siciński i mój brat cioteczny Romaś herbu Gwiazdycz, któremu to konwentyklowi powiem, że wyjeżdżam do Warszawy. Wyjazd nastąpi pomiędzy 15 a 30 czerwca" (L)... „Pamiętaj także że kobiety odgrywają czasem w życiu ludzi wrażliwych decydującą rolę" (L)... „Chyba domyślasz się, że powodem mego wyjazdu do kraju było to, iż mi nadojadło to, że nie jest moją kochanką" (W)... „Z każdym dniem więcej się cieszę, że wróciłem" (W)... „Jestem straszliwie samotny" (W)... „Jedno, co jest rozumnego we mnie to to, że życzę sobie śmierci" (W)...

„Na podstawie swych studiów dzielę ludzkość na trzy zasadnicze kategorie: pierwsza — Radziwiłłowie, druga — szlachta litewska, trzecia — inni ludzie tj. żółci, czarni, biali..." (W)... „Ludzie, którzy wypowiadają jakieś głębokie idee, są przeważnie głupi, bo zarozumiali. Natomiast prawdziwi inteligenci lubią się wygłupiać" (L)... „Nawracam do astrologii, jedynej nauki, której warto się uczyć" (L)... „Polowanie to jest ten akt płciowy — spółkowania rozkosznego z przyrodą" (L)... „Na tym... polega wyższość dziennikarza od historyka, że dziennikarz jak pisze sprawozdanie z Ligi Narodów to nie przytacza w całości wszystkich protokołów, nie pisze, co mówił ktoś, kto nie ma znaczenia, ale uchwytuje w pełni tylko rzeczy istotne. Taka metoda malowania historii plamami barwnymi, ten impresjonizm w metodzie narracji historycznej jest może rzeczą nową, ale na pewno nie tak naganną, jak to wszyscy twierdzą" (L)... „Cała niemiecka filozofia XIX wieku z Heglem na czele ogłupiła ludzkość na trzy pokolenia. Marx — który zresztą, jako prawy Żyd, targował towarem cudzym, bo cały materializm historyczny był wymyślony przez Feuerbacha, pastorowicza niemieckiego — przejął zupełnie idiotyczną metodę myślenia tego durnia Hegla. (Do filozofii) mam obrzydzenie... Ale rozumiem, dlaczego filozofia i wszystkie inne nauki filozoficzne, jak np. filozofia historii, stoją tak nisko i tak się nie rozwijają w porównaniu do nauk ścisłych. Dystans, który dzieli badania atomowe od czasów greckich i — filozofię od czasów Arystotelesa jest zupełnie inny. Właśnie dzięki takim Hegłom w filozofii cofnęliśmy się do czasów Arystotelesa" (L)... „Studiuję wciąż filozofię i utwierdzam się w przekonaniu, że to nie nauka, ale choroba umysłowa" (L)...

(Przysłał mi fotografię Wenus medycejskiej z napisem „Pogrzeb w Szczecinie" i dodał:) „Nareszcie Szczecin przydał się na coś" (W)... „Wisi plakat z napisem: 'Śląsk — wasze bogactwo, Szczecin — wasz port, Kraków — wasze miasto, Socjalizm — wasza przyszłość'. A ktoś węglem dopisał: 'Kurwa — wasza mać'" (W)... „Jaka jest różnica między Rumunami a Polakami? — Rumuni przeważnie kończą się na „sku" a Polacy zaczynają się na „sku" (W)... „Aleksiej Tołstoj upił się i podchodzi do Stalina z kieliszkiem mówiąc: 'Pierwszy pisarz ziemi rosyjskiej pozwala sobie zaproponować wypić z nim na ty'. Stalin zmierzył

Tołstoja od stóp do głowy i odpowiedział: 'Wolne żarty, panie hrabio'" (W)... „Co do twojej fotografii to uważam, że w Wilnie wyglądałeś młodziej. Może to jednak вина mej złej spostrzegawczości" (W)... „Kisielewski zapytał Stommę, gdzie w Trylogii wypowiedziane jest zdanie: 'Kończ, waćpan, wstydu oszczędź'. Stomma zamyślił się i odpowiedział: 'Tak mówiła kniaziówna do Skrzetuskiego'. Zresztą może to Kisielewski wymyślił" (W)... „Mel (Wańkowicz) poszedł przed dom partii, oblał się benzyną i spalił na znak protestu. Dziwne, że nikt w to nie wierzy i wybuchają śmiechem jak to opowiadam" (W)... „Jak wiesz ten wielki poeta polski urodził się w Szczecinie, kończył uniwersytet we Wrocławiu, gdzie był dręczony przez Niemców. Największy jego poemat z inwokacją 'Ziemie odzyskane, ojczyzna moja' poświęcony jest życiu górników na Śląsku" (W, list z 27 stycznia 1966, na parę tygodni przed śmiercią).

O innych pisarzach

„Nowaczyński był endekiem przez przekorę, przez to właśnie, że z całej swej postawy był anty-tykiem, więc anty-endekiem, ale jego syn, gdyby go spłodził z kucharką, mógłby być endekiem" (L)... „Sławoja nazywałem 'Piotrem wielkim w klozetowej skali', albo 'Komendanta Piłsudskiego wachmistrzem Soroką' (L)... „(Grydzewski) teraz Studnickiemu frazes 'w takim to roku ostatecznie zerwałem z endecją' przerobił na 'w takim to roku wystąpiłem ze stronnictwa narodowego'. W ten sam sposób można zdanie 'dałem K-iemu w mordę' poprawić redakcyjnie na 'pożegnałem się z panem K-im'" (L)... „Zachwycam się Ignacym Krasickim. Cóż za pisarz, coś za finezją, coś za skąpstwem słowa. Pomyśleć, że Polska miała takich dojrzałych artystów w XVIII wieku, a potem tak dała się zdystansować Rosji" (L)... „Mój brat Józio ogłaszając swój życiorys pominął lata, kiedy pracował w 'Słowie', choć pracował blisko 17 lat... Dotknęło mnie to do żywego: praca w 'Słowie' była dla każdego zaszczytem. No, ale mniejsza z tym" (L)... „J., o którym piszesz, jest brunetem i posiada włoską inteligencję, która jest lepsza od żydowskiej" (L)... „Nowakowski Tadeusz napisał o mnie, że obgryzam paznokcie — co nie jest prawdą — i mam kamizelkę poplamioną barszczem i kołdunami — co jest prawdą... Zatrzymałem go na ulicy i pokazałem, że paznokci nie obgryzam" (L)... „Tadeusz Nowakowski... mój zaklęty wróg, którego wielki talent wprost uwielbiam" (L)... „Wiersze Lechonia... Boże, co za czkawka po Krasińskim i po samym sobie. Cóż za rozpaczliwe wyciąganie rąk w kierunku własnego talentu, który go opuścił przeszło 30 lat temu" (L)... „Lechoń w swoich notatkach wzoruje się na dziennikach braci Goncourt, szkoda tylko że nieudolnie" (L)... „Że nowele Czechowa są lepsze od jego sztuk scenicznych, o tym wie każdy prócz Anglików i innych zboczeńców" (L)... „Przeczytałem sobie podczas świąt 'Iwanowa' Czechowa i zrobił na mnie obrzydliwe wra-

żenie jakiejs żeromszczyny w złym guście, utworu całkiem załganego o ludziach, którzy istnieć nie mogli, pomieszania rzeczy całkowicie farsowych, komicznych od siedmiu boleści z tragiczną grandilokwencją pozbawioną prawdziwego patosu. Wprost przestraszyłem się: bałem się straty ukochanego dla serca mego pisarza" (W)... „Grzebaliśmy dziś śp. Strońskiego. Pogrzeb był bardzo a bardzo obskurny. Uznaliśmy obaj z Karolem (Zbyszewskim), że absolutnie nie warto było umierać na taki pogrzeb" (L)... „Borman opowiada: „Mackiewicz wchodzi do redakcji 'Wiadomości' i woła 'Żydy won!' A wtedy Grocholski wychodzi" (L)... „Mel (Wańkowicz) jest człowiekiem sprytnym, pełnym poczucia aktualności, gatunków wazeliny etc., ale Bóg pozbawił go całkowicie talentu, co on zastępuje pracowistością i sztuczością" (L)... „Mel wymyślił slogan dla fabryki wyrobów gumowych: 'Prędeży ci serce pęknie'" (W)... „'Tędy i owędy' uważam za książkę w ogóle nic nie wartą, a Mela za patentowaną świnię" (W)... „Mel jako pisarz się skończył. Pisze jakieś senilia" (W)... „Niejaki Trościanko, syn krawca z ulicy Wileńskiej, wymyśla mi w sposób zupełnie niestłuchany na eterze Free Europe" (W)... „Jakiego zdania jesteś o Norwidzie? Nigdy go nie czytałem" (W)... „Weysenhoffa trzymam za pisarza pierwszej klasy. *Czut-czut* gorszy od Kuprina, w rodzaju Leskova (?), a ciekawszy czasami od Anatola France'a robiącego karierę światową na tym, że jest Francuzem" (W)... „Proust jest pederastą, jest poza naszą cywilizacją opartą na kulcie kobiety... Dla mnie Proust jest obrzydliwy i nudny i zachwyty nad nim są moim zdaniem objawem jakiegoś najgłępszego ze snobizmów" (W)... „Gołubiew równie zany i miły człowiek jak bzdurny pisarz. Zresztą nic jego nie czytałem" (W)... „Hemar co prawda napisał, że ja 'sprzedaję' Wilno, tymczasem ja tu robię wszystko co mogę, aby ożywić nastroje jagiellońsko-mickiewiczowskie. To właśnie emigracja raz po raz wyrzeka się Wilna" (W)... „Miłosza uważam za największego z żyjących poetów polskich... ale jego studium o Brzozowskim to zupełne *biezobrazie* (potworność) pod względem rzeczowego czy krytycznego stosunku do przedmiotu" (W)... „Świderski z Londynu przysłał mi tom pierwszy pamiętników Jawnogrzeszniaka liczący stronice 656. Tomów takich ma być cztery. W porównaniu z tym jakże skromniutko na ilość stronice wygląda 'Memorial' Napoleona napisany na Pięknej (tak!) Helenie, a przecież Napoleon miał także sporo rzeczy do opowiedzenia, co prawda nie tak ważnych... Nie rozumiem jak można całe życie obcować z Puszkim, Tołstojem, Gogolem, Dostojewskim, a potem napisać takie" (W)... „Konieczna jest rewizja naszych pojęć literackich. Przede wszystkim trzeba przestać uważać Kasprowicza za poetę a uznać go za i nic więcej. Potem skreśliłbym całą Orzeszkową jako pisarkę trzeciorzędną, natomiast wyniosłbym Zapolską. Poprawiłbym reputację Mniszkówny równając ją z Żeromskim. Wyniosłbym wysoko Perzyńskiego, natomiast Krzywoszewskiego, Kiedrzyńskiego, Wroczyńskiego oddałbym na chłam (szmelc). Oczywiście wyniosłbym bardzo wysoko Boya, prawdziwego po-

tomka biskupa Krasickiego... Redukowałbym Słowackiego — Mickiewicza uważam za poetę większego od Puszkina" (W)...

O Emigracji

„Nasza emigracja jest jedną wielką trupiarnią... Na każdym prawie większym zebraniu ktoś zdycha" (L)... „Uważam nasz stan polityczny za istotnie beznadziejny a siebie za księdza, który straciwszy wiarę w Boga wynajmuje się do kropienia grobów na cmentarzach" (L)... „Studnicki umarł... Tak się awanturowałem, że mu dali Wielką Wstęgę Odrodzenia po śmierci. To już moja zasługa. Dlaczego wszystko, co w życiu zrobiłem, jest zawsze nic nie warto i głupie, jak ta Wielka Wstęga po śmierci... Poczciwy Pawełek Jankowski wziął na prokat (wypożyczył) z gabloty po Raczkiewiczu w muzeum Sikorskiego. Nowa kosztowałaby 25 funtów, a na to nasz rząd nie ma pieniędzy" (L)... „Ostatecznie wszyscy (!) prócz mnie na tej emigracji są szpiclami" (L)... „Z wielką przyjemnością czytam nekrologi znajomych. Przyjemnie jest myśleć, że z jednym durniem mniej trzeba będzie się witać" (L)... „X. z powodu mianowania Hryniewskiego pisze mi z zagranicy: 'Co to za Hryniewski? Czy nie Dolanowski Kola tylko? No, to winszuję'" (L)... „Co do mnie to bym następcą prezydenta zrobił króla Michała rumuńskiego. To by przynajmniej było posunięciem i nie rozumiem dlaczego mamy być o tyle głupszy od panów krakowskich, którzy nie chcieli swych Piastów, których wtedy było jak psów — a wcale nie wymarli, jak się to wielu ludziom zdaje — a wybrali księcia obcego" (L)... „Zostałem w dniu 8 czerwca (1954) premierem i pracuję po 16 godzin dziennie... na ogół tutaj trzeba nie premiera a weterynarza do chorych pawianów... Ale to już ostatnia możliwość polskiej emigracji... stoczy się teraz w ostatni śmietnik" (L)... „Szanuj ekscelencję i odpisz zaraz" (L)... „Ruch cząstek kropli deszczu jest taki sam, co ruch planet we wszechświecie; intrygi polityczne w mojej Radzie Rzplitej są takie same, co w wyrafinowanym parlamencie francuskim, może nawet subtelniejsze i gwałtowniejsze, bo tu ludzie nie mają nic innego do roboty, przypominają głodne pająki, które podobno zamknięte w naczyniu szklanym same siebie zjadają ze złości" (L)... „Jestem teraz najbardziej zniechędzonym człowiekiem, chociaż wiesz, że osadza ludzi w Berezie z dużą wstrząsliwością" (L)... „W ogóle w Londynie tylko Wilnianie zachowują się w sposób ideowy" (L)... „Emigracja już dawno uległa procesowi starzenia się. Obecnie już gnije i śmierdzi" (L)... „Zostawianie na emigracji dla zarobku jest uzasadnione, lecz zostawianie na emigracji ze względów politycznych jest dziś strasliwym błęźństwem" (W)... „Emigrację pamiętam jako burdel z kurwami i pederastami do sprzedania, w którym ciągle kazano mi modlić się i śpiewać pieśni nabożne... Tu uważam, że jestem między swymi, że nie jestem ani w burdelu, ani w domu wariatów" (W, 28 listopada 1957)... „Przyjechałem tutaj, aby przestrzec naród aby nie wierzył w możliwość pomocy ze

strony państw zachodnich. Byłem wtedy opluwany przez emigrację jawnie, a *przez tutejsze społeczeństwo tajnie*. Nie chciałem wracać na emigrację do tego świata poniżanych upiórów. *Tutaj jednak mnie zagłodzą*. Chciałbym wobec tego umrzeć, ale na zadanie sobie śmierci mam za mało odwagi, chociaż, jak chyba *słyszałeś*, w wojsku byłem człowiekiem raczej odważnym" (W, 6 listopada 1965)...

O Anglii

„Londyn jest miastem, w którym nie żal umierać — jak doskonale powiedział Ryszard Kiersnowski" (L)... „(Muldowney) nie stawał przed żadną ławą przysięgłych. W naszym pojęciu był po prostu powieszony bez sądu" (L)... „Jest coś gorszego od kuchni angielskiej, mianowicie kurwa angielska" (L)...

O „Dostojewskim"

„W moim oryginale napisałem: 'Noc, którą książę Myszkina spędza koło trupa zamordowanej Nastasji Filipownej razem z mordercą'. (Tłumaczka) widząc znała wyrażenie o 'spędzaniu płodu' i dlatego przetłumaczyła: 'This nocturnal scene, where Prince Myshkin drives away the body of the murdered Nastasia, together with her murderer'" (L)...

„O Stanisławie Auguście"

„Wtedy (1938) napisałem: 'Pewnie żeśmy wojnę z Rosją wygrali — tak jak on (Stanisław August) ją przegrał. Ale karta naszego pokolenia nie jest zamknięta i nie wiadomo, co Bóg jeszcze na niej napisze'... Przyznasz, że to było napisane z fasonem... w chwili największego zawrotu głowy od *uspiechow* (powodzeń) przez zajęcie Zaolzia" (L)... „Romantyzm polski tak zakłamał historię XVIII wieku, że nawet bardziej niż bolszewicy zakłamał historię" (L)... „W ogóle Polacy, poza dziećmi i kobietami, są tchórzami i uciekają na widok nieprzyjaciela jak konfederaci barscy... U nas Sobieski z trzema tysiącami wojska rozpędza ordę tatarską liczącą 200 tysięcy. Skąd! Tylu Tatarów w ogóle być nie mogło. Na pewno było ich 500, skoro 3 tysiące Polaków na ich widok nie uciekło" (L)... „Moja książka jest groteską, której groteskowość przechodzi w skurcz tragizmu, jak Goya, jak film Chaplina" (L)...

Uwaga: podkreślenia i wyrazy w nawiasie są moje (MKP).



Wybrałem te luźne urywki z korespondencji z pewną metodą.

Chodziło mi o wykazanie jak przez żart — czasem rubaszny, czasem złośliwy — lub przez fajerwerk paradoksu przebija głęboki tragizm *d'une vie ratée* (jak przed kilkunastu laty zatytułował jeden ze swych artykułów). Chcę jednak by czytelnik pamiętał, że w czasie 45 lat swej pracy politycznej, publicystycznej i literackiej Stanisław Mackiewicz napisał i wydał 15 książek (liczę tylko te pozycje, o których wiem na pewno), co najmniej setkę broszur, tysiące artykułów. Napisał też w ostatnim roku życia książkę o Radziwiłłach dla wydawcy niemieckiego. Wydawca jednak książkę tę odrzucił i dzieło o Radziwiłłach obstałował u Tadeusza Nowakowskiego. Mało osób wie zapewne, że w Wilnie napisał na prawach rękopisu książeczkę bajeczek „dla dzieci” po francusku. Z tej książeczki pamiętam opowiadanko o dobrej wróżce, która grzecznym chłopczykom wróżyła przyszłość. Gdy kolej doszła do Stasia Mackiewicza wróżka zamilkła i po chwili powiedziała: „To nie jest chłopczyk, to anioł”... Poza tym godzinami prowadził w Druskienikach rozmowy poufne z Piłsudskim — w tym mniej więcej okresie, gdy marszałek groził Sławojowi, że go ze schodów zrzuci... Prócz tego zdążył być posłem na sejm, więźniem Berezy, „premierem”. No i musiał prowadzić szeroką korespondencję, bo chyba nie tylko do mnie pisał listy.

Lubił towarzystwo, był pierwszej klasy gawędziarzem umiającym ponadto nie tylko mówić ale i słuchać, co się na ogół rzadko gawędziarzom zdarza. Lubił rozkosze życia: kobiety, dobre wino, dobrą kuchnię. Jadł wprawdzie dużo, ale był smakoszem. To też dziwnie wygląda scena opisana przez Zdzisława Czermańskiego w „Kolorowych ludziach”. Odnosi się wrażenie, że albo pamięć autorowi nie dopisała, albo że cała historyjka u Simona i Steckiego jest anegdotą z drugiej ręki.

Jeszcze dziwniej wygląda uwaga rzucona mimochodem we wspomnianym na wstępie, skąd inąd doskonałym, artykule W. A. Zbyszewskiego. Nie wszyscy może wiedzą, że Stanisław Mackiewicz ukończył wydział prawa. I nie tylko ukończył (co przy nerwowej i absorbującej pracy redaktorsko-publicystycznej było samo przez się wyczynem), lecz był znawcą prawa konstytucyjnego. W jednym z listów do mnie z Londynu zachnął się na pewnego „uczonego”, który napisał że konstytucja 1935 roku pozbawiła profesorów „piątki” a dała im „szóstki” (idzie o stopnie służbowe): „Ten... nie wie nawet, że konstytucja takich rzeczy nie załatwia. Pomieszało mu się wszystko w głupim łbie”. Był wielbicieleм Leona Petrażyckiego, jednego z twórców psychologicznej teorii prawa, którego pod wpływem tak zwykłego u wielu ludzi zamiłowania do szufladkowania i periodyzacji nazywał nie wiem dlaczego człowiekiem „secesji”. Otóż W. A. Zbyszewski napisał czarno na białym: „O tym Petrażyckim (Mackie-

wicz) lubił mówić... twierdził, że to był wielki umysł i genialny prawnik. Ze wstydem przyznaję, że dzieł Petrażyckiego nie znam i nic o nim nie wiem, poza tym, że był wychowankiem jakichś rosyjskich uniwersytetów: miał być w ogóle wielce zruszczały. Moi profesorowie krakowscy jednomyślnie uważali go za szarlatana i nieuka: to żaden prawnik mówili zgodnie Zoll, Fierich, Rostworowski, Estreicher". Taka *sweeping* charakterystyka genialnego uczonego bez znajomości, choćby powierzchownej, jego dzieł i wypowiedziana na podstawie zasłyszanych opinii nie zdziwi tego, kto zna manierę pisarską Zbyszewskiego — zresztą będącą zapewne bezwiednym, choć nie zawsze udanym naśladownictwem manieri samego Mackiewicza. Niemniej jest horrendalna. Nie wiem co tam profesorowie Zoll i tow. mówili, ale szkoda że Zbyszewski nie spytał w swoim czasie o opinię o Petrażyckim Władysława Leopolda Jaworskiego, który był naprawdę wielkim prawnikiem krakowskim. I szkoda że się nie zapoznał z „Law and Morality” Petrażyckiego wydaną (w skrócie) w r. 1955 przez Harvard University Press w „20th Century Legal Philosophy Series”. Zresztą Petrażycki ukończył uniwersytet w Kijowie, czyli w stolicy ściślejszej ojczyzny W. A. Zbyszewskiego, po czym — przed objęciem katedry w Petersburgu — studiował w Niemczech, gdzie też dostał stopień doktorski i ogłosił po niemiecku szereg swych prac. Popęnił samobójstwo w Warszawie w wieku 64 lat, przy czym przyczyną samobójstwa było nie tyle niedocenianie go przez sfery naukowe polskie (co nawiasem mówiąc nie przynosi zaszczytu tym sferom), ile postępową depresja na tle przewidywania zbliżającego się końca cywilizacji (bolszewizmu).



„Trudno uwierzyć, że ten wulkan przestał wybuchać” — pisała mi z Polski osoba bliska Stanisławowi Mackiewiczowi wkrótce po jego śmierci. I mnie trudno było uwierzyć, gdy wertowałem jego listy do mnie. Ale stało się: od roku już nie żyje. Straciłem ostatniego korespondenta, którego listy — nawet te z „wyliryzowaniem się” — sprawiały mi nie tylko największą przyjemność, ale pobudzały do myślenia. Oczekiwałem tych listów z prawdziwym utęsknieniem. No, i straciłem powiernika, wobec którego sam mogłem się „wyliryzować”.

Michał K. PAWLIKOWSKI

ROZGŁOŚNIA POLSKA RADIA WOLNA EUROPA

OGŁASZA

KONKURS

na speakerów i speakerki
radiowe na terenie metropolii

n o w o j o r s k i e j

Po próbach czytania przed mikrofonem i eliminacji — zwycięzcy tego konkursu otrzymać mogą ofertę na stałą współpracę jako „part-time announcer” w nowojorskim studio naszej Rozgłośni, mającą charakter dodatkowy i uzupełniający ich zasadnicze zajęcie.

Zgłoszenia do udziału w konkursie przysyłać należy na adres:

„Polish Voice Competition”
Radio Free Europe
2, Park Avenue,
New York City 10016

z podaniem: imienia i nazwiska, adresu obecnego miejsca pracy, wykształcenia i kwalifikacji. Wymagana jest nienaganna wymowa w języku polskim.

Termin zgłoszeń upływa dnia 1 czerwca 1967 r.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

List z Ameryki

SĄSIEDZI

Manager domu (w Stanach każdy człowiek ma jakiś tytuł; w najgorszym wypadku jest się *Vice-President'em* lub *Officer'em*) wprowadził mnie na podwórko domu i powiedział:

— Pański apartament będzie dwadzieścia dziewięć. Jeśli Pan usłyszy jakieś krzyki z apartamentu dwadzieścia siedem, proszę nie zwracać uwagi. To samo spod dziewiętnastego; jeśli zaczną się kłócić, to niech pan udaje iż pan nie słyszy. Natomiast dwadzieścia siedem, to problem. Gdyby się zaczęli kotłować, proszę zawołać mnie lub połączyć się przez operatora z policją. Ta samotna starsza pani, mieszkająca na dole, będzie mówić czasem do pana, ale proszę nie zwracać uwagi. Jest chora umysłowo i mówi tylko do siebie. Ten gość, którego pan tam widzi, będzie chciał od pana pożyczyć pieniądze. Niech pan mu nie daje. Pańskim sąsiadem będzie irlandzki policjant, który mieszka z matką. On jest spokojny przez cały tydzień; w niedzielę lepiej...

Nie dokończył; potężny blondyn w mundurze oficera policji przeszedł podwórkiem obrzuciwszy nas baczny spojrzeniem i uśmiechnął się sadyistycznie. W ten sposób zostałem mieszkańcem domu w dzielnicy ludzi mało zarabiających.

Najbliższym moim sąsiadem jest Bob. Bob pracował niegdyś jako agent reklamowy; pewnego dnia pijany kierowca samochodu poturbował go tak dotkliwie, iż Bob poszedł do szpitala na długie miesiące. Dzień ten, jakkolwiek pełen bólu, okazał się jednak najradośniejszym w jego monotonnym dotąd życiu; Bob po wyjściu ze szpitala otrzymał kilkadziesiąt tysięcy dolarów odszkodowania jak również zaświadczenie, że jest niezdolny do pracy. Bob rażno zabrał się do dzieła: szybko przepił część pieniędzy

w Down-Town; resztę przegrał w Las Vegas. Od tego czasu Bob szwenda się po barach opowiadając o sobie różne historie, a kiedy nie ma pieniędzy na picie staje na skraju ulicy i tęsknym wzrokiem wpatruje się w mijające go samochody. Treść jego marzeń jest dla wszystkich oczywista.

Bob jest myślicielem, filozofem i wnikliwym obserwatorem życia codziennego. Jest najkoszmarniejszym typem alkoholika; jest bowiem alkoholikiem-entuzjastą; alkoholikiem piejącym hymny na cześć życia. O ile pamiętam, spotkałem się tylko raz z podobnym typem pijaka w literaturze; bodajże w „Pojedyńku” Kuprina spotykamy postać pijącą nałogowo i wygłaszającą entuzjastyczne monologi na cześć życia. Bob ma po temu zresztą pełne podstawy; otrzymuje dwieście dolarów miesięcznie jako niezdolny do pracy, a to starcza mu na mieszkanie i na picie. Ponieważ jednak jego nogi zostały pogruchotane, Bob posuwa się zygzakami i nazywany jest „skaczący Bob”.

Bob nie dysponuje również własnym uzębieniem. Po miesiącach starań otrzymał nareszcie sztuczną szczękę i wybrał się na przejażdżkę do rodziny samochodem przyjaciół. Jadąc w kierunku Santa Monica Bob uległ czarowi krajobrazu i otworzywszy okno, wychylił się a wtedy wiatr wydmuchnął mu szczękę. O tym opowiadał mi wieczorem, przekonując mnie, iż powinienem koniecznie pożyczyć mu czterdzieści dolarów na zakup nowej szczęki; w końcu zadowolił się dwudziestoma pięcioma centami i poszedł.

Bob należy do kategorii „Rummys”. „Rummys” chodzą tylko po pewnych ulicach nie zapuszczając się nigdy w dzielnicę zamieszkałą przez ludzi lepiej zarabiających. „Rummys” wchodzi do baru i w milczeniu kładą przed sobą na ladę dwadzieścia pięć centów; tyle płaci się tutaj za kiepskie piwo. „Rummys” kładą pieniądze i rzadko kiedy mówią o co im chodzi; są znani, *barman*’i znają ich upodobania i możliwości. Pijaństwo odbywa się tutaj w milczeniu; nikt do nikogo nie mówi; wszyscy obserwują ekran telewizyjny komentując z rzadka dramat miłosny lub obyczajowy; częściej komentują tutaj walki bokerskie czy zmagania się zapaśników a w niedzielę zawody piłkarskie. Mało widzi się awantur; jak powiedziałem, pijaństwo odbywa się w milczeniu; tego rodzaju niezbędne akcesoria jakimi dysponuje alkoholik w Polsce jak na przykład nóż sprężynowy, szpadryna czy bicz do łamania kręgosłupa, są tutaj mało popularne w kręgach dojrziałych uczuciowo alkoholików. Na tym szarym raczej tle, korzystnie odbijają się długowłosi młodzieńcy zręcznie operujący kozikami. Grasują oni w okolicach Sunset-Boulevard i nie zapuszczają się w naszą ponurą dzielnicę.

Bob jest również entuzjastą życia erotycznego i seksualnej rewolucji. Pewnego dnia zjawił się w towarzystwie Davida;

David właśnie wyszedł ze szpitala dla wariatów po czteroletniej kuracji odwykowej; teraz razem z Bobem zabrali się do dzieła, podkreślając w czasie pijaństwa konieczność znalezienia dla Davida ukochanej; ten bowiem, pozbawiony był możliwości korzystania z wdzięków kobiecych przez ostatnie cztery lata.

Bob-David. Dialog przy barze

Bob: — Ja ci znajdę dziewczynę.

David: — Ja przez cztery lata nie p.....

Pauza. Milczenie.

Bob (po chwili pełnej napięcia): — Ja mógłbym wytrzymać jeszcze jeden kieliszek.

David: — Ale to ostatni. Potem pójdziemy i poszukamy jakiejś dziewczyny.

Piją.

Bob: — Prawdę powiedziawszy, to o tej porze nie ma tu nikogo. Trzeba będzie poczekać do wieczora.

David: — Dobrze. Ale pamiętaj, że ja cztery lata nie p.....

Opowieść o Bobie i Davidzie zakończę morałem: David wrócił do domu dla wariatów dla odbycia powtórnej kuracji nie przespawszy się z nikim. Morał: alkohol... i tak dalej.

William

William jest moim najbliższym przyjacielem; jest on również przedstawicielem kierunku filozoficznego, o którym mówi się „Sen Amerykański”. Tak więc, William, który jest chwilowo bez grosza przy duszy i nie może znaleźć pracy, wierzy głęboko iż pewnego dnia wszystko się ułoży; znajdzie pracę, zarobi mnóstwo pieniędzy i tak dalej. W jaki jednak sposób to może się stać? Nikt tego nie wie.

I ja również tego nie wiem. Ktoś podobno powiedział, iż pisanie o jakimś kraju jest rzeczą możliwą tylko albo po dwudziestoczęternogodzinym pobycie, albo po dwudziestoczęternym. Stwierdzenie to, jakkolwiek efektowne, nie wydaje się być prawdziwym. W Stanach Zjednoczonych każda drobna obserwacja stanowi w sumie olbrzymie zjawisko społeczne, nad którym pracuje tysiące ludzi i któremu poświęcone są tysiące publikacji. Wchodząc do *drug-store*’u i patrząc na okładki książek, widzimy obok książek kryminalnych lub magazynów typu „Poświęciłam małżeństwo dla przygody miłosnej” książki poświęcone psychia-

trii i problemom erotycznym, napisane przez lekarzy specjalistów. Laikowi trudno zorientować się w wartości tych publikacji; na mnie osobiście duże wrażenie zrobiły książki „Samotny Tłum” i „Bunt człowieka w wieku średnim”. Jesteśmy świadkami fenomenalnego zjawiska, polegającego na wzajemnym mijaniu się ludzi; na nieumiejętności nawiązania kontaktu; nieumiejętności spędzania wolnego czasu.

William, który interesuje się literaturą, nie od rzeczy mówi, że, gdyby był pisarzem, najważniejszą sceną dla niego byłoby pierwsze spotkanie między kochankami. To jest według Williama sprawa zasadnicza dla dobrego opowiadania. Ludzie spotykają się, powiada William, i pierwszymi wrażeniami są zazwyczaj: nieufność i nadzieja. Jeśli ładna dwudziestoparoletnia kobieta spotka mężczyznę w tym samym wieku i powiedzą sobie w rozmowie, że oboje są ludźmi samotnymi, z miejsca zaczynają działać w atmosferze klęski; zaczynają grać z pozycji straconych. Cóż działo się z nimi przez tyle lat; dlaczego są samotni; dlaczego nie udało im się założenie rodziny czy nawiązanie trwałych związków przez tyle czasu; i czy to co oni sami o tym mają do powiedzenia, stanowi prawdę?

William powiada, iż film i telewizja wytworzyły pewne schematy, które oddziaływały na ludzi. W filmach zazwyczaj spotykamy samotnego mężczyznę, który wchodzi do nocnego lokalu; tam spotyka piękną dziewczynę i ratuje ją z kłopotów. Widzimy to codziennie obserwując serię telewizyjną „Tighrope”, której bohater (główny bohater w cywilu) wchodzi do baru, przez sekundę obserwuje siedzącą tam samotną dziewczynę, nawiązuje na jej temat rozmowę z *barman*’em; podchodzi do niej, bije innego mężczyznę w zęby i odchodzi z nią. Od miesięcy obserwuję dzielnego agenta i każdy film o nim zaczyna się w ten, i tylko w ten, właśnie sposób. Tak samo zresztą dzieje się niemalże w każdym filmie przygodowym; mężczyzna spotykający kobietę, z miejsca ma okazję zademonstrowania swej odwagi, determinacji i lekceważenia obyczajów, których obejście, jakkolwiek przynosi innym klęskę, dla niego i dla niej okazuje się zbawienne.

Książki poświęcone przypadkom hysterii, alkoholizmu i rozpaczy, pisane przez lekarzy, przynoszą zupełnie inny obraz od obrazu stwarzanego przez film i telewizję. Ludzie są samotni; boją się jednak zdradzania swych uczuć i swego poczucia klęski. W końcu znajduje jedyne i prawdziwego przyjaciela, którym jest psychoanalityk. Analityk nie podejmuje jednak decyzji w imieniu swego pacjenta; stara się raczej zwrócić mu uwagę i skierować jego energię we właściwym kierunku. Przyjaciółka Williama jest od siedmiu lat pacjentką lekarza analityka i chodzi do niego codziennie, przy czym godzina psychoterapii indywidualnej kosztuje dwa-

dzieścia pięć dolarów. Ponieważ przyjaciółka Williama, jest idiotką, kuracja przeciągnąć się może na najbliższe kilka milionów lat świetlnych. I ona również nie spotkała nikogo; i ona również obserwuje „Tighrope” patrząc na przystojnego agenta policji odchodzącego co wieczór z inną dziewczyną.

William jest z urodzenia pesymistą, do czego przyznaje się niechętnie gdyż na codzień reprezentuje kierunek „Snu Amerykańskiego”. William twierdzi, iż z chwilą kiedy państwo troszczy się o obywateli tak bardzo jak to dzieje się w Stanach, wytwarza się obojętność człowieka wobec człowieka i człowieka wobec bólu i cierpienia. Człowiek rodzi się działa, żyje i umiera nie umiając zainteresować swoim losem innych ludzi. Nikt tu nie jest głodny i w każdego wpajane jest przekonanie, iż własną energią i pomysłowością można zdobyć wszystko. Ten schemat myślenia jest obowiązujący dla wszystkich, powiada William, i człowiek rzadko wyzwala się z tego przed ukończeniem trzydziestu lat życia. A przecież nie wszyscy ludzie są pomysłowi, energiczni; i nie wszyscy poza tym pragną zdobywania fortun, pałaców i luksusowych jachtów. W naszym społeczeństwie istnieje minimalna możliwość kompromisu. Najgorszym tego wszystkiego wynikiem jest, według Williama, obojętność. Dzieci mało troszczą się o starych rodziców wiedząc, że jest im wypłacana renta; iż rodzice mają samochód, aparat telewizyjny i telefon. Święta dzieci spędzają z rówieśnikami a potem — kiedy wstępują w związki małżeńskie — z własnymi dziećmi. William powiada: człowiek czeka aby go ktoś odwiedził a pewnego dnia idzie odwiedzić własne dzieci; i to jest już właśnie starość.

William jest kimś o kim mówi się *loser*. William jest inteligentny, czytany, dobry i dostatecznie sceptyczny aby zachować zimną głowę. William potrafi wszystko: mówić mądrze o przeczytanej książce, wyśmiać zły film, krytykować wybory i kandydaturę Gubernatora; William potrafi mówić o Armii, o wojnie w Wietnamie, i o wielu innych rzeczach. Nie potrafi tylko jednej rzeczy: nie potrafi pozbyć się wiary, iż pewnego dnia w jego życiu zaistnieje wyjątkowa sytuacja, wyjątkowe spotkanie; pewnego dnia zjawi się wyjątkowy człowiek a wtedy życie Williama ułoży się inaczej.

Judy i Kira

Judy jest tak śliczna iż z punktu widzenia opowiadania nie nadaje się na nic; nie nadaje się poza tym do niczego z każdego innego punktu widzenia, ponieważ ma dwadzieścia sześć lat,

troje dzieci i trzy nieudane małżeństwa za sobą; jest ponadto wiecznie na gazie. Judy stanowi wspólne zmartwienie moje, William'a i wszystkich mieszkańców domu.

Judy otrzymuje od rządu sześćdziesiąt dolarów tygodniowo. Ta suma musi starczyć jej i dzieciom. Nie starcza, gdyż Judy pije jak smok, a butelka whisky kosztuje jednak sześć dolarów. Tak więc dzieci Judy latają głodne i bose; czasami karmi je żona Williama, czasami inni ludzie. Teraz Judy usiłowała popełnić samobójstwo; odratowano ją jednak i jest już z powrotem w świetnym humorze.

Patrząc czasem na nią i myśląc o jej nieudanym samobójstwie, myślę o opowiadaniu Adolfa Rudnickiego „Pył”, którego bohaterka, Kira, również usiłuje popełnić samobójstwo po szeregu nieudanych afer miłosnych. Kira jest młoda, ładna, uganiana się za nią mężczyźni; dziewictwo straciła będąc jeszcze właściwie dzieckiem; jako dojrzała kobieta jedzie w noc wigilijną pociągami z Warszawy do Łodzi, aby popatrzeć na choinkę, która jej przypomina dzieciństwo.

W filmie włoskiego reżysera, „Blow-up”, uznanego za arcydzieło i monument myśli ludzkiej widzimy bohatera, długowłosego młodzieńca, mającego doświadczenie erotyczne rozpustnego i bogatego starca; młodzieniec ten pewnego dnia kupuje w antykwariacie drewniane śmigło samolotu; symbol czy też rekwizyt epoki, której nie może pamiętać; do której odnosi się z pogardą i z którą nic go nie łączy. Nie potrafi przy tym wytłumaczyć po co potrzebne mu jest to śmigło.

W filmie francuskiego reżysera, „Oszuści” widzimy młodzieńca, który ryzykuje życie, aby wybawić kota z opresji, po czym oświadcza zgromadzonym i struchlałym widzom: „Nie cierpię kotów”.

Dramat długowłosych ludzi nie jest rzeczą łatwą do zrozumienia. Dramaty młodych ludzi zawsze uderzały ostrością. Dwudziestocześcioletni Iwan Karamazow prowadził rozmowy z diabłem; młody Werther zastrzelił się z miłości; Fabrycy del Dongo postanowił zamknąć się w klasztorze aby w ascezie i ciszy znaleźć ukojenie w rozpacz; Adolf latami nie umiał zdobyć się na zerwanie z kobietą; gdyż nie chciał sprawiać jej bólu; bohater powieści Faulknera odrzuca karierę, stanowisko, następnie możliwość ucieczki przed karą i możliwość samobójstwa, wybierając smutek który pomoże mu zachować w pamięci ukochaną kobietę; młody Raskolnikow popełnia morderstwo snując asocjację między sobą a osobą Cesarza Francji; Robert Jordan, bohater powieści Hemingway'a, postanawia przed śmiercią polatać trochę z karabinem po polu, wysadzić parę mostów w powietrze i to wszystko po to, aby nie będąc ani komunistą, ani monarchistą, zginąć jak

mężczyzna. Dramaty tych wszystkich młodych ludzi mogą nam wydawać się wyjątkowe, nawet sentymentalne, prawdziwe lub nie, lecz uderzają one ostrością. Na czym jednak polega dramat długowłosych? Jest to niewątpliwie dramat ludzi zagadkowych. Kazimierz Brandys napisał kiedyś: „Powiedziano mi, abym poszedł do kabaretu STODOŁA gdyż tańczy tam zagadkowa młodzież. Nie pójdę. Ja też kiedyś byłem zagadkowy i nikt nie podglądał mnie w czasie tańca”.

Judy i Kira należą do jednego pokolenia. Zapoznały się szybko z sexem; mają nawet pewne pojęcia na temat Freuda i wiedzą, iż sen w którym natrętnie powtarza się motyw Wieży Eiffla nie zawiera w sobie elementów religijnych; obie wiedzą jak zażywać pigułki pozwalające uniknąć zajścia w ciążę; ta cała wiedza nie przydała im się jednak na wiele. Adolf Rudnicki kończy swoje opowiadanie słowami: „Zabiło ją poczucie winy”. William odwołujący nieprzytomną Judy do szpitala powiedział to samo. I to jest prawda.

Zabiło je obie poczucie winy. Jednakże nie wobec społeczeństwa; nie wobec ludzi żonatych, z którymi nawiązywały romanse; nie wobec dzieci, którym odbierały ojców; nie wobec rodziców którym ich postępowanie przynosiło wstyd. Zabiło je poczucie winy wobec siebie samych: poczucie, że straciły najlepsze lata swego życia w poszukiwaniu przygód, które okazały się w rezultacie mało ciekawe; rozbijały małżeństwa innych ludzi, lecz nie udało im się samym wyjść dobrze za mąż; straciły dużo czasu, pieniędzy i zdrowia nie myśląc o tym, iż w tym samym czasie dojrzewały inne młode kobiety równie głupie, egoistyczne i zimne jak i one same, lecz mające nad nimi nieznaczną przewagę młodości.

William powiada, że dla niego najpiękniejszą ze wszystkich książek Faulknera jest książka „Dzikie Palmy”. William powiada, iż jest to książka prorocza; książka o umiejętności wytwarzania w sobie napięć uczuciowych. Dzisiaj, powiada William, sex jest sprawą wątego schematu obyczajowego: Ty spotykasz kobietę, opowiadasz jej o swoim nieudanym małżeństwie; ona opowiada ci o nieudanym swoim; idziecie na kolację, idziecie do łóżka — co dalej? Sex był kiedyś ostatnią stacją w pewnej sytuacji; dziś jest początkiem. Sex stanowił „owoc namietności”, poświęcenia, odwagi; człowiek żonaty wiążący się z inną kobietą występował przeciw społeczeństwu, rodzinie i religii. Dzisiaj, powiada William, sex nie zawiera w sobie tych napięć uczuciowych jakie zawierał niegdyś. Chciałbym dziś zobaczyć autora, który napisałby książkę o człowieku który po prostu umarł z miłości, tak ja Lucjan, tak jak Eleonora. Dlatego „Dzikie Palmy” są w jakimś sensie książką proroczą.

Być może — jest tak istotnie. Jestem szczęśliwy widząc od czasu do czasu nowe tytuły książek poświęconych Faulknerowi. William Faulkner, którego książki w roku 1944 nie były już wznawiane, jest dzisiaj przedmiotem setek publikacji. W książce „Faulkner: The Major Years” autor podaje w indeksie iż przy pracy nad tą książką o autorze „Dzikich Palm” korzystał z pomocy 34 książek poświęconych Faulknerowi oraz z kilkuset artykułów krytycznych. Zwycięstwo Faulknera wydaje się całkowite. Myślę, iż najciekawszą książką jaką czytałem w roku ubiegłym jest „Faulkner na Uniwersytecie”. Książka „Papa Hemingway” opowiadająca o ostatnich kilkunastu latach autora „Śniegów Kili-mandżaro” wydaje się zbiorem płaskich anegdot o starzejącym się gadule mówiącym w stylu: „Jedna z moich weneckich dziewczyn”; lub opowiadającym o swym wyimaginowanym stosunku z Matą-Hari: „Pewnej nocy, jak zwykle, sp..... ją porządnie...”

O tym wszystkim mówiliśmy z Williamem do późnej nocy, Głębie i powagę naszych rozmyślań przerwał wesoły śpiew: „Roll me over and do it again...”. To Judy, która dziś rano opuściła szpital po nieudanej próbie pozbawienia się życia, wróciła właśnie do domu z nowym narzeczonym. Patrząc na jego brudne długie włosy mam ochotę mordować i wyć. I mnie również zabija poczucie winy; i również wyłącznie wobec mnie samego. Widzę siebie sprzed lat dziesięciu, ale nie powiem tego Judy. Niech i ona przejdzie sama swoją drogę.

Dramat długowłosych jest reakcją na dramat Williama, który głęboko wierzy iż spełni się pewnego dnia jego sen; tak mi to przynajmniej tłumaczyła jego żona. Być może jest tak; być może jest zupełnie inaczej. Dramaty ludzi, których twarze nie można dojrzeć, wydają się chyba każdemu mało ciekawe. Stanowią oni odsetek i trudno rzeczywiście zrozumieć o co im chodzi, ponieważ oni sami tego nie wiedzą. W Polsce, po wojnie, patrzyliśmy wszyscy na dramat ludzi z A.K. i to było dla nas zrozumiałe; to pobudzało naszą wyobraźnię; wywoływało w nas uczucia gniewu, miłosierdzia i rozpacz. W dziesięć lat później patrzyliśmy na dramat rozczarowanych komunistów. Tutaj patrzymy na dramat, co do którego autentyczności ogarniają nas zastrzeżenia. Jest tu bunt przeciw społeczeństwu; lecz bunt wygodny; bunt nie grożący konsekwencjami i w tym tylko przypomina mi to dramat młodych komunistów, postanawiających zerwać z Partią wtedy, kiedy Partia sama wezwała ludzi do złożenia legitymacji partyjnych.

Bruce, mój inny sąsiad, ma dwadzieścia cztery lata i od dwóch lat jest instruktorem pilotażu. Tak więc ja, starszy od niego o lat dziesięć, jestem jego potulnym uczniem. Bruce jest młodym Amerykaninem o określonych ambicjach i o dużych umiejętnościach.

Szkoła do której uczęszczam jest jedną z tysiąca prywatnych szkół lotniczych. Bruce kiedy przyszedł tam po raz pierwszy w swoim życiu, zapytany przez właściciela szkoły czemu chce się poświęcić, powiedział, iż chce zostać instruktorem pilotażu. Na zapytanie kto zapłaci za jego kurs, Bruce odpowiedział: „Pan”. Wyśmiany przez właściciela, powiedział: „O.K. Zabiję kogoś i przyniosę panu pańskie wszawę trzy tysiące”. Właściciel powiedział: „W jego twarzy było coś takiego, iż musiałem mu uwierzyć i Bruce odwalił cały kurs za darmo a teraz pracuje dla mnie. To jest mój najlepszy instruktor”. Bruce jest zimny i odważny i kocha latanie. Ale nie ma w sobie bezmyślności wobec niebezpieczeństwa i nigdy nie naraża swych uczniów. Zapytany przeze mnie co myśli o dramacie długowłosych Bruce powiedział: „Ich rodzice zarabiają forszę, dają im samochody i pieniądze na szkołę, więc czegoż można od nich żądać? Ja bym ich chciał zobaczyć na moim miejscu: uczyć krety jak tu latać i dostawać za to siedem dolarów za godzinę. *Keep the nose down*, Marek”. Bruce ma świetną metodę uczenia ludzi; jeśli ktoś na przykład przechyla samolot ponad sześćdziesiąt stopni na skrzydło, co jest zabronione w czasie lotów treningowych, Bruce zrzuca ręce ucznia ze steru z taką siłą, że to się musi pamiętać; po czym, po locie, wpisuje w książkę lotów: „Uczeń wykazuje dużą poprawę”. I tak jest do następnego razu.

Bruce należy do tego samego pokolenia co Judy i Kira. Bruce ma dziecko; Bruce wie że za ileś lat pracy zarabiać będzie dostatecznie dużo, aby znaleźć wiele wolnego czasu dla siebie; czas ten prawdopodobnie przeznaczy na dodatkowe latanie, ale to już jego sprawa. William i Bruce nie lubią się nawzajem. William nazywa Bruce’a robotem; Bruce’a opinia o Williamie jest równie mało skomplikowana. William powiada, że Bruce jest typowym przykładem amerykańskiej arogancji. „Jeśli ja mu powiem, że gdzieś w Chinach jest piękne jezioro, Bruce nawet nie pozwoli mi skończyć i powie, że to nic w porównaniu z jeziorem w Michigan, nad którym leciał w zeszłym tygodniu” — powiada William. Bruce na to wszystko odpowiada warknięciem: „To jest mój dom”. Być może, iż nie jest to wiele warte jako wkład do nauki poznania świata; ale któż z nas powie kiedyś te słowa? Dom jest czymś co akceptujemy; wraz z niewygodami, z ciotką neurastenicką; ze scenami małżeńskimi; z chorobami, kłótniami i przeprosinami. Tak samo Bruce akceptuje ten piękny kraj i jego siłę; jego dobrych i złych ludzi; jego wielkie i słabe momenty. Jego akceptacja nie wynika z bezmyślności, o którą wszyscy tak chętnie posądzają Amerykanów; jego akceptacja wynika z faktu, iż Bruce uważa że nie ma powodu, aby on sam uważał siebie za mądrzejszego od wszystkich ludzi rządzących tym pięknym

krajem. Jeśli nawet Bruce jest tylko małym kółkiem w tej olbrzymiej maszynie; jest on kółkiem piekielnie znaczącym swą wartość.

Dzieci

Dzieci Williama i Judy bawią się razem. Dzieciom oczywiście nie wolno niczego zabraniać, gdyż to powoduje narastanie kompleksów, które później odbijają się fatalnie — na czym? — na wszystkim; co do tego wszyscy są zgodni; nawet Bruce. W związku z tym, kiedy jedziemy czasem z Williamem, jego żoną i dziećmi do Disneyland'u a dzieci jego drą się w niebogłosy, William nie mówi po prostu: „Trzymać dziób jeden z drugim”, lecz wymyśla dla nich najrozmaitsze gry i przekrzykując je, mówi: „O.K. Ja myślę teraz o zwierzęciu, którego imię zaczyna się na T”. To pomaga; dzieci nie przestają się co prawda drzeć zespołowo, ale zaczynają się drzeć indywidualnie: „*T for Tiger, T for Tiger...*”.

Żona Williama pokazała mi wczoraj piękną książeczkę pod tytułem: „Listy dzieci do Boga”. („*Children's letters to God, compiled by Eric Marshall and Stuart Hample*”).

„Dobry Boże — Kocham Cię ponieważ jesteś dobry. Próbuję być taki jakim Ty jesteś. Jestem dobry dla wszystkich ludzi; dla matki i dla ojca i dla moich dwóch siostr. To musi być fajnie; być Bogiem i wiedzieć, że wszyscy Cię kochają. — Twój Życzliwy — Thomas”.

„Dobry Boże — nie zdałem. Dziękuję Ci bardzo — Raymond”.

„Dobry Boże — nazywam się Robert i chciałbym mieć brata. Moja mama powiedziała, abym się udał w tej sprawie do ojca; ojciec kazał poprosić Ciebie. Myślisz, że mógłbyś to zrobić? Życzę ci powodzenia — Robert”.

„Dobry Boże — Mój młodszy brat ma cztery lata. Bądź łaskaw zrobić coś, aby on przestał mnie wściekać. — Twój przyjaciel. — Mark”.

„Dobry Boże — I myślę, że to wspaniałe w jaki sposób nasi astronauta latają ponad światem. Proszę Cię, uczyni coś aby nie spadli tylko na nasz dom. Twój przyjaciel — Norman”.

„Dobry Boże — co będzie jak Ty umrzesz? Nikt mi nie chce tego powiedzieć. Twój przyjaciel — Mike”.

„Dlaczego nie możesz zrobić czegoś, żeby deszcz przestał padać każdej soboty? — Rose”.

„Dobry Boże — Chłopcy są lepsi od dziewcząt. Ja wiem, że Ty jesteś jednym z nich ale mimo to bądź *fair*. — Sylvia”.

„Dobry Boże — Uczymy się teraz o Jonaszu i wielorybie. Kiedy on go połknął i tak dalej. To jest najlepsza historia ze

wszystkich, które słyszałem, z akcją i napięciem. Mój tata mówi, że to wszystko brzmi trochę podejrzenie. Czy myślisz, że to jest zabawne? — Twój — Sidney”.

„Dobry Boże — Jeśli rzeczywiście umiesz tak dużo, dlaczego nie uczyniłeś, aby rzeka była dostatecznie duża i aby nie zalało naszego domu, tak że musimy się teraz przeprowadzać — Victor”.

Nie pisałbym o tym, gdyby nie fakt, iż dla mnie **dzieci** należą nierozdzielnie do pejzażu Ameryki. Widzę je codziennie: rano jadą do szkoły specjalnym autobusem, zaopatrzonym w czerwone światła; potem wracają; potem czekają na samochód z lodami, który na naszej ulicy pojawia się około czwartej; potem siedzą przy telewizorach obserwując przygody „Człowieka-Nietoperza”. Pomiedzy godziną siódmą a dziewiątą na naszej ulicy rozlegają się straszne ryki; jest to pora w której dzieci trzeba oderwać od telewizora i położyć spać.

Dzieciom nie zabrania się niczego i nie bije się po łapach gdyż okazuje się to zgubne w przyszłości. Nie umiem jednak pozbyć się uczucia zdziwienia patrząc na dzieci siedzące przy telewizorach i obserwujące przygody „Człowieka-Nietoperza”; przygody agentów policji i sadystycznych osobników działających w szulerniach, ciemnych ulicach i w barach z kobietami; na temat ich obyczajów można w najlepszym wypadku powiedzieć, iż są specyficzne. Co chwila pada trup; co chwila samochód zlatuje w przepaść eksplodując; w najlepszym wypadku kowboj wyrzuca kopnięciem pokrwawionego człowieka mówiąc przy tym: „Bierz konia i wynoś się z miasta”. Czyżby to nie odbijało się na psychice dzieci? Żona Williama powiada, iż telewizja w jakiś sposób rozładowuje sadystyczne instynkty człowieka, co być może stanowi część prawdy. W książce „Świat sexu” przeczytałem, iż ludzie obserwujący walki bokserów czy zapaśników przeżywają uczucia podobne do orgazmu. Ponieważ książka ta została napisana przez psychiatrę, trudno tutaj zabierać głos; w tym kraju, w każdej sprawie psychiatra ma głos decydujący.

Ale cóż na przykład myśli dziecko czytające bajeczkę „Dlaczego 'jelly fish' nie ma kości”? Proste: pewnego dnia córka króla oświadczyła że jest chora. Doktor-ośmiornica po gruntownym zbadaniu królewskiej córy oświadczył, iż potrzebna jest niezbędnie porcja małpiej wątroby. Aby wykonać to zlecenie, wydelegowano „jelly fish”, będącą najlepszym pływakiem.

„Jelly fish” płynęła przez ocean i nagle zobaczyła tonącą małpę. Zaofiarowała małpie pomoc; małpa wskoczyła na jej grzbiet i w ten sposób ocalała swe życie. W czasie rozmowy, jaka wywiązała się pomiędzy rybą a małpą, ryba poprosiła małpę, aby

* *Jelly fish* — meduza. Amerykanie używają tej nazwy przenośnie: „człowiek słabej woli — galareta”.

dała jej trochę swojej wątroby gdyż jest to niezbędne z punktu widzenia zdrowia córki królewskiej. Małpa oświadczyła iż chętnie to robi, ale że zostawiła swoją wątrobę na wyspie; tak więc ryba z małpą na plecach popłynęły w kierunku wyspy; małpa wyskoczyła na brzeg i wszedłszy na drzewo powiedziała: „A teraz pocałuj mnie w dupę”. Ryba popłynęła z powrotem i opowiedziała o swojej przygodzie doktorowi-ośmiornicy. Doktor zameldował o tym królowi który wpadłszy we wściekłość polecił swoim giermkom bić rybę; bili ją tak długo, aż pogruchotali jej wszystkie kości. Oto dlaczego „jelly fish” nie ma kości.

Nie jest to jednak koniec tej budującej historyjki. Otóż po egzekucji wykonanej na rybie, królewska córka oświadczyła iż wcale nie jest chora, zaś o dolegliwościach, o których myślała iż pochodzą z chorej wątroby, nie warto w ogóle mówić, gdyż są one rezultatem lekkiego bólu głowy.

Jest to najbardziej sadystyczna bajka jaką znam. Mamy w niej element odwagi i poświęcenia, zniweczony przez zdradę; element oszukanej wiary; element tortur fizycznych; element niezawinionej kary i to wszystko jest tylko wynikiem kaprysu młodej i nudzącej się idiotki. Mamy tu również element trwałego kalectwa który stanowi wytłumaczenie na zadawane przez dzieci pytanie: dlaczego „jelly fish” nie ma kości? Jest to najlepsze opowiadanie Sartre’a jakie czytałem i muszę przyznać iż czytając jego ciężkie, teutońskie wypracowania nigdy nie myślałem, że ten chłopak zajdzie tak daleko.

Adolf Rudnicki powiada w którejś ze swych „Niebieskich Kartek”, że młodzi ludzie wierzą, iż przyczyną wszystkich ich nieszczęść jest kobieta; tak więc, gniew młodych spada na kobietę. Tu natomiast, przyczyną wszystkich nieszczęść młodych ludzi są zawsze rodzice. Jeśli młody człowiek jest fajtłapą, pederastą, alkoholikiem i idiotą ogólnym, od razu słyszymy, że dzieje się to dlatego, bo jego ojciec był pantoflarzem i matka dominowała. Jeśli dziewczę kurwi się, to dlatego, iż ojciec był niedołęgą i pantoflarzem; jest rzeczą zastanawiającą, iż we wszystkich filmach amerykańskich poświęconych młodzieży, nawet najbardziej mierni — tacy jak Elvis Priesley — aktorzy, grają dobrze, jeśli przychodzi do konfliktu między ojcem a synem.

Mnie interesuje jednak odpowiedź na pytanie, co myśli dziecko czytające bajkę o „jelly fish”. Tu opinie pedagogów-psychiatrów są podzielone. Jedni twierdzą, iż dziecko czytające bajkę rozumie że chodzi tu o postacie i sytuacje umowne; drudzy twierdzą że dzieje się przeciwnie, że świat baśni jest rzeczywistym światem dziecka i że dziecko wpierw będzie rozumieć przygody psa Pluto a później dopiero zagadnienia ministra McNamara. W jednej z tych książek czytamy historię o chłopcu, który pa-

nicznie bał się lotu samolotem i nie umiał powiedzieć dlaczego. Aby więc zademonstrować mu, iż latanie nie jest niebezpieczne ojciec zdał egzamin PP (Privat Pilot); po czym to samo uczyniła jego matka i tylko rak uratował teściową i teścia od zdawania tego egzaminu. Jednak dziecko w dalszym ciągu bało się latania; zaprowadzone do psychiatry po szeregu seansów, dziecko wyjaśniło: otóż gdy widzę odlatujący samolot obserwuję, że samolot maleje. Po prostu nie chcę być tam w środku i zostać zgnieciony. To wszystko.

Opinie psychiatrów-pedagogów są podzielone i nie będę zabierać głosu, gdyż wydaje mi się, iż ze wszystkich ludzi na świecie ja sam mam najmniej kwalifikacji pedagogicznych. Kiedy patrzę na amerykańskie dzieci i wstrząsający dramat długowłosych, przypomina mi się rozmowa, którą przeprowadził bohater „Podrostka” ze swoim ojcem. Otóż na rosyjskie pytanie: „Co robić w życiu?” — młodzieniec otrzymuje następującą odpowiedź: „Najlepiej nic nie robić. Przynajmniej będzie się miało czyste sumienie, że się w niczym nie uczestniczyło”. Muszę szczerze wyznać, iż trafność i słuszność tej odpowiedzi poruszyły mnie tak głęboko, iż jestem jej wierny od lat przynajmniej piętnastu; i myślę, iż uda mi się wytrwać w tej wierze dopóki pewnego dnia nie odejdę drogą wszystkich ludzi.

Opinie psychiatrów na temat stosunku dziecka do gwałtowności są podzielone i trudno tu kusić się o rzeczowy osąd tej sprawy. Czytałem parę dni temu artykuł lekarza psychiatry, w którym doktor powiada, iż dziecko należy uczyć rozumienia gwałtowności, brutalności i przemocy aby mogło wkroczyć w życie uzbrojone w wiarę, iż człowiek jakkolwiek bity i poniewierany w ostatecznym wyniku zdolny jest jednak do odniesienia zwycięstwa. Tak więc bohater filmu rysunkowego, który jest kotem wysadzonym w powietrze, elektryzowanym, przejeżdżanym przez walec drogowy i tak dalej, na końcu otrząsa się przecież i niszczy sadystyczną mysz, której zawdzięcza tak wiele utrapień. Taka jest rola pedagogiczna gwałtowności i przemocy w książkach i filmach przeznaczonych dla dzieci.

Trudno mi o tym myśleć w ten sam sposób. Nie jestem wcale przekonany, że dziecko tak właśnie należy przygotowywać do rozumienia życia. Sam będąc dzieckiem podczas okupacji widziałem tak wiele zabitych, zmasakrowanych i publicznie rozstrzelanych ludzi, że nie robiło to na mnie wcale wrażenia; i przypuszczam, iż podobnie działo się z wieloma ludźmi którzy dzisiaj są w moim wieku. Po wojnie dzieci na gruzach Warszawy bawiły się przeważnie w rozstrzeliwanie Żydów. Lata powojenne przyniosły nową falę terroru, tym straszniejszego, że pochodzącego od Polaków; tak więc nie widziałem już zabijania ludzi na uli-

cach, ale czytałem artykuły z rozpraw sądowych przeciw ludziom z RAF; ludziom z AK; czytałem sprawozdania z procesu Doboszyńskiego i Biskupa Kaczmarka. Wcześniej rozszedłszy się ze swoją rodziną przebywałem w rozmaitych środowiskach, w których każde nieporozumienie kończyło się bójką, w najlepszym wypadku na pięści. Nie wiem czy jestem typowym produktem; lecz dla mnie jest oczywiste, że stanowią produkt czasu wojny, głodu i terroru. Stąd też bierze się nędza intelektualna moich opowiadań; ja po prostu nie potrafię wymyśleć opowiadania, które nie kończyłoby się śmiercią, katastrofą, samobójstwem, czy też więzieniem. Nie ma w tym żadnej pozy na silnego człowieka, o co posądzają mnie niektórzy. Jest to infantylizm intelektualny, wynikający z faktu nieumiejętności oceniania człowieka, absolutnej nieznajomości wartości życia ludzkiego, prawdziwości ludzkich zapatrywań i czystości pragnień. Ja o tym wszystkim doskonale wiem już od lat; niemniej nie jestem w stanie wymyślić innych opowiadań jak właśnie opowiadania tego rodzaju.

Pytano mnie kiedyś dlaczego wciąż piszę o tych dwóch opryskach zabijających psy. Nie wiedziałem tego z początku; teraz przypomniało mi się, iż jako dziecko czekałem kiedyś na stacji wraz z matką na pociąg odchodzący z Dworca Warszawa-Służewiec. Zobaczywszy pięknego psa podszedłem do niego i zacząłem się z nim bawić aż do chwili kiedy silne kopnięcie butem w twarz odrzuciło mnie do tyłu; pies należał do Niemca, który miał po temu powody, aby polskie dziecko nie dotykało jego psa. Dalej: mieszkając jako dziecko poza Warszawą jechałem kiedyś do Warszawy i widziałem polską kurwę jadącą z niemieckim oficerem podczas gdy jej pies biegł za pociągiem. W pewnym momencie oficer zastrzelił jej psa; i śmiał się wraz z tą polską kurwą. Dalej: znów jako dziecko dostałem od matki kundla „Miki”; kundla tego zastrzelili nudzący się żołnierze niemieccy.

Aby zrozumieć to o czym mówię, należy pomieszkać trochę w Niemczech i obserwować ich stosunek do zwierząt; czuły, przyjacielski, opiekuńczy. W naszym kraju Niemcy nienawidzili nie tylko nas, lecz również naszych zwierząt. Adolf Rudnicki słusznie pisze, iż nienawiść Niemców była nie nienawiścią panów, lecz nienawiścią lokajów. Trudno zaiste wyobrazić sobie kraj, w którym mały kapral przemawia do półpijanych ludzi w piwiarni oświadczając im, że stanowią najbardziej wartościowy element żyjący na świecie i to upoważnia ich do popełniania zbrodni.

Tak więc ja sam jestem produktem tych czasów i jest to prawdopodobnie krzyż, którego nie pozbędę się nigdy. Czy jednak obserwowanie gwałtowności i przemocy pomogło mi w moim życiu? Z całym przekonaniem odpowiadam: nie. Wręcz przeciwnie; będąc na Zachodzie, jako dorosły człowiek, musiałem uczyć

się elementarnych rzeczy; szacunku dla innych ludzi, poszanowania ich spokoju, ich prawa do odpoczynku; i nie jestem wcale pewien czy nauczyłem się tego w stopniu dostatecznym. Będąc dorosłym człowiekiem musiałem uczyć się prawidłowego przechodzenia przez jezdnię, nie przekraczania dozwolonej szybkości w czasie prowadzenia samochodu; musiałem wreszcie uczyć się rzeczy dla mnie najtrudniejszej: rozmowy z urzędnikami i policjantami bez uczucia strachu. I tego również nie nauczyłem się do dziś. Idąc w Niemczech ulicą stale schodzę na jezdnię gdyż oczekuję, że człowiek idący naprzeciw mnie kopnie mnie nagle lub uderzy pięścią w twarz; i nie przyjdzie mi nawet do głowy, iż ja, ważący dziś przeszło dziewięćdziesiąt kilo, i uprawiający forsowną gimnastykę mógłbym takiego człowieka rozłożyć, gdyby rzeczywiście przyszła mu ochota aby mnie uderzyć. Tak więc, moja lekcja i moje „wychowanie w gwałtowności” nie przyniosły, jeśli o mnie chodzi, rezultatów zadawalających. Uznawszy nawet, iż jestem najnieznośniejszym z ludzi, nie myślę aby to wszystko co widziałem było rzeczą obojętną w czasie kiedy kształtował się mój charakter. Obserwując dzieci patrzące na kopiących się ludzi i słysząc głos *speaker'a*: „Jaka szkoda dla tych z was, którzy nie macie kolorowej telewizji. Killer Kard Koks właśnie rozcina skórę na czole Riska Romerro; Romerro wspaniale krwawi; każdy z was powinien mieć color TV. Nawet nie wiecie, co tracicie...” — doznaję uczuć raczej niedobrych, wbrew opiniom psychiatrów. Pocieszam się jednak tym, że jak powiedział Voltaire, każde generalne stwierdzenie jest fałszywe, włącznie z tym które niniejszym uczyniłem.

Moja kariera w przemyśle filmowym.

Siedziałem czekając na Prezydenta kompanii, dla której miałem pracować. Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i jakiś człowiek o strasliwej twarzy i przekrwionych oczach wbiegł do pokoju. Za nim pędem wbiegło kilkanaście sekretarek, maszynistek, asystentów i osobników, których płci nie udało mi się zidentyfikować, gdyż wszyscy zdradzali tak krańcowe wyczerpanie fizyczne i psychiczne, iż twarze ich stały się niemożliwe do odróżnienia.

— To pan napisał tę pierdoloną historię o lotnikach? — zahuczał Prezydent. — I co? Pan by chciał, aby kobieta w końcu odeszła od swego męża? I kto to ma finansować? Niech pan wymyśli coś innego dla tej kurwy. Niech jej mąż zginie przy lądowaniu.

— To niemożliwe — powiedziałem. — Jej mąż jest doświadczonym lotnikiem i pracując jako pilot rolniczy ląduje co czter-

dziesięć pięć minut. Założywszy nawet, iż musi lądować na miękkim terenie i że lądowanie takie musi odbywać się na „Flapsach” zamkniętych do dwudziestu pięciu stopni i przy otwartej przepustnicy...

Prezydent przerwał mi władczym ruchem ręki:

— To niech go szlag trafi w innych okolicznościach. Pan przecież nie myśli poważnie, że ta kurwa może odejść na końcu zostawiwszy swego męża. Odejść z innym mężczyzną! Nam nie wolno produkować filmów niemoralnych. — Odwrócił się do jednego ze swych sekretarzy. — Fred, zawieź go gdzieś. Zapomniałem jak się nazywa ta miejscowość. Tam są takie dziwne skały. To mu się przyda.

Miotając klątwy ruszył przed siebie; tłum sekretarzy, maszynistek, asystentów i doradców wybiegł za nim. Widziałem go jeszcze jak pędził podwórzem wznosząc obie pięści nad głowę. Nie widziałem nigdy już potem ani jego, ani tych dziwnych skał, które niewątpliwie mogłyby zmienić mój pogląd na kobiety które odchodzą od swych mężów; i tak to się w ogóle skończyło.

Marek HŁASKO

GEORGE J. FLEMMINGA

POLSKA MAŁO ZNANA

DRUGIE WYDANIE

Str. 164

Cena egz. 10 F (dol. 2,25; 15/-)

POEZJA

*Bursztyn elektron,
Poezja elektryczność,
Niematerialna materia,
Ale jaka uroda i jaka miłość.
Kto to? Nazwij ją po imieniu,
Ofelia?*

*Poeta pociera bursztyn,
Czeka na iskrę w ciemnościach,
Szuka początku istoty,
Pierwszego ducha u pierwszych wód,
Kieruje rzeki w cysterny
I z góry rzuca je stromo
Na rozpędzone koła,
Na wibrujący młyn,
Na przyszłość
Niewiadomą.*

*Wytryska iskra,
Biegnie wysokimi skokami
Ze wzgórza na wzgórze,
Z jednej wieży na drugą
Prądem w powietrzu,
Niewidzialną strugą.*

*Wytryska źdźbło żywego światła
Nad ciemnościami, nad człowiekiem,*

Nad ziemią żyzną i czarną,
Nad ziemią jałową,
Aż otworzy się trudne
Ogniste ziarno,
Słowo.

Grecki elektron drga.
Iskra przeczucie.
Słowo światło.
Poczęcie.

Idzie nowina
Prądem w powietrzu
Z jednej wieży na drugą
Niewidzialną strugą:
Uwaga,
Wysokie napięcie.

Zaszumi nad światem,
Ucieleśni się nagle
Niematerialna materia.
Jaka uroda i jaka miłość:
Pierwszy raz nazwana
Różanopalcą
Ofelia.

PIETA

Pamięci Jana Bielatowicza

Tyle kościołów,
Tyle ołtarzy,
Tyle razy ukrzyżowany
A noce wiecznie te same górą.
Strwożony natłokiem Boga
Chciałbym ukryć się, uciec
Jak nasza pylna droga
Z chłopską figurą.

Został w tym tłoku sam jeden,
Na krucyfiksach krwawi,
Zmartwychwstały się trudzi:

*Samotniku, nie wierz nikomu,
Wyjdź między ludzi.*

*Z dawna to wiedział wszechwiedzący,
Śpieszył się, chciał na ulicę
Ale przytrzaśnięto go w drzwiach.
Zbawicielu, jak cię wybawić?
Zamiast miłości
Do ust przybito nam gwoździem
Zbielałą niemoc
I nocny strach.*

*Na wieżach wyhaftowanych,
W aźurach, u szczytu,
Pod samym sufitem świata
Milczące dzwony.
Kto przy nich klęknie,
Kto przy nich szepnie:
Pochwalony.*

*W katedrach na ścianach portrety,
Birety, infuły twych dygnitarzy.
Kto przy nich klęknie,
Kto się nie złąknie
Żeś taki wywyższony.*

*Wieżę stoją na straży,
Dzwony gotowe uderzyć,
Rusza procesja fioletów,
Podnieśli już feretrony
A noce wiecznie te same górą.*

*Na drodze pył opada,
Nadchodzi skulona
Matka z daleka,
Kłęka
Pod chłopską figurą.*

POWIEDZIANE SZEPTEM

*Gdyby można wejść jak Claudel
Pewnego dnia do Notre Dame
I wyjść stamtąd innym człowiekiem.*

Mógłbym tam spotkać matkę,
Podałaby mi pomarszczoną dłoń,
Przemówiłaby szeptem:
Rozumiem, to największa intymność,
Rozumiem, to mrożąca nieśmiałość,
Domyślam się zawstydyzenia
I nie pytam o lęk.

Ale właściwie co ty innego robisz
Niż ja, której już nie ma?
Wychodzisz z człowieka, by widzieć go lepiej,
Ciemny zarys określasz nad przepaścią czasu,
Chcesz się domyślić jego i siebie,
Im dalej idziesz, tym mniej jest powrotu.

Rozum człowieka nie wskazał mu dobra,
Geniusz nie wybrał co wybrać powinien,
Mówimy humanizm, myślimy nadzieja
I nikt nie wywyższy nigdy
Zguby nad ocalenie.

Co ty innego robisz niż ja?
Chcesz być świadectwem niezgastych idei,
Chcesz być przewodem wiecznego procesu,
Rozpacz napętniasz daremnym wołaniem,
Szukasz ratunku i mnie
Jak ja szukam ciebie,
Ty który nie wiesz a jesteś
I ja która wiem ale
Mnie nie ma.

Z MYŚLĄ O ALBERCIE CAMUS

Jestem z rodu zwycięzców a żyję wśród klęsk,
Toczę bitwy o przyszłość kruszejącą w oczach,
Dzień dzisiejszy mnie goni, współczesność osacza
I zastania mi widok na cel najważniejszy.

Czas nasz jest mrocznym nurtem zadawanych cierpień
I podniety że człowiek je może zadawać,
Co nam więcej zostało niż bunt pokonanych
I smak do spraw straconych, nieznany helotom.

Nie żałujcie przepadłych. Należą się światu.
Pozwólcie mi się przykryć ich podartym płaszczem,
Jeśli w nim ktoś z walecznych zapomniał swej broni
Zostawcie ją. Ja znajdę, wierny beznadziejnie.

I Ł Ł A

Iłła,
Aldona,
Emily nasza,
Zamknięta na wieży,
Zawieszona
U jaskółczego poddasza.

Zamknięta na całe życie,
Niepojęta i zamysłona
We własnym o sobie wspomnieniu,
Woła na wiatr, na wolność,
Ręce wyciąga przez okno,
Zalepiona w ptasim więzieniu.

Mury bez wyjścia,
Powój na murach,
Wieża wieczysta.
Może to jej forteca,
Dobrowolne wygnanie
A może zakonnicza
Zakrystia.

Jak ci tam, pani samotna,
Wciąż ten wiatr i wciąż ten
Widok na chmury
I tak od lat i ciągle
To wielkie samo
Po raz nie wiedzieć
Który?

I tak co noc
Od zmierzchu do ranka
Pod jednym oknem
Przez wieki i mroki:
Nasza Litwinka,

*Amerykanka,
Śpiewa i woła
Z wieży wysokiej.*

*Itła, Itła,
Rzuć nam list
Przywiązany do kamienia,
Powiedz coś ty za jedna,
Skądżeś się nam wydarzyła.*

NIE LĘKAJ SIĘ

*Nie lękaj się, otwórz drzwi,
Wejść w mój sen,
Nie zbudzisz mnie:
Płynę po wielkiej rzece,
Od brzegu do brzegu ręce,
Serce na ciemnym dnie.*

*Nie lękaj się, otwórz drzwi,
Wejść do pokoju,
Nie zbudzisz mnie:
Nie śpię, szukam po ciemku
Brzegów które trzymałem w ręku,
Jakiegoś gruntu na jakimś dnie.*

Kazimierz WIERZYŃSKI

Refleksje rewolucyjne

Gdyby na ten cel istniały pieniądze, można by zorganizować zespół najświetniejszych specjalistów i powierzyć im opracowanie najlepszego z możliwych modeli ustrojowych dla Polski. Lecz nawet gdyby było możliwe zapoznanie większości społeczeństwa polskiego z proponowanym modelem — nie oznacza to bynajmniej, że ludzie wyszliby na ulicę domagając się realizacji nowego projektu.

Dyskusja nad ustrojem jest rzeczą niezmiernie ważną — lecz automatycznie nie produkuje przemian. Wszyscy, którzy piszą na temat rewolucji w bloku wschodnim, nigdy nie dają nawet przybliżonej odpowiedzi na pytanie: jak się ma to stać?

Jedną z form przewrotu jest zamach stanu. W ostatnich 50-ciu latach było w Europie (i poza nią) daleko więcej zamachów stanu niż prawdziwych rewolucji. W Polsce niezadowolenie z Gomułki jest powszechne, lecz ewentualni „zamachowcy” poza zmianami personalnymi na szczycie — nie oferują żadnej alternatywy. Dlaczego — zapytajmy dla przykładu — wojsko miałoby popierać zamach stanu Moczara? Co armia PRL zyskuje na zamianie Gomułki na Moczara? Zamach jest ryzykowną operacją i każdemu ryzyku towarzyszyć muszą konkretne korzyści.

Tak Gomułka jak i inni przywódcy partyjni — uzależnieni są od „nowej klasy” i jej aparatu władzy. Rewolucja społeczna w Polsce musiałaby być zwrócona przeciwko „nowej klasie”, która poprzez aparat biurokratyczny rządzi i wyzyskuje. Przywódca partyjny, który chciałby odepchnąć od władzy „nową klasę” i zniszczyć aparat biurokratyczny — musiałby mieć za sobą społeczeństwo a przede wszystkim młodzież. Żaden z współcześnie żyjących komunistycznych przywódców PRL nie ma za sobą ani młodzieży ani społeczeństwa. W konsekwencji, przywódcy — choć zwalczają się wzajemnie — uzależnieni są od biurokratycznego aparatu, który zapewnia im bezpieczeństwo.

W Polsce nie ma komunisty, który mógłby zainicjować „rewo-

lucję kulturalną" na wzór chiński, ponieważ nie ma komunisty, który potrafiłby zmobilizować młodzież przeciwko biurokracji partyjnej.

Gomułka miał za sobą młodzież i społeczeństwo w roku 1956. Lecz dziś, choćby Gomułka stwierdził, że jest więźniem biurokratycznego aparatu, który stworzył — nie ma możliwości wyjścia na ulicę, ponieważ ulica się za nim nie opowie. Społeczeństwo nie opowie się również za Moczarem ani za Kliszką — ani za nikim z obecnego przywództwa. W Polsce nie ma Mao Tse, który mógłby tysiące młodych ludzi wyprowadzić z szkolnych sal wykładowych i jak szturmową kolumnę poprowadzić na Warszawę.

W ustrojach autorytatywnych, w których z ideologii nie pozostało nic poza frazesami — możliwe są już tylko rewolucje pałacowe o personalnym, ograniczonym zasięgu. Rewolucja pałacowa może spowodować zmiany polityczne i gospodarcze — ale wszystko w ramach systemu. Jednak żadna rewolucja pałacowa nie może obalić panowania „nowej klasy” — ponieważ aktorzy rewolucji pałacowej są członkami „nowej klasy” i więźniami jej biurokratycznego aparatu.

Chińska „rewolucja kulturalna” nasuwa melancholijne refleksje. Należy sobie uprzytomnić, że Mao Tse budzi w masach chińskich — a co ważniejsze wśród młodzieży — prawdziwy zapał rewolucyjny. Ów zapał można określić mianem fanatyzmu czy zbiorowej hysterii — niemniej zjawisko jest autentyczne. Jeżeli przywódca komunistyczny o takiej pozycji i popularności jak Mao Tse — przegrywa prawdopodobnie batalię z aparatem biurokratycznym — jakie ma szanse młody komunista w Polsce, który podjąłby hasło anty-biurokratycznej rewolucji?

Paradoks polega na tym, że w gruncie rzeczy Gomułka i Cyrankiewicz są w podobnej sytuacji jak Kuroń i Modzelewski. Gdyby Gomułka czy Cyrankiewicz podjęli, choćby częściowo, program walki z biurokracją partyjną — ulegliby politycznej likwidacji, a może nawet wyładowaliby w więzieniu.

Typowy jest również przykład Dżilasa. W Jugosławii nikt nie ma takiej pozycji ideologiczno-politycznej jak Dżilas i nikt nie cieszy się tak powszechnym szacunkiem i zaufaniem. Dżilasowi więzienie zamieniono obecnie na „areszt domowy”. Lecz nie to jest istotne. Istotne jest natomiast, że ustrój komunistyczny likwiduje wszystkich swoich wielkich reformatorów, ponieważ w każdym reformatorze „nowa klasa” dopatruje się zagrożenia dla swojej władzy.

Napór nowoczesnych warunków — a przede wszystkim technologia i ekonomia — powodują konieczność podejmowania pewnych reform. Ewolucja w bloku wschodnim ma charakter ograniczony i selektywny. Innymi słowy wprowadza się w życie tylko takie reformy, które w niczym nie zagrażają monopolowi władzy „nowej klasy”. Odrzuca się więc projekty, które mogłyby zbliżyć klasę robotniczą do gospodarczo-społecznego samostanowienia. Stąd wywodzi się nienawiść komunistów do socjaldemokratów. „Nowej klasie” daleko bardziej odpowiadają projekty i urzędze-

nia wielko-kapitalistyczne. W ten sposób ustroje komunistyczne przejmują najgorsze cechy z kapitalizmu, wyzbywając się równocześnie socjalizmu.

Doświadczenie historyczne uczy nas, że ludzie nie wychodzą z bronią w rękę na ulicę, by realizować raj na ziemi — tylko wychodzą na ulicę, ponieważ sytuacja w której się znaleźli jest nie do zniesienia.

Robotnicy w Poznaniu, którzy podjęli w roku 1956 strajk i walkę z całą pewnością nie wyszli na ulicę w imię jakiegoś konkretnego programu. Domagali się zmniejszenia norm i podwyżki płac śląc do Warszawy jeden memoriał za drugim. Ponieważ odpowiedź nie nadeszła, robotnicy zakładów Cegielskiego zastrajkowali, pociągając za sobą robotników z innych poznańskich zakładów przemysłowych.

Rewolucję detonuje kryzys wewnętrzny i sprzyjająca sytuacja zewnętrzna. Gdyby nie było wojny, która przyniosła klęskę carskiej Rosji — Lenin umarłby spokojnie na emigracji.

Strategia polityczna państw bloku wschodniego zmierza do uśmierzenia obu zacytowanych powyżej niebezpieczeństw. Na wewnątrz przywództwa komunistyczne dążą do ustabilizowania znośnych warunków. Jeżeli jest znośnie — ludzie narzekają ale nie strajkują i nie wychodzą na ulicę. Najbardziej dynamiczni i skłonni do ryzyka są ludzie, którym od dawna dobrze się prowadzi i są pewni siebie — albo ludzie, którzy są w nędzy od dawna i nie mają nic do stracenia. Najbardziej bierny i obojętny jest tzw. szary tłum, który nie jest ani w nędzy ani w dobrobycie.

Na zewnątrz przywódcy komunistyczni głoszą konieczność utrzymania pokoju, przez co rozumieją zachowanie *status quo* — tak w sensie terytorialnym jak i ideologicznym.

Jeżeli rządowi państw komunistycznych, a w szczególności rządowi sowieckiemu, powiedzie się zrealizować dwa zasadnicze anty-rewolucyjne postulaty, tzn. znośny byt na wewnątrz i bezpieczeństwo na zewnątrz — nie będzie ani rewolucji ani poważniejszych przemian.

Przez „znośne warunki” rozumiem nie tylko sprawy bytu i egzystencji, lecz również problemy narodowościowe, religijne i tp. Gdyby prześladowanie narodowościowe Ukraińców, ich języka i kultury było dwukrotnie większe niż obecnie — doszłoby do ruchów. Gdyby prześladowanie kościoła w Polsce wzmoгло się o 100% — gdyby zamykano kościoły, palono mszały a księży posyłano do więzień — z całą pewnością doszłoby do poważnych zaburzeń i walk z policją.

Po okresie stalinowskim komuniści dysponują wielkim doświadczeniem w tych sprawach i są dziś w pełni świadomi faktu, że znośny byt większości obywateli jest podstawowym warunkiem bezpieczeństwa wewnętrznego — co z kolei stanowi fundament panowania „nowej klasy”.

Rozpatrując perspektywy rewolucji należy stwierdzić, że tylko komunizm Mao Tse zasługuje na miano ideologii rewolucyjnej.

Kilkadziesiąt lat temu europejscy socjaldemokraci byli rewo-

lucjonistami. Rewolucjonistami byli również bolszewicy. Lecz dziś ani jedni ani drudzy nie są rewolucjonistami. Rozłam pomiędzy Moskwą a Pekinem dotyczy głównie tego zagadnienia. Rosjanie nie poparli rewolucyjnej polityki Chin, ani w okresie kryzysu w cieśninie Formozy, ani w okresie kryzysu chińsko-hinduskiego.

Rosjanie postępują w stosunku do czerwonych Chin identycznie jak Amerykanie w stosunku do Chin nacjonalistycznych. W okresie kryzysu w cieśninie Formozy Rosjanie odmówili Chińczykom pomocy w akcji „wyzwolenia” wysp i samej Formozy, a Amerykanie natomiast nie pozwolili rządowi Chin narodowych na podjęcie desantu na wielką skalę w okresie największego chaosu spowodowanego „rewolucją kulturalną”.

W obu wypadkach tak w Moskwie jak i Waszyngtonie — zdecydowała obawa przed konfliktem amerykańsko-sowieckim.

Pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem nie było i nie ma żadnego „spisku” — istnieje natomiast podobieństwo w pragmatycznym, anty-rewolucyjnym ujęciu sytuacji. Amerykanie gotowi są popierać demokracje na całym świecie, lecz nie za cenę ryzyka konfliktu z Sowietami — Moskwa gotowa jest popierać komunizm na całym świecie, lecz nie za cenę ryzyka konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi. Nie przeszkadza to oczywiście Rosjanom głosić, że „komunizm w końcu zwycięży” — podobnie jak nie przeszkadza to Amerykanom głosić, że „wolność i demokracja w końcu zwyciężą”.

Można zaryzykować pogląd, że Rosję z Chinami poróżniła Ameryka. Stosunek Rosji do Ameryki zdemaskował Moskwę jako rzekomą „stolicę rewolucji światowej”. W praktyce okazało się bowiem, że Rosja jest konserwatywna, imperialistyczna, autorytatywna i daleko bardziej odpowiada jej koncepcja podwójnej hegemonii niż idea światowej rewolucji realizowana w sojuszu z czerwonymi Chinami. Autorem koncepcji podwójnej hegemonii był Roosevelt, który uważał, że żandarmami świata winny być wielkie mocarstwa, a przede wszystkim Stany Zjednoczone i Rosja.

W Sowietach rewolucjoniści siedzą w więzieniach — natomiast rządzi „nowa klasa”. Ideał tych panów można by ująć w hasło: „menadżerowie wszystkich krajów łączcie się!” Łączcie się celem zapewnienia porządku i pokoju, któremu zagrażają narody proletariackie z pretensjami do wolności i samostanowienia.

Na temat „rewolucji kulturalnej” w Chinach ukazało się dziesiątki książek i setki artykułów. Wydaje mi się, że najtrafniejszą analizę wydarzeń w Chinach dał Victor Zorza na łamach londyńskiego „The Guardian”. Parafrazując tytuł znanej książki „The God that Failed” — Zorza określił „rewolucję kulturalną” mianem „Revolution that Failed”.

Od wielu naszych Czytelników otrzymałem w różnych odstępach czasu listy z zapytaniem jak oceniam perspektywy rewolucji w europejskim bloku wschodnim. Odcinam się kategorycznie od terminu: „kontrrewolucja”. W europejskim bloku wschodnim

wśród *postępowych* kół opozycyjnych nie ma kontr-rewolucjonistów. To jest walka o socjalizm, przeciwko tym którzy go zlikwidowali.

W pewnej mierze tezą niniejszego artykułu jest pogląd następujący: Rewolucja rosyjska, która przed pół wiekiem wstrząsnęła światem — zrodziła się na Zachodzie. Nowa „rewolucja” rosyjska musiałaby się również zrodzić na Zachodzie.

Rozwińmy powyższy skrót myślowy.

Rosja Sowiecka po drugiej wojnie światowej wyszła z izolacji. Zagarnęła znaczne obszary europejskie, które w pewnym sensie ją zeuropeizowały. Śmierć Stalina i XX Zjazd partyjny uruchomiły proces przemian, które budziły wielkie nadzieje. Lecz proces ten zatrzymał się w połowie drogi.

W mojej ocenie sytuacja w Rosji kształtuje się odwrotnie niż w Niemczech. W Republice Federalnej *establishment* znacznie bezwzględniej i bardziej całkowicie odciął się od przeszłości niż społeczeństwo. W Rosji Sowieckiej natomiast społeczeństwo znacznie bezwzględniej i bardziej całkowicie potępiło przeszłość stalinowską niż uczynił to rząd i partia.

W Sowietach i w całym bloku wschodnim obserwujemy charakterystyczną połowiczność w podejmowanych reformach. Reformy dotyczą wyłącznie ekonomii i technologii z wyłączeniem spraw ustrojowych. Rzeczoznawcy sowieccy studiują metody i organizację produkcji w fabrykach brytyjskich — lecz organizacja brytyjskich związków zawodowych tych panów nie interesuje.

Europa zachodnia znajduje się w okresie po-rewolucyjnym, po-socjalistycznym — u progu okresu „prezydenckiego”. W Anglii, we Francji, w Niemczech — ustroje ewoluują w kierunku modelu amerykańskiego. To są ustroje demokratyczne lecz a-ideologiczne. W modelu tego typu zanikają różnice ideologiczne pomiędzy partiami politycznymi a na plan pierwszy wybijają się osobowości przywódców-administratorów. Wybory dotyczą dwóch różnych ekip menadżerów nie zaś dwóch różnych programów ideologicznych.

Pomiędzy modelem „prezydenckim” z silną władzą centralną planowaniem i t.p. a współczesnym modelem sowieckim istnieją daleko większe podobieństwa niż istniały pomiędzy ustrojem stalinowskim a przedwojennymi zachodnio-europejskimi państwami z wielopartyjnym chaosem i słabą władzą centralną.

Ustrój sowiecki ewoluuje w kierunku jedno-partyjnego modelu „prezydenckiego”, który będzie miał wszystkie wady kapitalizmu bez jego zalet. Sowiety gotowe są przejść od Zachodu wszystko z wyjątkiem demokracji.

Ustrój „prezydencki” jest politycznym wyrazem ewolucji technologicznej. O ile jednak ów model na Zachodzie stanowi naturalną nadbudowę demokracji — o tyle w Sowietach stanowi umocnienie dyktatury. Na Zachodzie ustrój „prezydencki” oznacza triumf pragmatyzmu nad ideologią. W wydaniu sowieckim ten sam model ma służyć jako fundament ideologii.

W sumie jednak wypada stwierdzić, że obecna faza rozwojo-

wa w Europie sprzyja Sowietaom. Gdyby dziś potencjalny przywódca nowej rewolucji rosyjskiej, choćby kalibru Lenina, zjawił się na Zachodzie — nie miałby po prostu do kogo się zwrócić. Gdyby miał za sobą dramatyczne przeżycia — mógłby sprzedać swoje pamiątki kilku pismom amerykańskim — co umożliwiłoby mu nabycie sklepu żywnościowego w Genewie czy w Paryżu. Lecz na inny program nowy Lenin nie mógłby liczyć. Dziś na Zachodzie można sprzedać wszystko — pamiątki, tajemnice zbrojeniowe — lecz nie rewolucję. To jest towar, na który nawet nowy Lenin nie znalazłby nabywców.

Należy podkreślić jeszcze jeden szczegół sytuacyjny. Rewolucjoniści ubiegłego wieku byli humanistami. Marks był filozofem przekształconym w ekonomistę i socjologa. Kadra intelektualną, przywódczą i bojową rewolucji była inteligencja humanistyczna.

Tak w świecie Zachodu jak i w europejskim bloku komunistycznym obserwujemy zmierzch warstwy inteligencji humanistycznej. W szkołach średnich i na uniwersytetach główny nacisk położony jest na nauki ścisłe i technologiczne. W rezultacie powstaje nowa warstwa inteligencji technicznej i funkcjonalnej. Znaczenie i pozycja społeczna humanistów maleje.

Przywódca rewolucyjny nie może być jedynie astronautą czy specjalistą od radaru — musi mieć ponadto wykształcenie humanistyczne z dobrą znajomością filozofii, historii i ekonomii. Rewolucjoniści byli pisarzami i mówcami. Lenin, Trocki a nawet Stalin napisali mnóstwo dzieł. Jakie dzieła rewolucyjne powstały na Zachodzie? Ze śmiercią Trockiego, w roku 1940 europejski „wiek rewolucyjny” zapadł się w przeszłość.

Jakie wnioski należy wysunąć z naszych dotychczasowych rozważań?

Ogólny wniosek ująłbym następująco. Rewolucja jest dziś takim samym anachronizmem jak wojna. Nie oznacza to jednak, że znikły problemy, które dawniej rozwiązywano na drodze rewolucyjnej względnie wojennej. Nie wypracowaliśmy dotąd modelu zastępczego rewolucji i modelu zastępczego wojny. Bronie atomowe wyposażały *status quo* w sankcje nienaruszalności nieznanej w dziejach. Każda próba zmiany *status quo* wydaje się z góry skazana na niepowodzenie. Celem zarówno NATO jak i Paktu Warszawskiego — nie jest przygotowanie do wojny lecz niedopuszczenie do wojny. W przeszłości sojusze służyły zupełnie innemu celom. Polityki Stanów Zjednoczonych i Sowieców można streścić w jednym zdaniu. Oba super-mocarstwa są zdecydowane — choćby kosztem innych — nie dopuścić do wojny nuklearnej pomiędzy sobą.

Konserwatyści po obu stronach barykady nigdy nie mieli takiej historycznej koniunktury jak obecnie. *Status quo* tak w sensie politycznym jak i socjalnym jest bożkiem, którego kult jednoczy komunistów i demokratów, republikanów i monarchistów, katolików i bezbożników. Każda propozycja zmiany *status quo* kwalifikowana jest jako „podżeganie do wojny”.

W takiej sytuacji zwykli oportuniści awansują do rangi światłych pragmatyków. Czego nie można zmienić — należy zaakceptować. Oportunizm zyskał pseudo-moralną sankcję — ponieważ każdy oportunista występuje dziś jako obrońca *status quo* i pokoju. W tego typu klimacie można usprawiedliwić każde zło i każdą krzywdę. Ponieważ wojna atomowa jest największym złem, wszystko inne jest mniejszym złem, które trzeba traktować jako „koszta ruchu” nowego, wspaniałego świata. Może przyjsć chwila, że owe „koszta ruchu” kilkudziesięciu milionom ludzi wydadzą się zbyt wielkie i wówczas będziemy świadkami wypadków, które w publicystyce określa się mianem „wydarzeń nieprzewidzianych”.

Doświadczenia z hitleryzmem winny były nas przekonać, że sprawy wewnętrzno-społeczne naszych sąsiadów decydują o wojnie lub pokoju. W ostatecznej analizie pokój (prawdziwy pokój a nie „zimna wojna”) jest zjawiskiem społecznym a nie politycznym. Państwa demokratycznie rządzone, społecznie i gospodarczo ułożone — nie podejmują wojen agresywnych. Państwa o przeciwstawnych ustrojach socjalnych nie są w możności zorganizować sprawnie funkcjonującego systemu międzynarodowego. Jako pragmatycy winniśmy wiedzieć, że nie apokalipsa atomowa ale kontrolowane rozbrojenie atomowe może zlikwidować groźbę wojny. Z kolei tylko w ramach rzetelnego systemu międzynarodowego rozbrojenie atomowe byłoby propozycją realną.

Co innego jest nie znajdować odpowiedzi na dany problem a co innego jest stwierdzić, że dane zagadnienie nie istnieje. W całym bloku wschodnim z Rosją na czele istnieje głęboki, wielopłaszczyznowy kryzys, który w przyszłości może zagrozić nie tylko Sowietom lecz i Zachodowi. Stany Zjednoczone przeżywają również wielostronny kryzys, którego jednym z aspektów jest kwestia murzyńska. W ustroju demokratycznym rewolucja jest zbędna — ponieważ wszystkie drogi ewolucyjne są otwarte. W państwie totalnym dróg otwartych jest zbyt mało by zapewnić prawidłową, pokojową ewolucję.

Nie można przepowiedzieć co stanie się w Rosji i w Chinach ani nie można zaprodukować gotowej recepty na rozwiązanie problemów tych wymiarów. Wydaje się jednak, że jednym z podstawowych warunków decydującej przemiany w Rosji — musiałaby być decydująca zmiana zachodniego stosunku do Rosji. Dlaczego komuniści mają się reformować, skoro my ich akceptujemy takimi jakimi oni są?

Osobiście jestem przeciwnikiem wszelkich krucjat ideologicznych czy jakichkolwiek innych. Nie mamy również prawa ani powodu narzucać narodowi rosyjskiemu zachodnio-europejskiego systemu ustrojowego, który na wielu polach jest bardzo daleki od ideału. Każdy naród ma prawo do własnej drogi do demokracji i Zachód nie ma monopolu w tej dziedzinie.

Nie tylko każdy naród ma prawo do demokracji — lecz wszystkie narody pragną podstawowych praw demokratycznych. Nawet

ci co nie umieją czytać i pisać pragną wolności od wyzysku i sprawiedliwego ustroju społeczno-gospodarczego.

Istnieją dziesiątki modeli demokracji i semi-demokracji — lecz tylko kilka kardynalnych zasad demokratycznych. Otóż tych kilku zasad nie wolno poświęcać dla doraźnych korzyści politycznych. Postępując w ten sposób stajemy na równi z Kosyginem i nie mamy żadnych tytułów do reformowania kogokolwiek.

Ktoś może zauważyć, że Zachód nie ma praktycznych możliwości umniejszenia wyzysku robotników w Polsce czy na Węgrzech. Nie ma również możliwości spowodowania reformy prawa wyborczego w tych krajach.

A jak postępujemy tam gdzie istnieją te możliwości?

Nowa konstytucja południowo-wietnamska, którą marszałek Ky przedstawił z dumą prez. Johnsonowi w czasie konferencji na wyspie Guam (20. 3. br.) — została opracowana przez komisję konstytucyjną, wyłonioną z wyborów, które odbyły się we wrześniu ub. roku. Z owych wyborów zostali mocą prawa wyłączeni komuniści i „nęutraliści” — czyli cała opozycja. W konstytucji nie ma słówka na temat reformy rolnej, pomimo, że ta sprawa stanowi jedną z przyczyn wojny, a z całą pewnością główne źródło siły Vietcong. Korespondent londyńskiego „The Guardian” (21. 3. br.) doniósł, że obszarnicy południowowietnamscy jadą z postępującą armią w celu odebrania swych majątków rozparcelowanych przez komunistów. Ci panowie domagają się od wieśniaków „zaległych czynszów” od roku 1954. Te czynsze wynoszą często 60% wartości produktu z pola ryżowego.

Wydaje się katastrofalnym nieporozumieniem wysyłanie na śmierć młodych Amerykanów tylko w tym celu, by restaurować w Wietnamie ustrój umożliwiający obszarnikom obdzieranie wieśniaków ze skóry. Lecz nie w tym leży istota rzeczy. Istota rzeczy polega na tym, że tak pojmowany pragmatyzm nie jest pragmatyzmem. Nie jest bowiem pragmatyzmem żadne działanie, które mija się z celem.

Gdyby cytowaną konstytucję narzucono całemu Wietnamowi a wszystkich partyzantów Vietcongu rozstrzelano — następne pokolenie wyzyskiwanych wieśniaków podjęłoby rewolucję ponownie. Obdzierani ze skóry podejmą rewolucję szukając pomocy u tych, którzy będą gotowi ich poprzeć. I tak oto problem Wietnamu wróciłby na punkt startu.

Wybrałem ten przykład by wykazać, że pragmatyczna polityka w stosunku do komunizmu nakazuje — *popieranie rewolucji społecznej a nie jej zwalczanie*. Wysuwając tezę, że rewolucja i tym razem musi się zacząć na Zachodzie — to miałem na myśli.

Komunizm w Wietnamie można zwalczać oferując ludności bardziej postępowy i sprawiedliwszy społecznie ustrój niż ten, który proponują komuniści. To samo pragmatyczne założenie obowiązywać winno w stosunku do Rosji i całego bloku państw komunistycznych. Odpowiedzią na totalizm komunistyczny nie jest reakcyjny likwidatorski antykomunizm — tylko światły pos-

tępowy socjalizm, który potrafiłby zrealizować program sparodiowany i zdradzony przez „nową klasę”.

Dla większości Amerykanów dobrej woli słowo „socjalizm” brzmi podejrzenie. Dlaczego socjalizm?

Wschodniemu Europejczykowi, który nie utracił kontaktu ze swoim krajem — nie trudno odpowiedzieć na to pytanie. Zarówno tam gdzie z pola ryżowego trzeba płacić obszarnikowi 60% wartości zbiorów — jak i tam gdzie strajk jest karalną zbrodnią — problematyka rewolucyjna, socjalistyczna jest żywą aktualnością. Tam, gdzie robotnik jest wyzyskiwany, bezbronny, pozbawiony niezależnych związków zawodowych i elementarnych praw demokratycznych — socjalizm jest koniecznością, bo nie spełnił swego zadania, jak na zachodzie Europy.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

INTELEKTUALIŚCI A WŁADZA

Amerykański ekonomista George Stigler obliczył, że w Atenach za czasów Peryklesa żyło około dwustu intelektualistów — czyli jeden intelektualista przypadał na 1500 mieszkańców. Stigler ocenia, że w Stanach Zjednoczonych istnieje obecnie około miliona intelektualistów, a więc jeden intelektualista przypada na 200 mieszkańców.

Angielski powieściopisarz, technolog i sejentysta C. P. Snow napisał, że 80% postępu naukowego dokonanego w ostatnich 20 latach w świecie Zachodu przypisać należy Amerykanom.

W okresie Października Kisielewski wystąpił z tezą, że „myślenie w Polsce ma kolosalną przyszłość”. W Ameryce, myślenie ma nie tylko przyszłość lecz i teraźniejszość. Myślenie jest lukratywnym przemysłem o czym świadczą „fabryki myśli” (*think factories*) jak The Rand Corporation w Santa Monica, Arthur D. Little w Bostonie czy Aerojet General w Sacramento. Wzdłuż słynnej autostrady 128 wiodącej do Bostonu naliczyć można ponad 1000 zakładów przemysłowych elektronicznych i kosmonautycznych w których intelektualści są *businessman*’anami — a *businessman*’i intelektualistami.

Lecz kto właściwie jest intelektualistą? Kryteria w tej sprawie są zmienne i zależą od tradycji i zwyczaju. Według „Time” („The Flourishing Intellectuals”) w Stanach Zjednoczonych demokrata będzie daleko łatwiej uznany za intelektualistę niż republikanin o identycznych kwalifikacjach naukowych. Pisarze, nawet rangi Hemingwaya czy Faulknera nie są intelektualistami — natomiast krytyk literacki jest intelektualistą niejako z

urzędu. Praktykujący lekarz nie jest intelektualistą natomiast psychiatra czy psychoanalityk posiada wielkie możliwości awansu w tej dziedzinie.

W tej notatce chciałbym naświetlić tylko jeden aspekt tego różnorodnego zagadnienia, a mianowicie jak kształtuje się współpraca nie-technicznych intelektualistów z władzą państwową.

Fizycy atomowi, technologzy scjentyści są w pełni zatrudnieni i dobrze płatni po obu stronach ideologicznej barykady. Od scjentystów możemy oczekiwać odpowiedzi na pytanie jak należy zorganizować lot na księżyc. Od kogo natomiast należy oczekiwać odpowiedzi na pytanie jak należy rządzić światem? Pół wieku temu byłoby to pytanie czysto retoryczne, bo nikt nie posiadał dostatecznej siły by rządzić światem. Dziś Amerykanie dysponują siłą i potęgą umożliwiającą rządzić światem i jeżeli Waszyngton nie rządzi naszą planetą to nie dlatego, że nie ma dość siły lecz dlatego, że nie wie jak to zrobić. Na obronę Amerykanów trzeba powiedzieć, że nikt nie wie jak należy rządzić światem i wydaje się, że jest to problem niepomrotnie bardziej skomplikowany niż lot na księżyc.

Co z tym wszystkim mają wspólnego intelektualiści? Znacznie więcej niż przeciętny laik sobie wyobraża.

W Wietnamie mamy kosztowną wojnę i rewolucję. Kto zaręczy, że analogiczna sytuacja nie powstanie jutro w Argentynie, w Brazylii czy w Indiach? Dawniej Waszyngton opierał się na informacjach przekazywanych przez służbę dyplomatyczną i wywiad. Dziś owe tradycyjne metody zdobywania informacji okazują się w wielu wypadkach niedostateczne. Jeżeli w danym kraju — niejednokrotnie odległym o tysiące mil od Stanów Zjednoczonych — zanosì się na przewrót społeczny — fachowa analiza złożonej struktury kryzysu społecznego przekracza możliwości zarówno wywiadu jak i konwencjonalnej służby dyplomatycznej. Z drugiej strony, jest niezmiernie ważne wiedzieć w którym punkcie globu zanosì się na burzę, bo tylko wówczas można uniknąć zaskoczenia.

Innymi słowy, polityka globalna musi posługiwać się biurem które analizuje i przepowiada „pogodę społeczno-gospodarczą” na całym świecie. Kto to ma robić? Oczywiście socjologowie i ekonomiści. I tak oto wróciliśmy do intelektualistów.

Istnieje tzw. *SORO American Universities' Special Operations Research Office*) — która to organizacja skupia socjologów, antropologów i naukowców społecznych różnych specjalności, którzy przeprowadzają badania dla Pentagonu. W ubiegłym roku Pentagon wydał na badania tego typu ponad 12 milionów dolarów („Encounter”, luty 1967).

Pewne projekty jak np. „Camelot” doprowadziły do kontrowersji i dyskusji na najwyższym szczeblu, ponieważ dyplomacja amerykańska strzeże oczywiście zazdrośnie swych przywilejów — a „przedmiot badań”, w tym wypadku Chile, odniósł się bez entuzjazmu do programu analizy socjologicznej. Pewni Chilijczycy dali wyraz obawom, że zacznie się od ekipy amerykańskich socjologów a skończy się na amerykańskich czołgach.

Niemniej, sama idea jest niewątpliwie słuszna. Zarówno wywiad jak i dyplomacja nie mogą dostarczyć tych wszystkich informacji i analiz, które są niezbędne dla sprawnego funkcjonowania polityki globalnej. Nie twierdzę, że dyplomacja i wywiady są przeżytkiem. Twierdzę natomiast, że jako źródła informacji są dziś niewystarczające.

Wszystkie dyplomacie i służby szpiegowskie w stosunku do Chin —

centralnego problemu Azji — są wielce wątpliwym źródłem informacji. W roku 1962 rząd pekiński zezwolił antropologowi Jan Myrdalowi na osiedlenie się w miejscowości Liu Ling w północnych Chinach. W ten sposób powstała znakomita książka „Raport from a Chinese Village” (The New American Library, 1965), która może jak żadna inna książka z tej dziedziny umożliwia wniknięcie w psychologię Chińczyków i ich rewolucji.

Nie wystarczy być inteligentnym, czytającym, pełnym zrozumienia i dobrej woli. Opis i analiza złożonej problematyki społecznej obcego narodu są zadaniem, którego może się podjąć tylko antropolog, socjolog, specjalista, mający za sobą fachowe studia i wieloletnie doświadczenie. To nie jest zadanie ani dla dyplomaty ani dla agenta wywiadu.

Co robiły dyplomacje i wywiady w krajach w których groziła rewolucja? W 80 wypadkach na 100 ci panowie organizowali kontrrewolucję i — gdzie było to możliwe — torowali drogę zbrojnej interwencji. Lecz te metody zawodzą nawet w skali Wietnamu a coś dopiero w skali polityki globalnej.

Antropolog czy socjolog czasowo zatrudniony przez Pentagon — jest nie tylko specjalistą w swojej gałęzi wiedzy, lecz również prywatnym człowiekiem o określonych poglądach politycznych, społecznych, religijnych i tp. Spędziłem wiele lat w wojsku i wiem jak to się odbywa. Każdy cywilny specjalista kontraktowany przez armię jest rozszyfrowywany z największą dokładnością. Nie wydaje mi się, by najzdolniejszy nawet socjolog o zdecydowanie lewicowych przekonaniach miał szansę prowadzenia badań dla Pentagonu. Podanie takiego pana — gdyby je złożył — nie byłoby nawet rozpatrywane.

Należy również wnioskować, że znaczny procent zakontraktowanych specjalistów stara się spełnić pokładane w nich nadzieje informując władze zgodnie z obowiązującą oficjalną linią polityczną. Nikt nie chce utracić dobrze płatnego zajęcia i nie można się temu dziwić. I tak oto dochodzimy do odwiecznego dylematu: intelektualści *versus* władza.

W aspekcie polityki wewnętrznej: technologia, automacja i tp. — w aspekcie polityki zewnętrznej: zaangażowanie globalne — powodują, że ośrodki władzy tak wojskowej jak i cywilnej w coraz większym stopniu zależne są od sztabów intelektualistów.

Pozycja naukowców polityczno-społecznych wszelkich specjalności zasługuje na szczególniejszą uwagę. Wydaje mi się, że ekspertyza w tych dziedzinach posiada tylko wówczas wartość, jeżeli jest podejmowana z postawy całkowitej niezależności. Antropolog czy socjolog rozpracowujący zagadnienia interesujące armię czy władze cywilne — winien być angażowany i płacony przez niezawisłą instytucję jak uniwersytety czy wielkie fundacje. Amerykanie — w przeciwieństwie do Rosjan zdają sobie z tego sprawę i dlatego nie Związek Sowiecki tylko Stany Zjednoczone są ojczyzną nowoczesnej socjologii.

Niesłychany rozrost nauk społecznych i politycznych i ich sub-specjalności — jest konsekwencją całkowitej nieadekwatności (wybaczcie to słowo) konwencjonalnej aparatury polityczno-administracyjnej. Nikt nie wie jak rozładować konsekwencje społeczne rewolucji technologicznej i nikt nie wie jak wojskowo-polityczne zaangażowanie globalne przetłumaczyć na ustabilizowany ład międzynarodowy.

Jest oczywiste, że odpowiedzi na powyższe problemy nie wyczytamy w

świętych księgach, tylko wypracować je muszą wybitne mózgi. Intelktualiści nie rządzą, lecz doradzają i wychowują. Uczą i formują przyszłych prezydentów, senatorów, sekretarzy stanu i przywódców wojskowych. Dlatego skłonny jestem przypuszczać, że jednym z zasadniczych czynników walki o przywództwo nad światem jest problem: intelektualiści *versus* władza.

W ustroju komunistycznym ów kontrakt społeczny pomiędzy intelektualiistami a władzą wydaje się kwadraturą koła. Ponieważ komuniści — zwłaszcza polscy — chętnie naśladowują Zachód — podjęto w ostatnich latach próby rozbudowy nauk społecznych i politycznych. Wynaleziono nawet nowy termin „politologia”, której nauczaniem zajmuje się Ośrodek Metodyczny Nauk Politycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Poza tym mamy w stolicy Wyższą Szkołę Nauk Społecznych przy KC PZPR, Zakład Wschód-Zachód przy Instytucie Spraw Międzynarodowych, Zakład Badań Krajów Słabo Rozwiniętych przy Szkole Głównej Planowania i Statystyki i td. i tp.

Politologia jest tylko nową nazwą ideologii — jedynej i obowiązującej. Jej celem jest walka z rewizjonizmem i wpływami burżuazyjnymi. Walka z postępową myślą i dążeniami ku reformie. Konsekwencją jest stały wpływ intelektualistów zarówno od partii jak i od politologii. O ile na Zachodzie i w Stanach Zjednoczonych dyscypliny socjologiczne przyciągają młodzież najbardziej uzdolnioną i twórczą — o tyle w Polsce i w innych krajach komunistycznych politologia jest wylęgarnią i żerowiskiem oportunistów i amatorów lekkiego aparatchykowskiiego chleba.

Bardziej cynicznie czy trzeźwo usposobiony Czytelnik zauważy w tym miejscu, że intelektualiści są wszędzie do kupienia. To jest generalizująca opinia, w gruncie rzeczy fałszywa. Wszystko jest do kupienia lecz pewne rzeczy są do kupienia *tylko na wolnym rynku*. I do tych pewnych rzeczy należą intelektualiści. W Stanach Zjednoczonych tysiące intelektualistów pracuje dla armii i rządu — tysiące intelektualistów jest w opozycji. Gdyby któregoś dnia owe tysiące intelektualistów, którzy są w opozycji wysłano do łagrów na Alasce — znakomita większość pro-rządowych intelektualistów odmówiłaby dalszej współpracy z Waszyngtonem.

Inaczej mówiąc, można mieć pro-rządowych intelektualistów tylko za cenę przyznania swobody przekonań i działania opozycyjnym intelektualistom. Współpracujący z rządem intelektualista musi wiedzieć, że z chwilą kiedy przestanie aprobować oficjalną politykę będzie mógł wrócić do swego macierzystego zakładu naukowego i podjąć otwartą krytykę rządu.

Dyskusje pomiędzy intelektualistami którzy są „za” a intelektualistami, którzy są „przeciw” — są niezbędnym i niezastąpionym elementem pracy zespołowej. Socjologia — w której wszyscy na wszystko się zgadzają — nie jest socjologią lecz politologią.

Intelektualista jest rewizjonistą z definicji. Postęp w każdej dziedzinie opiera się na rewizji przeszłości. Ilustruje tę tezę zarówno Einstein jak i Marks. Na współpracę z intelektualistami nie może liczyć ustrój, który rewizjonizm zalicza do siedmiu grzechów głównych. Proste, choć nie dla wszystkich.

LONDYŃCZYK

Flemming jedzie na Zachód

Odbyłem z przyjacielem półlitrowy seans na pożegnanie. To było wczoraj, w Krakowie. Dziś, jest już wieczór — pierwsze neony rozbłyskują w Alejach Jerozolimskich. Za dwie godziny mam pociąg do Berlina.

1.000 złotych za paszport. 10.000 łapówka w odpowiednią łapę.

— Tylko żebyście nic na nasze Polskie Ludowe nie nagadali — powiedział facet w Biurze Paszportowym. Obiecałem.

5 dolarów wiatyku. Na granicy NRD-owski pogranicznik pyta: Nie jedziecie nigdzie dalej? — Co go to obchodzi.

To wszystko jest dziś tak dalekie, a jednak tak bliskie, gdy się myślą tam wraca.

Za mną są dwie książki, kilka artykułów, kilka granic, paszport z orłem bez korony. Mam już dziś nowy z datą wydania 12 września 1966. Gdzieś w Europie.

Na przeciwko siedzi pani Zofia Hertz, z lewej strony sam Jerzy Giedroyc, obok mnie, między Hertzem i młodym Giedroyciem, moja cudzoziemska żona, której zawdzięczam przyjazd na Zachód. Na korytarzu pies łańcuchowy imperializmu, Piotruś, drze się z drugim spanielem. Czapskich.

Gdzieś daleko, w Warszawie, ktoś wreszcie będzie musiał coś napisać o mnie. Bo jak długo można przemilczać. Powstanie jeszcze jedna cegła. Materiał szkoleniowy prop-agit dla ludzi, którzy myślą tak samo jak Flemming. Może odbędzie się parę zebrań protestacyjnych. Przecież, jak mi o tym doniesiono, sam Gomułka — czy nie za wiele zaszczytu — nakazał dochodzenie.

Mam za sobą dwie książki, kilka artykułów. I zbyt wielu czytelników w Polsce, żeby można było sprawę przemilczeć. Trzeba coś napisać, ale co? Książka jest zbyt prawdziwa: trudno

ją ruszyć. Zostaje dywersja. Stary pomysł. Może Fleming to przez Amerykanów opłacony szpion? a może przez Brytyjczyków albo zachodnich Niemców. A może agent Zarządu Drugiego? I tak źle i tak niedobrze. Jeśli Zarząd Drugi — to jego rewelacje są co najmniej wiarygodne. Jeśli imperialistyczny agent — jeszcze gorzej. Aż tyle wiedzą. Nie zazdroszczę temu, komu zlecono to niewdzięczne zadanie.

Najpierw był stalinizm. Potem optymistyczne czasy odwilży, wreszcie Październik. A później? Jak długo wolno się łudzić nadziejami? Pół roku? Rok? Są jeszcze ludzie, którzy wyznają filozofię: *right or wrong, my country*. Czy szczerze. Czy ztracili poczucie dystansu do spraw kraju? A może to tylko oportunizm: zarobić ile się da i ułożyć sobie życie jak najwygodniej.

Wiedziałem, domyślałem się, czym była moja pierwsza książka dla krajowego czytelnika. Ale chyba dopiero w Maisons-Laffitte, po lekturze wielu, bardzo wielu listów — dotarło do mnie jej pełne znaczenie. Czy ja jestem „dywersantem”? Jak dziwnie zmieniają się szufladki. Ja uważam, że dywersantami są z Moskwy naślani, przez nią umacniani władcy dzisiejszej Polski. Czy ktokolwiek w przedwojennej Ojczyźnie byłby zdolny pomyśleć, przyjąć, że kiedykolwiek może powstać Polska komunistyczna? 10.000 komunistów (zdaje się, że powiedziałem im komplement) przedwojennej Polski nie byłoby w stanie objąć władzy w tym kraju. Jak do tego doszło? Aż zbyt wiele się na ten temat napisało — nie będę powtarzał za dobrze znanych faktów. Ale jak mogło dojść do tego, że w dzisiejszej Polsce żyją ludzie, którzy stracili swych ojców i braci w Katyniu i na Syberii, na Wyspach Sołowieckich, Nowej Ziemi, w Workucie — i pracują z panującym reżymem? Wiele da się wyjaśnić wspomnianą wyżej filozofią, koniecznością fizycznego przeżycia, tysiąckilometrową granicą ze Związkiem Radzieckim. Ale czy wszystko? 50 lat komunistycznego terroru u wschodniego sąsiada nie stworzyło tam jeszcze ludzkich warunków życia. I jeśli przy okazji pierwszego sputnika konfiskuje się numer „Świata”, w którym łapciaty muzyk z otwartą gębą gapi się na sztucznego satelitę — to chyba przecież dlatego, że ta satyryczna wizja zawierała aż zbyt wiele prawdy o Pierwszym Kraju Socjalizmu.

Trudne i coraz trudniejsze warunki ekonomiczne w kraju, brak pracy, zamrożenie etatów, wszechobecność państwa i partii — to jest jakieś wytłumaczenie. A więc jednak sprawa fizycznego przeżycia. Ale na jak długo? Czy jeszcze raz — tak jak w Październiku — dojdzie do porozumienia między intelektualistami, studentami i robotnikami?

◆

Myślę, że jest mi wszystko jedno, co napiszą w PRL o Flemmingu, bo książki pozostaną. Myślę, że i Instytutowi Literackiemu jest też obojętne, co na jego temat napisało się już i napisze w przyszłości. (Chruszczow powiedział: ja zaczynam się martwić, kiedy wróg mnie chwali). Nie będzie miało to żadnego wpływu na poczytność „Kultury” w Polsce. A jeśli, to chyba tylko odwrotny, niż tego spodziewają się w KC PZPR. Ludzie w Polsce potrafią czytać swoją prasę. I między wierszami także. I nic nie umniejszy wpływu, jaki miały moje książki na krajowego czytelnika.



Zlikwidowałem już wszystkie krajowe kontakty. Zamknąłem kanały. Nadszedł czas ujawnienia, gdy już nikt w Polsce nie może być zagrożony.

Flemming jest na Zachodzie i pisze swą trzecią książkę, pod tytułem takim, jak niniejszy krótki artykuł. Za dwa miesiące goniec drukarni zabierze złamane korekty.

Jeszcze raz rozbłyszną neony Alej Jerozolimskich, zapyta o paszport wschodnio-niemiecki pogranicznik. Flemming będzie jechał na Zachód.

Pisane w Paryżu.

George J. FLEMMING

Z notatnika dyletanta

*... z kraju... gdzie na nikim żaden
kołnierzyk nie leży...*

Witold Gombrowicz: „Ferdydurke”.

DYLETANTYZM. Ponieważ nie mam wykształcenia filozoficznego, socjologicznego, historycznego, ani w dziedzinie nauk politycznych, zaś myślę nieustająco o filozofii, socjologii, historii i polityce, przeto przyjąć trzeba, iż myślę nieprawidłowo i niezgodnie ze zdobyczami tych dyscyplin. Popadając w nałóg uzewnętrzniania mych myśli narażam się na słuszny zarzut dylentantyzmu. Mimo to, zakładając, że me przesłanki i wnioski odznaczać się będą dowolnością, postanowiłem je spisać i przetkać reminiscencjami z zakresu prostego doświadczenia (po imieniu i nazwisku), w czym jestem mocny. Nigdzie bowiem nie jest powiedziane, że dyletant nie ma nic do powiedzenia.

ROMANTYZM I MORALNOŚĆ. Od wielu dziesięcioleci, a nawet dłużej, Polacy mylą postawę romantyczną z postawą moralną. W równym stopniu przywódcy i lud, jak krytycy jednych i drugich. W końcu tak im się wszystko miesza, że zgadzają się na każde łajdactwo i każde, choćby najbardziej tandetne, odpuszczenie win nazywając to politycznym pragmatyzmem, a czasem nawet i racją stanu.

ZAWIŁOŚCI MORALNE. Zachód mówi: — Te zawiłości moralne, którymi nas częstujecie, które tłumaczycie mętnie i namiętnie, mało nas obchodzą. Wydają nam się nieprzenikalne, nie rozumiemy ich, nie widzimy potrzeby orientowania się w nich... —

A więc niech się Zachód uczy je rozumieć. Może się to Zachodowi przydać. W gruncie rzeczy nie są aż tak trudne. W okupowanej Francji, Danii, Norwegii ludzie dobrze wiedzieli komu podawać rękę, a komu nie, jeszcze długo po okupacji. Zawiłości moralne decydują o przyszłości świata, w każdej epoce określają epokę następną. Komuniści są do takich rozgrywek świetnie przygotowani, ich etyka jest ich śmiercionośną bronią. Tylko w tych krajach gdzie komunizm zdołał naruszyć rozeznanie dobra i zła, prawdy i fałszu — jest on autentyczną groźbą dla ludzkości.

POTĘGA MAŁOŚCI. Jak wielu jest w Polsce łajdaków, szalbierzy, szmirarzy i cynicznych arraywistów, którzy przetrzymali wszystkie etapy gnojąc dobrych i mądrych samą swą obecnością, bez ryzykownych gestów! Ci wszyscy, których nikczemności nie była w stanie zmóc nawet komunistyczna kolonia karna, marksistowska „żelazna dziewica”, najokrutniejszy w dziejach młyn do przemiału przeznaczeń. Zawsze potrafili rozkwitać pomiędzy morderczymi kolcami i druzgoczącymi kamieniami, ich małość wciskała się skutecznie między zęby bestii, ich płaskość była na wagę złota w komunistycznej maszynierii powodzenia, ich bezwartościowość okazała się walorem. Postanowili uwić sobie wygodne gniazdko w kraterze wulkanu. I uwili. Skąd dziś mrugają do świata, że są prześladowani za wrodzoną dystynkcję, za wykrint uczuć i subtelność myśli.

TRZECI KOMUNIZM. Wśród innych cech — wygląd ulicy i dziewcząt, dancingi i teatry, moda, mieszkania i sposób rozmowy są zdaniem zachodnich korespondentów wykładnikami Trzeciego Komunizmu w życiu codziennym. Jest to prawidłowa, choć powierzchowna, obserwacja symptomów. Przypisuje się je relatywnemu liberalizmowi, który stanowi konsekwencję tzw. narodowego komunizmu i stopniowego uniezależniania się od rosyjskiej centrali ideologicznej. Tymczasem, w istocie swej, są one

specyficzną sub-kulturą, istniejącą od zarania demoludów, której post-stalinowska odwilż nadała tylko znamiona jawności i powszechności. Ta sub-kultura jest z kolei, choć w pewnej mierze tylko, produktem społecznej klasy posiadaczy, czy profitantów, która stanowi zjawisko specjalne i jedną z głównych cech Trzeciego Komunistu. Jak każda inna *upper class* ma ona swoje maniery, sposób ubierania, sympatie artystyczne i rozrywkowe przenikające do reszty społeczeństwa jako pożądane i naśladowane wzory, nakazy mody. Posiada też swój *jet-set*, ogólnie podziwiany i obmawiany. Zachodni korespondent dostrzega elegancję kobiet i osobiście swobodny teatrzyk satyryczny (który wydaje mu się niewygodny dla *régime'u*, co jest nieporozumieniem), ale nie kojarzy tych zjawisk z istnieniem określonej grupy społecznej, która je produkuje jako swoją sub-kulturę, wyrażającą jej potrzeby i postulaty. Tym bardziej więc geneza, funkcjonowanie, moralność i wpływy tej grupy pozostają dlań najczęściej tajemnicą.

ŚWIADOMOŚĆ EUROPEJSKA. W Europie ci, którzy mają mniej niż 30 lat, mają też inną koncepcję nacjonalizmu, czego nie są w stanie pojąć ci, którzy liczą powyżej 50 i wrośnięci są w znaczenia narodu obowiązujące tradycyjnie przez ostatnie dwa stulecia. Granice, polityka zagraniczna, równowaga wpływów, gra wywiadów, roszczenia terytorialne, duma narodowa, atawistyczne związki, znaki i symbole — to dla tych poniżej 30 mydło. Mają głęboko wbudowane w świadomość, że w sprawach tych nic nie mogą. W Polsce część ich ewentualnie zechce umierać za wolność i tzw. sposób życia, część (karykaturalnie mniejsza) za socjalizm, ale nikt nie myśli („bądź poważny!...”) umierać za Wrocław, Szczecin, Lwów, czy Wilno. Niepodległość jest to termin straszliwie mętny dla młodego Polaka: trochę jest, trochę jej nie ma, po co używać słów, których sens trudno jest ustalić, a w ogóle, czy to takie ważne? Co nie znaczy, że nacjonalizmy wybyły z obrazu życia. Są inne, bardziej racjonalno-samochodowe. Każdy wie, że Niemcy to Niemcy i nie ma co się z nimi obejmować za szyję, ale Mercedes to duża rzecz i też nie ma od niej apellacji.

POSTĘP. W 1964 roku w polskich kawiarniach i restauracjach dzielono serwetki na pół. Na zaoszczędzonym w ten sposób papierze drukowano partyjne gazety. Partyjni dziennikarze pisali w nich o tym jak przed wojną na Polesiu chłopci z nędzy dzielili zapałki na pół. Za zarobione na rekonstrukcji tej prawdy wierszówki szli do Klubu Dziennikarzy, zjadali suty obiad i obcierali usta przedzieloną na pół serwetką. To się nazywa postęp.

LUD. W dawnym kapitalizmie lud chciał chleba i sprawiedliwości. W dzisiejszym kapitalizmie lud chce samochodów i głupszych programów w TV. Ponieważ w naturze nic nie ginie, więc w komunizmie lud chce znów chleba i sprawiedliwości. Tylko, że tym razem nie ma żadnych szans na to, ażeby kiedykolwiek chcieć czegoś innego.

RAJ. Komunizm jest prawdziwym Eldorado dla hochstaplerów, aferzystów, oszustów, niebieskich ptaków wszelkiego kalibru. W kapitalizmie zarobkowanie przy pomocy nadużyć wymaga sprawności umysłowej, przebiegłości, rozumu delikatnego i sprężystego, rozmachu i inwencji twórczej. Wiąże się ponadto z ryzykiem. W komunizmie sprowadza się najczęściej do prymitywnej deklaratywności. Nieudolne kłamstwo, prostackie przeinaczenie, kilka słów bez pokrycia, grubo szyty fałsz wystarczą do oszałamiających sukcesów i dochodów. Kombinator w kapitalizmie westchnąłby tylko z melancholijną zazdrością przyglądając się swym polskim kolegom i łatwości warunków w jakich pracują.

Królem polskich aferzystów jest niejaki Jan Karol Wende. Działą on w oparciu o najbanalniejszy, odwieczny „numer” warszawskich wydrwigroszy sprzedających coś czego nie posiadają — tramwaj, kolumnę Zygmunta. Ten handel zaprowadził Wendego na szczyty materialnego powodzenia. Nie do wiary jakie miliony w polskiej i obcej walucie wyciągnął on z niewielkiej firmy pod nazwą Stronnictwo Demokratyczne, wyzbytej od początków istnienia jakichkolwiek aktywów finansowych, czy towarowych. Co zadziwia w tym obrocie to genialność Wendego, który dokonuje tzw. podwójnego tachlu, bo w ramach swych usług wystawia do wiatru zarówno oszukiwanego, jak i oszukującego. Zadaniem Wendego, na zlecenie komunistów, jest rolowanie społeczeństwa, mydlenie oczu fikcyjnym ugrupowaniem politycznym sprzymierzonym z komunistami, lecz od nich jakoby niezależnym, jakoby reprezentującym interesy rzemiosła, inteligencji i drobnomieszczaństwa. Społeczeństwo jednak nie bardzo dokłada do tego interesu, po prostu w swej masie nie ma zielonego pojęcia o istnieniu Stronnictwa Demokratycznego, nie wie i nie chce nic o nim wiedzieć. W 1964 przeprowadziłem mały prywatny *quiz*: spytałem około 50 osób w Warszawie — studentów, panie z towarzystwa, muzyków, kelnerów, i td. — kto to jest Wende. Nikt nie wiedział prócz pewnego starszego wiekiem taksówkarza, który odparł, że przed wojną była taka apteka na Krakowskim. Tymczasem Wende jest *leader*’em swej partii, posłem na Sejm, członkiem różnych ciał państwowych i odwiecznym „przedstawicielem” Polski w międzynarodowej unii parlamentarnej. Ta ostatnia, całkiem groteskowa funkcja jest głównym

źródłem finansowej *prosperity* i początkiem strat społeczeństwa, zważywszy ile pożytecznych przedmiotów dla polskich szpitali zakupić można byłoby za dewizy obrócone na pseudo-parlamentarny kabotynizm Wendego zagranicą. Naczelnym wyrolowanym okazuje się jednak K.C., ładujący w Wendego krocie za nic, zero, kompletny brak amortyzacji, podczas gdy stragan stoi, licznik bije i Wende zaciera ręczki. Znaleźć takiego jelenia na tak długo!

Niezniszczalny wice-minister spraw zagranicznych Winiewicz jest klasycznym eksponentem innej metody wyłudzeń, tzw. na grzeczność. Droga jaką przedwojenny redaktor konserwatywnego i katolickiego dziennika w Poznaniu wędruje na szczybel komunistycznego super-dyplomaty nie jest zbyt jasno oświetlona. Nie w tym jednak rzecz. Istota „numeru” Winiewicza tkwi w jego nadnaturalnej prolongacie — na ogół dostaje się wynagrodzenie pod postacią spektakularnej kariery, lecz na krótko. Tymczasem Winiewicz trwa. Komunizm rosyjski znał czerwonych arystokratów, którzy przyszlusowywali z przekonania i płacili własną głową za nieuchronną w końcu różnicę zdań z Leninem, Dzierżyńskim, czy Stalinem: traktowali swe światopoglądowe wołty boleśnie i na serio. Winiewicz, Wende i im podobni sprzedają swoją udatnie inkorporowaną przedwojenną z cynicznym żarciem: nie zamierzają się nigdy o nic sprzeczać, ich rzeczą jest rozplątać się w zachwytach, brać w kieszeń i chwalić swoje piękne życie. Akceptować bezwarunkowo i dorabiać sofistyczną, dość bezczelną kazuistykę, na którą społeczeństwo patrzy z rozbawionym politowaniem — o co właśnie Winiewiczom i Wendom najbardziej chodzi. Marzą o tym, żeby ich nie traktować na serio, żeby niczego wokoło nie traktować na serio, że niby to wszystko od 1945 to jeden wielki, nieprzytomny kawał, z którego dziwnym trafem oni coś mają — jakieś honory, order, samochodziki, wielopokojowe mieszkanka, firaneczki z Nowego Jorku, talerzyki z Florencji. Albowiem wiedzą aż za dobrze, że komunizm jest nieobliczalny i zawsze jest w stanie zmontować taką potworność i kłamstwo, że tylko błazeństwo i lokajstwo uratować może błaznów i lokajów. Najgorsza zbrodnia to nie ich sprawa, to nie coś, co przeszkadzałoby w pozostaniu na stanowisku czy posadzie. Zgadzać się ze wszystkim z pozycji własnej niepoważności — cóż za wygoda! I cóż za wyczyn w historii przecherstwa! Nazwiska Wendów, Winiewiczów, Chajnow, Wycechów, Ignarów, Kulczyńskich, Michałowskich i licznych luminarzy „polityki”, dyplomacji, prasy, literatury, filmu to złota księga współczesnego farmazonstwa. Gomułkę, Kliszkę, Moczarę coś jeszcze łączy ze stereotypem rewolucjonisty, proletariusza, byłego (lecz na serio) eksploatowanego. Nikt mi natomiast nie

wmówi, że Winiewicz i Wendowie mają coś w najmniejszym stopniu wspólnego z wyzwoleniem społecznym i walką wyzyskiwanych o chleb i godność — jak mawiał mój przyjaciel Marcel Vanier, francuski komunista zakatowany przez Niemców. Wystarczy na nich spojrzeć.

KRZYWDA SPOŁECZNA. Komunizm wypełnił rządzone społeczeństwa krzywdą w nieznanym od czasów wczesnego lesseferyzmu natężeniu. Jest to krzywda powszechna i na codzień. Jej naturą jest jej skomplikowanie i nieprzekazywalność, wobec których przejrzysta prostota cierpień proletariusza sprzed 100 lat wydają się powiastką dla maluchów. Jak wytłumaczyć udręki rodziny czekającej dwadzieścia lat na mieszkanie? Słabości gospodarczego niedorozwoju są tu przecież zaledwie mniej ważką częścią prawdy. Co uczynić z inwalidą, któremu państwo komunistyczne zabiera kiosk z papierosami za niezapłacone, nieludzkie podatki? niesprawiedliwość jest jak tlen w komunizmie: kto chce osiągnąć równowagę ducha musi zapomnieć o niej aby oddychać. Komunistom przychodzi to łatwiej, wierzą, że obecna niesprawiedliwość służy przyszłej sprawiedliwości. Ale jak to wyjaśnić rzemieślnikowi, któremu urząd skarbowy nie zezwala na wyrób protez, o które błagają chorzy?

„**KREMLINOLOGISTS**”. Tak nazywają się w Ameryce specjaliści od komunizmu. Uniwersytety są ich pełne. O Polsce wiedzą mnóstwo. Co drugi jest w stanie cytować bezbłędnie stan pogłowia przed, w czasie i po planie sześcioletnim. Wiedzą także co to jest miesięcznik „Gospodarka Hodowlana”. Ale nie mają pojęcia kiedy jest szynka w sklepach i jak ją dostać. A my w Polsce odwrotnie.

POGARDA DLA NOŚNOŚCI IDEJ. Błędem Amerykanów, emigracji i innych przyjaciół wolności było, że w 1956 zrezygnowali ze zbudowania jakiejś wspólnoty ideowej w Polsce, kraju laboratoryjnym, gdzie kształtowała się koncepcja komunizmu zmodyfikowanego, bezszmerowego, o ulepszonych synchronizacjach w systemie i obyczaju władzy. Było to trudne i delikatne, ale do zrobienia i niezwykle opłacalne, bowiem jak przyszłość pokazała doświadczenie polskie obowiązuje w mniejszym lub większym stopniu cały obóz. I nadal przyjaciele wolności nie są w stanie pojąć że w dobie wojen ideologicznych jedyną prawdziwą bronią jest więź ideowa, o czym doskonale wiedzą nieprzyjaciele wolności. Dla komunistów skarbem i najcudowniejszą głowicą atomową jest drugi komunista, Wenezuelczyk, czy Malgasz. Amerykanie, a wraz z nimi Wolna Europa, uwierzyli w nadrzędność polityki, w samą politykę, podczas gdy tylko ideologia, mimo kry-

zysów, ciągle jeszcze uruchamia ciąg konsekwencji, wobec których polityk stoi zdumiony i bezradny. Słudzy wolności zakładali podwówczas, że działa dla nich automatycznie katastrofa systemu, że każdy niezadowolony jest ich człowiekiem; ponieważ zaś, ich zdaniem, społeczeństwa te składały się prawie z samych niezadowolonych, wobec tego dobra nasza. Wzięli się więc intensywnie do przekonywania nielicznych zadowolonych o tym, że jest im nie dobrze, albo, że czynią źle. „Pozyskujemy wpływy!” — zabrzmiało hasło neo-pragmatyzmu. — „Demoralizujemy ich naszym bogactwem i naszą słusznością. Usiądźmy przy wspólnym stole i wykazujmy im, że nie mają racji, a będą ewoluować w naszą stronę, zaś cała Polska stanie się wylęgarnią przeobrażeń...”

Pięknie, tylko po co? Historia nie zna wypadku, ażeby zadowoleni profitanci wnieśli cokolwiek do walki o moralną słuszność. A przecież o to tylko chodzi. Dziś widać wyraźnie degrengoladę owych założeń sprzed 11 lat, obojętność społeczną i tumiwizizm. Przyjaciele wolności, narodowych komunistów, liberalniejszego Cyrankiewicza, Schaffów i Rakowskich, nowej generacji pragmatycznych marksistów... Pies im mordę ślinił (tak sobie myślą liczni w Polsce), o co tu się bić? Nie klawiej zawałczyć o wakacje w Bułgarii? Boję się, że nie łatwo przyjdzie to komukolwiek odkręcić, a strata duża.

ANTYSEMITYZM. Pewien antysemita powiedział mi: — Świat jest przedmiotem rozgrywki pomiędzy dwoma rodzajami Żydów: wierzących w prawdę i wierzących w sprawiedliwość. — Czy wiara w tak piękne rzeczy — spytałem — może być przyczyną nienawiści? — Nie powinna — westchnął — ale jej intensywność daje fatalne rezultaty. Więc co robić?

GOMUŁKA. Swoją krótkotrwałą karierę w uczuciach Polaków Gomułka zawdzięcza wspaniałe opracowanej metodzie dawania do zrozumienia, że inaczej nie można. Starczyło to na rok popularności, w czasie którego każdy powtarzał, że on musi. Lecz później trudno było uwierzyć, że on musi kłamać, musi więzić, musi kneblować, musi oszukiwać stolarzy i musi krzywdzić emerytki otrzymujące paczki od krewnych.

KOMISJA. Konflikt pomiędzy człowiekiem a komisją jest kluczowym zagadnieniem komunizmu. Kolegialność w tym ustroju jest próbą wymazania odpowiedzialności ze stosunków społecznych. Przed wojną były rady nadzorcze i zbudowano Gdynię. Po wojnie są komisje i zbudowano Nową Hutę.

COCKTAIL U BEAME'A. Jacob Beam był ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Warszawie. Na przełomie lat 60-tych nikt

już prócz Gomułki i jakichś bliżej niezidentyfikowanych fanatyków nie wierzył w sens, ani w powagę całej imprezy. Wiadomo było, że pierwszy szkic się nie udał i nie ma co rysować dalej; można się co najwyżej ostentacyjnie bawić ołówkiem, żeby nie robić niepotrzebnych przykrości sowieckim tankistom koło Legnicy. Natomiast kilkadziesiąt tysięcy ludzi na 30 milionów ciągle jeszcze świetnie żyło na zasadzie prostej okoliczności, że nawet wielkim żadnym niczym trzeba rządzić, administrować, pisać o nim rozprawy, książki i piosenki. W tych warunkach ambasador Beam wydał cocktail na cześć Podkowińskiego.

Był to festiwal absurdu. Byłem tam i dziś jeszcze, po 7 latach, nie mogę się ocknąć ze zdumienia. Beam, chudy Yankes z Nowej Anglii jak z karykatury Wuja Sama, emablował Podkowińskiego, utoczonego na zachodnim chlebie kombinatora w służbie K.C. Śladem szefa zbaranieli amerykańscy dyplomaci pieścili naokoło sprzedajnych dziennikarzy i pracowników frontu ideologicznego, którzy przed czterema laty zrzucili z siebie w popłochu stalinowskie kurtki, przycupnęli cichutko na chwilę, niepewni czy nie będzie się ich wieszać za nogi z MDM-owskich gzymsów, po czym wraz z Gomułką wychynęli z powrotem na światło dzienne, przebrani we włoskie kołnierzyki ze służbowych podróży, i zaczęli gorączkowo koegzystować. Beam i Amerykanie działają według wyuczonych żmudnie na kursach dla dyplomatów mądrości: pozyskujemy elitę, nigdy nie wiadomo kto jest kim i czym może zostać po następnych wyborach (?), przemianach, przesunięciach; zapraszamy ich, załatwiamy im stypendia i luksusowe podróże, pobyty w Harvardzie i Kalifornii, nigdy nic nie można przewidzieć, dyplomacja to ryzyko, stawianie w ciemno, dotykane ukrytych wrażliwości, zaszyfrowanych prądów opinii społecznej, zmiennej gry wpływów.

Nie ma takiej siły, żeby Amerykanie rozróżnili najoczywistszą rzeczywistość, o której wie każdy ślusarz czy buchalter w Polsce, a mianowicie, że ci kolosalni redaktorzy okupują swe stanowiska nie dzięki swej jakości, tylko dzięki swej nicości, którą żonglują tak zręcznie, iż wydaje się znaczeniem, zdolnościami, potencjałem jakichś możliwości. I że ci co naprawdę znaczą, nigdy się przy kawiorze i whisky z Amerykanami nasładzać nie będą, żeby nie wiem jaką koegzystencję nakazywali głosić swym własnym pieczeniarkom, wypożyczonym w ramach przypudrowanej zimnej wojny na cocktaile Amerykanom. Podkowiński i kilku takich samych otacza Beam'a pośrodku odremontowanej sieni pałacyku na Kościelnej (też ulica do takich zgromadzeń!). Konwersują uroczo, krytykują wszystko i wszystkich, eksponują swój liberalizm, humanizm, tolerancję, dając dyskretnie do zrozumienia, że są za zmianami, za wolnością, za przyjaźnią. Sugerują solen-

nie, że walczą niezmordowanie o te rzeczy, ale Beam — zorientowany, wytrawny, doświadczony — wie przecież jak jest, że to nie takie łatwe, że nie można tak wprost, że trzeba ostrożnie i okrężnie, że należy zrozumieć ich sytuację, pozorne ustępstwa pod presją i właściwy kierunek wysiłków. Po czym wracają do swych biur współpracy z zagranicą i do swych redakcji i piszą podle łgarstwa, bezsensowne oskarżenia przeciw swym wczorajszym amfitrionom, niezłomnie apoteozują to co szyderczo wyśmiewali wczoraj. Przy ponownym spotkaniu z Beam'em spoglądają nań z wyrazistym smutkiem: wszak on już wie do czego oni są zmuszani! To co czyta opatrzone ich nazwiskiem o sobie i o swoim kraju nie ma nic wspólnego z ich prawdziwą opinią, sądem, zdaniem, jest ohydny gwałtem i wymuszeniem, przed którym się bronią i które w końcu przezwyciężą, lecz nie od razu. Beam musi mieć cierpliwość, współczuć im, wierzyć im, rozumieć ich, kochać ich, dawać gin & tonic, stypendia, zaproszenia, wyjazdy, bo tak będzie lepiej i w ogóle w imię wspólnej kultury i cywilizacji, do której wszyscy przynależymy i która jest pomostem pomiędzy sztucznie wykopanymi różnicami. I Beam kocha, wierzy, szanuje, daje, co zaś najgłupsze: ciągle spodziewa się, że oni coś znaczą, że on prowadzi jakąś grę (polityczno-dyplomatyczną), że mimo wszystko opłaca się z nimi grać.

Bill Griffith z Massachusetts Institut of Technology powiedział mi kiedyś w Polsce; — Dziwne i nie bardzo wiem, co o tym myśleć. Rozmawiałem z Podkowińskim, oświadczył mi, że podczas wojny był majorem A.K., zaś za Stalina siedział w więzieniu. Co ty o tym sądzisz? — Odparłem, że nie wiem jak tam było za okupacji, są rzeczy na ziemi i niebie, o których już p. Shakespeare miał mętne pojęcie, lecz nie wydaje mi się, żeby Marian Podkowiński, przedwojenny reporterzyna filmowy od wywiadów z Brodziszem i Bogdą, objawił się naraz jako major pod komendą gen. Grota. Ale nie wiem, nie mówię tak, ani nie. Natomiast wiem jak było za Stalina. Jeszcze za wczesnego Bieruta Podkowiński pojechał do amerykańskiej strefy w Niemczech i został tam do dziś. Co robi poza korespondencjami dla „Trybuny Ludu”, że go tam tak namiętnie trzymają, tego znów nie wiem, ale wiem co pisywał przez te lata, i wiem, że nikt od czasów Goebbelsa nie psuł dokładniej stosunków polsko-niemieckich i lepiej nie anulował każdej szansy na ich naprawę. Kolejny pacholek — lub jak chcą delikatniejsi: rzecznik — Stalina, Gomułki, Bermana, Bieruta, Ochaba i znów Gomułki, łąał w druku na rozkaz Politbiura, firmował każdą machinację, przemilczał najoczywistsze, lecz niezgodne z linią symptomy, oczerniał uczciwych i wybielał SS-manów w służbie Ulbrichta. Ciągłość materialnego dobrobytu (20 lat pobytu na Zachodzie za dewizy

Narodowego Banku Polskiego!) Podkowińskiego jest wyczynem imponującym, nawet wśród Winiewiczów, Michałowskich, Osmańczyków. Uwięziony za Stalina? Najbliżej więzienia (4 ulice od Mokotowa) znalazł się, gdy Cyrankiewicz (przyjaciół i protektor) ofiarował mu zaciszne *pied-à-terre* na Filtrowej, w 1951, czy 1952 (ówczesna norma zagęszczenia: 2 rodziny na pokój z kuchnią), w którym odpoczywał po trudach pobytu na Rivierach i w St. Moritz wśród dziewcząt zwabianych tam przy pomocy koniaku i pończoch z Planu Marshalla, którego szkodliwość dla Polaków propagował gorąco w prasie partyjnej. Cóż za pole dociekań dla psychologa! Jakież kompleksy i frustracje każą temu człowiekowi o twarzy prosięcia, z której sterczy cieniutki, chorobliwy nos, podawać się za oficera A.K. i więźnia Stalina? Sublimacja marzeń? Sen o szpadzie? Zdziwiał ów komunistyczny przemiał psychiczny i zaskakuje bogactwem duchowych substruktur. A jednocześnie tkwi w tym coś pocieszającego, że zawodowi, doskonale wynagradzani opluwacze nie potrafią zdobyć się na otwartość wobec siebie samych i śnią o sobie jako o elfach, igrających niewinnie wśród kwiatków, ziół i motyli.

ZAGADKI MECHANIZMU. Obserwatorzy z zewnątrz zauważają bez trudu, że wszyscy w komunizmie są przeciw niemu. Przytłaczająca większość ludzi sądzi tam, że żyje w najgorszym systemie społecznym stworzonym przez człowieka w historii. Co najmniej połowa idzie dalej i uważa, komunizm za produkt zwiedzonego na manowce umysłu ludzkiego, dzieło wprawdzie ludzkiej woli, lecz stanowiącej igraszkę i pośmiewisko demonów, wcielone Zło, arcytwór szatana i ciemnych sił samozniszczenia, dochodzących tu i ówdzie od czasu do czasu do głosu; człowiek obowiązany jest przez naturę go nienawidzieć, jak nienawidzi się instynktownie chorób, nędzy, starości i pełzających niewidzialnie w trawie węży. Toteż mieszkańcy palonej przez komunizm ziemi nienawidzą go smutną, rozpaczliwą, zrezygnowaną nienawiścią, której barwy i natężenia nikt z zewnątrz nie jest w stanie rozpoznać. Tym bardziej, że w oddaleniu od komunizmu nienawiść ta dekomponowana jest przez niejasne, ludzkie słabości.

Zło złem, ale żyć trzeba. Więc ludzie urządzają się w łonie zła. Ma to wyłącznie negatywne konsekwencje, zarówno w sensie ontologicznym, jak moralnym. Do czynnej walki ze złem zdolna jest tylko niewielka garstka, ogromna reszta uważa ją za bezskuteczną i bezcelową. Komuniści nazywają ten stan rzeczy socjalistycznym uświadomieniem. Bezwolność ofiary wobec własnych okaleczeń ma i inne następstwa: gdy ktoś chce piętnować częstokroć spotyka się z niechęcią maltretowanych. Jest to odruch przedziwny, rzadko notowany w historii społeczeństw, w rodzaju

zgody krzyżowanego na krzyżowanie z pobudek nie mających nic wspólnego ze zbawieniem, odkupieniem, wiarą, ofiarą, czy poświęceniem. Komuniści nazywają to wysokim poziomem uświadczenia. Zaś obserwatorzy z zewnątrz dziwią się i narzekają, że nikt się nie przeciwstawia, i coś im się nie zgadza w rachunku, skoro wszyscy (słusznie!) są przeciw komunizmowi?

NIEDOMOGA. Świat zna prześladowania i zbrodnie komunizmu, ale ma katastrofalnie słabe pojęcie o tym, co komunizm robi z człowiekiem bez prześladowań.

TRWONIĆ ŻYCIE? Co to znaczy? Czy trwonią życie ci, którzy nie zostawiają po sobie ani dzieci, ani dzieł? Jak można przekonać się o tym, że się życia nie strwoniło? Kiedyś dowodem był majątek, spokój i godność starości, przedłużenie gatunku, pozycja, nazwisko. A dziś? Majątek nie jest konieczny do spokojnej starości, wnuki — przy zagrożeniu atomowym i wyżu demograficznym — to wątpliwe osiągnięcie. Pozostaje udział w wielkich sprawach, świadomość własnej przydatności, wkład w budowę, własna część w kolektywnych dokonaniach. Na przykład: industrializacja, budowa socjalizmu, wznoszenie nowych miast, przeobrażanie zacofanych społeczeństw. Ciekawe, co znaleźć można w tym względzie w duszy postarzałego, lub umierającego komunisty? Czy ma on poczucie udanego życia, czy odwrotnie? Czy powtórzyłby raz jeszcze *to* wszystko od początku, gdyby był w stanie? Nie sztuka jest umierać w ogniu walki z okrzykiem „Niech żyje!”, lub wobec egzekucyjnego plutonu. Sztuką jest wznieść ten okrzyk na wygodnym łożu śmierci, dysponując czasem na pełnię świadomości, pomyśleć, że nikomu się niczego nie zazdrości, że wszystko w życiu zrobiło się tak, iż można umierać z zadowoleniem.

URZĄD. Komunizm zrujnował stosunek Polaków do urzędu: urząd jest dla nich symbolem i siedliskiem bezsensu i niemoralności, nic odeń dobrego przyjść nie może, trzeba go nienawidzieć, bać się, oszukiwać go. Stulecia będzie za mało, ażeby to odrobić.

JESZCZE O KRZYWDZIE. Zawsze fascynowała mnie krzywda, jej korzenie i skutki, niesprawiedliwość i zła siła, albo siła w służbie zła i jej bezkarność. Wielka literatura o komunizmie zaczyna się od chwili, gdy temat tragedii komunistów, autodegradacji i samounicestwienia rewolucji, ustąpi prostej relacji o przemocy i krzywdzie. Jak u Sołżenicyna.

BEZRADNOŚĆ LITERATURY. Głód, nędza, przepaść materialna znikły z twórczości po II wojnie światowej. Upadek spo-

łeczny i płynąca zeń niedola wybyły z powieści i dramatu zastąpione przez samotność, obojętność jednego „ja” wobec drugiego „ja”, zbrodnię, nudę, dezintegrację więzów, trwogę i zagubienie w piekle nadbarwności, w niewoli technicyzacji, w fantasmagorii struktur. Rzecz jasna, głód i nędza mogłyby być doskonałym tworzywem dla literatury komunistycznej, cóż z tego, kiedy nie wolno. Trzeba przyznać politycznym nadzorcom w komunizmie dalekowzroczność, wykształconą na błędach poprzednika. To właśnie literatura przyczyniła się walcie do eliminacji głodu i nędzy z zachodniego obrazu życia i stanowiła odwieczne zagrożenie polityków. Stąd wniosek, że lud winien ruszyć na barykady za wolność literatury. Ale jak mu to wyjaśnić?

ZŁO POKARANE I ZAADAPTOWANE DO WARUNKÓW. Pouczająca jest historia niejakiego Antoniego Marianowicza, który w okresie średniego bierutyzmu (1949-1952) uprawiał zawód centralnie kierowanego satyryka. Na rozkaz K.C. partii pastwił się nad amerykańskim stylem życia, kułakiem i bumelantem, z uniżonym uśmiechem na wargach, który oczywiście wydawał mu się uśmiechem sceptycznej wyższości nad chlebobdawcą. W zamian za rymowanie kłamstw o Dullesie i spekulantach otrzymywał hojne wynagrodzenie, za które zakupywał wielkie ilości mięsa u tych samych spekulantów, których smagał szyderstwami, ściągając na nich wzmożone prześladowania za kontrrewolucję. Ludność pozbawiona była podówczaś mięsa w wyniku socjalistycznych planów gospodarczych, wielbionych w utworach Marianowicza, on zaś sam, żyjąc w luksusach, mógł sobie pozwolić na codzienny obiad mięsny, co stało się przyczyną śmierci jego żony — która mu niegdyś ocaliła życie — zatrutej trychinami z nielegalnego uboju. W ten sposób los ostrzegł go przed niegodziwie zdobywanym zbytkiem, lecz Marianowicz nie okazał skruchy, tylko ożenił się powtórnie i nadal uprawiał swój proceder, a gdy zabłysła zorza gomółkowszczyzny wziął się za przekładanie amerykańskich musicali na język polski, czyli ustroił się w cudze piórka, zaś w końcu Amerykanie dali mu stypendium i zaproszenie do Ameryki.

Morał tej historii jest ponury i dotyczy żałosnego zaniku precyzji w metafizycznym mechanizmie nagrody i kary. Kiedyś ręka Boska karała nieomylnie, przekonała się o tym pani, która zabiła pana i wielu innych grzeszników. Owszem, Amerykanie, wycierając plwociny Marianowicza z własnego oka z idiotyczną uprzejmością i dając mu za to dolary, wygłupili się jak to Amerykanie, ale czemu mieczem ognistym dotknięta została żona? Czyż w dobie kompleksowego planowania i alienacji przeznaczenie nie potrafi już trafiać w winnego, tylko musi w kogoś obok? Czyż

nierychliwość i sprawiedliwość pomieszały wzajemne, odwieczne proporcje? Czyżby symetria moralna nie była więcej możliwa w świecie psychoanalizy i immanentnej krytyki?

EMIGRACJA. Małostkowość, ciasnota, obmowa, pieniactwo, wąskość perspektyw, melancholia niepotrzebności — niesłusznie emigracja na każdym kroku grzebie się w masochistycznych samooskarżeniach i upatruje w nich swój monopol. Pamiętniki emigrantów francuskich po Wielkiej Rewolucji pełne są tego samego. Prawdziwe niebezpieczeństwo tkwi w potędze życia. Wielkie NIE, rzucone komunizmowi, było męczeńskim charyzmatem emigracji, za który warto było ofiarować własne życie na całopalenie. Tymczasem dziś, po 22 latach, emigracyjny anty-komunista wraz ze swą wiarą i po stokroć słuszną nienawiścią jest modelem dziecięcej prostoty wobec nienawiści Polaka z kraju, który nawet nie potrafi nazwać się anty-komunistą i termin ten nie przychodzi mu w ogóle do głowy. Dla emigracyjnego anty-komunizmu komunizm stał się już partnerem, jego zniknięcie stworzyć by mogło jakiś brak, a dla niektórych kłopoty finansowe. Dla Polaka z kraju komunizm jest jego własnym nowotworem złośliwym, zżerającym jego własne życie, naroślą, której wycięcie mogłoby jedynie coś uratować.

PISARZE TAM I TU. Zadziwia mnie uniżony stosunek pisarzy emigracyjnych do pisarzy w kraju. Tak zwana miłość bez wzajemności, kompleks niższości, niezdrowe przekonanie, że tylko tam bije puls. Jakby literatura zależała od geografii, fauny i flory i temu podobnych. Wszelkie teorie źródła, nasiąkania, „ładowania się” i emanowania wydawały mi się zawsze podejrzane, usprawiedliwiały różne odmiany impotencji. Czy miało to jakiekolwiek znaczenie gdzie Kafka dokonał swej oślepiającej analizy? Dokonał jej przecież na najłagodniejszym terytorium społeczno-obyczajowym ówczesnej Europy, względna idylliczność jego *environment* jest paradoksem. Albo gdzie Joyce zaczął myśleć, lub Camus szukać syntez? Warunki są ciastem, w które pisarz miesza swoje smaki i zapachy i podaje jako swoją wartość, czy kwalifikację; tylko marksiści chcą, żeby pisarz stał się własnością warunków. Pisarze Wschodniej Europy skolekcjonowali w ciągu ostatnich 28 lat dogłębną wiedzę o Wielkim Strachu, o życiu, w którym nie można wierzyć nikomu włącznie z sobą samym, o nieznanym dotąd w historii człowieczeństwa umiejętności ugniatać sumień. I gdzież jest arcydzieło? Niech nikt nie wierzy w cenzurę, przeemoc urzędników, kneblowanie — są to wyłącznie okoliczności techniczne; gdyby arcydzieło było świat wiedziałby o nim w ten, inny, lub trzeci sposób. Uniżoność pisarzy emigracyjnych wobec krajowych jest śmieszna i żenująca, tak samo jak ton protekcjo-

nalnej wyższości tych z kraju w stosunku do tych z emigracji. Poczucie prymitywnej lepszości daje tym z kraju fakt, że są masowo czytani; ten sam fakt zanurza pisarzy emigracyjnych w pokorze, jakby nie byli oni w stanie pojąć, że o Tercu wie się dziś więcej zarówno na świecie jak i w Rosji, niż o Sofronowie, mimo, że tego ostatniego wydaje się tam w milionowych nakładach. Wolna Europa nagradza rok rocznie książkę z kraju: grono emigracyjnych krytyków i pisarzy dyskutuje poważnie i obiektywnie, z liberalną rozważą i przychylnością, z demokratyczną życzliwością i *fair play*. Cóż za komiczne widowisko (słuchowisko?)! Dlaczego pisarze krajowi nie dyskutują, nie omawiają, nie nagradzają książek emigracji? Logiczno-oficjalne wyjaśnienie jest, że nie wolno. Niby to i prawda, a w gruncie rzeczy bzdura. Po prostu się nie interesują. Nie istnieje wspólnota, żadne naczynia połączone, żadna świadomość wspólnej przynależności do wspólnego pnia. Uważają się za coś lepszego, nawet ci najrozsądniejsi, i że nie warto w ogóle mówić o tych gorszych, nawet przy stolikach kawiarnianych. Zaś niejeden słuchacz Wolnej Europy zastanawia się nad tym dlaczego tyle uwagi, obiektywizmu i karesów poświęca się pisarzom, których on pamięta dobrze jako rozbuchanych stalinowców, skąd ta ckliwo-lukrowana zgoda, w imię czego to czułościowo-fałszywe „kochajmy się!”? Taka dyskusja przed wolnym mikrofonem stanowi zadziwiający bezład premiowania, emigracyjni intelektualiści zapędzają się w bezmyślną, jałową bezstronność zapominając, że jej nadmiar prowadzi do forytowania różnych nieprzyzwoitości. I cóż z tego, że ktoś napisał dobrą książkę w 1966, kiedy w 1951 ogłaszał antyludzkie i antypolskie przykazania, w imię których gnojono innych, lepszych od niego, i egzekwowano podłą władzę nad ludźmi. Czyż życie pisarza jest tanim kalejdoskopem luźnych, niepowiązanych ze sobą fragmencików, gdzie raz można trzymać się za rączkę z czarnym, a raz z czerwonym? Czyż nikt nie poczuwa się już do żadnej odpowiedzialności, nawet jurorzy z Wolnej Europy? Nie pojmuję subtelności, w imię której hitlerowcom należy ciągle przypominać o Oświęcimiu, a autorom wierszy do towarzyszy z bezpieczeństwa nie wypada już o tym mówić i trzeba dawać nagrody. Nagradzając dobrą książkę nie od rzeczy byłoby wspomnieć o tym dokąd autor biegał kilkanaście lat temu i co sądził o genialności Stalina; życiorys pisarza, zwłaszcza nagradzanego, bynajmniej nie jest sprawą prywatną. Właśnie mając na uwadze zdrowie moralne i moralność społeczną w Polsce, o które to wartości Wolna Europa tak dzielnie walczy z totalniacką antymoralnością.

PAN PREZES IWASZKIEWICZ. Po moim otwartym artykule

w „Kulturze” p. prezes Iwaszkiewicz — jak słyszałem — bluznął na mnie prywatnie publicznym słowem. Oczywiście, nie miałbym nic przeciwko temu aby powtórzył w druku krytykę mojej osoby, boję się jednak, że nie może on sobie na to pozwolić. Żeby więc zamknąć tę teczkę raz na zawsze pozwolę sobie publicznie na kilka prywatnych o nim uwag.

W dość znanym i uwielbianym przez PAX-owską prasę felietonie o ZŁYM („Życie Warszawy”, bodaj 1956 rok) Iwaszkiewicz natrząsał się z moich parafiańskich i niemrawych wyobrażeń. Na przykład: wyrzucał mi, że ktoś w Delikatesach patrząc na puszkę sardynek kojarzy je z epikureizmem; lub, że młoda dziewczyna siedząc w Kameralnej upaja się nastrojem nocnego lokalu. „Ależ mi epikureizm...”, przytaczam z pamięci szyderstwa Iwaszkiewicza, lub ich jednoznaczny sens, „... puszka sardynek... Ponura, cuchnąca dymem i wódką knajpa jest dla Tyrmanda czarowną grotą...” Wówczas, czytając te słowa, pochyliłem głowę w pohańbieniu, bo — co tu ukrywać — wypadłem jak frajer, naiwniak i prowincjonalny żółtodziób wobec pana prezesowych racji. Ale też i sobie pomyślałem, jak wiele mnie od Iwaszkiewicza dzieli, mimo, że w jednym mieście mieszkamy i jednym językiem mówimy. W 1954, kiedy pisałem ZŁEGO, Iwaszkiewicz reprezentował nas za nasze pieniądze, znój i pot na kongresach pokoju, pilnie bankietował przy jesiotrach i bielegach w Sztokholmie i na Krymie, nic więc dziwnego, że sardynki to była dla niego trawa. Dla mnie jednak i dla przygniatającej większości narodu polskiego były one czystym wcieleniem hedonizmu: kosztowały 18 zł. puszka jugosłowiańskich (przeciętna pensja wtedy 600 zł.), niełatwo je było dostać, stało się po nie w kolejkach. Iwaszkiewiczowi specjalne diety służbowe umożliwiały w tym czasie czarowne noce w „Boeuf sur le Toit”, nic więc dziwnego, że Kameralna zalatywała mu niemiłą wonią, ale nam, którym sala tańca K.S. „Kolejarz” na Wale Miedzeszyńskim zastępowała Monte Carlo, Kameralna miała podówczas prawo służyć za „Copocabanę”. Dodał jeszcze Iwaszkiewicz, że nigdy nie widział w kolejce EKD scen opisanych przeze mnie w innych pociągach podmiejskich. Nie sprzeczam się, ale tu musielibyśmy dodać szczerze i z ręką na sercu („Panie Prezesie...”), że od zarania socjalistycznego wysiłku gospodarczego Pan Prezes — w przeciwieństwie do narodu — posiadał służbową limuzynę, która pozwalała mu unikać kontaktu z zatłoczonymi środkami lokomocji, w których trzeba było po prostu przebywać, żeby coś ujrzeć. Za dobrych czasów soc-realizmu Iwaszkiewicz napisał nowelę pt. „Ucieczka Felka Okonia”, o której jakoś głucho w modnych skrowidzach jego dorobku. Parał się w niej twórczo z zagadnieniem chuligaństwa i zgodnie z obowiązującym kanonem doszedł

do wniosku, że przestępczość wśród młodzieży jest owocem połączonych wysiłków agentów imperializmu, kułaka i idealistycznego światopoglądu. Zapamiętałem z niej scenkę, gdy łajdacki prywatniarz-oberżysta rozpija Felka, nieszczęsne dziecko ludu na manowcach, zaś Felek, w którym drzemie świadomość klasowa, klnie zawiesić na inicjatywę prywatną, bo pojmuję, że karczmarz nie tylko go znieprawia, ale i wyzyskuje licząc za wódkę podwójnie drożej, niż w państwowych zakładach żywienia. Biedny Iwaszkiewicz! Jak słabo znał tę Polskę, o której sądził, że wie lepiej od innych, której chciał wymierzać sprawiedliwość z najwyższych piedestałów! Nawet nie wiedział, że wódka kosztowała wszędzie jednakowo, że prywatny restaurator bał się własnego cienia, że drożej mogli policzyć tylko w państwowych. O czym wiedziało każde dziecko ojca pijaka, czyli naród. Jak wiele można mu przez tę ignorancję wybaczyć...

KONDYCJA WŁASNA. Pomiatali mną w moim kraju w sposób fatalny. I co ja takiego uczyniłem, że tak mną gardzili? Napisałem książkę, którą chcieli przeczytać wszyscy — i ci, którzy się z niej ucieszyli, i ci, którzy pomiatali. W zamian za to, że napisałem, ci, którzy się na tym znają, odmówili mi tytułu pisarza. To samo powiedzieli o mnie inni pisarze. Postanowili, że odtąd nie będzie mnie w ich antologiach i wyobrażeniach o literaturze. Nic nie mogę na to poradzić. Mogę tylko żywić cichą nadzieję, że kiedy ich nazwisk nie będą już rozeznawać nawet bibliotekarze, ja będę ciągle czytany na plażach i z kasetek szkolnych.

Leopold TYRMAND

Dwa raporty ambasadora Reale

17 GRUDZIEŃ 1945 — LUTY 1946

Autor raportów z Warszawy, pierwszy po wojnie ambasador Włoch w Polsce, Eugenio REALE, urodził się w r. 1905 w Neapolu. Studiował medycynę. W r. 1930 wstąpił do podziemnego ruchu komunistycznego. Aresztowany w r. 1931 został skazany przez faszystowski Trybunał Specjalny na 10 lat więzienia. Zwolniony przedterminowo w r. 1937, zbiegł do Francji. Aresztowany w Paryżu w r. 1940, został w r. 1943 wydany władzom włoskim. Wkrótce potem powrócił do pracy partyjnej w Neapolu i szybko wszedł do podziemnego kierownictwa Włoskiej Partii Komunistycznej. Po wyjściu partii z podziemia zatwierdzono go na tym stanowisku w charakterze członka Dyrektoriatu Partii. Objął stanowisko wice-ministra Spraw Zagranicznych w rządzie koalicyjnym, potem ambasadora Włoch w Warszawie, gdzie przebywał od września 1945 do lutego 1947. Reprezentował partię włoską na organizacyjnym zebraniu Kominformu w Szklarskiej Porębie w październiku 1947 r. Po powrocie z Polski był posłem do Konstytuanty a potem senatorem z listy komunistycznej. Wystąpił z partii w roku 1956, po interwencji sowieckiej na Węgrzech. Obecnie jest przywódcą prawego skrzydła Zjednoczonej Partii Socjalistycznej i wydawcą miesięcznika *Corrispondenza Socialista*.

Ogłaszając dwa raporty z Warszawy ambasadora Reale, omawiające rolę Mikołajczyka, przypominamy atmosferę polityczną panującą w Polsce bezpośrednio po wojnie, która stanowi tło tych raportów. Terror UB, w lasach nowe oddziały partyzanckie, w miastach i wsiach niepewność jutra, groźba uczynienia z Polski „siedemnastej republiki” sowieckiej. A równocześnie pragnienie wolności, pokoju, połączenia rozbitych rodzin, odbudowania zniszczeń wojennych, wkorzenienia się na Ziemiach Odzyskanych. Mikołajczyk stanowił wtedy w oczach społeczeństwa jakby gwarancję, że Zachód nie oddał Polski Stalinowi, że może uda się uzyskać status Finlandii. Polskie Stronnictwo Ludowe, partia Witosa, stało się ośrodkiem, wokół którego mogli skupić się Polacy niekomuniści, pragnący legalnie walczyć o wolność i demokrację. Mikołajczyk nawoływał do „zachowania żywej substancji narodu” dla walki politycznej, przekonywał „ludzi z lasu” o beznadziejności ich ofiary w walce z bezwzględny i o wiele silniejszym przeciwnikiem. Chłopów wzywał z powrotem do pluga, robotników do fabryk, nauczycielom przy-

pominał, że ich miejsce jest teraz w szkole; walkę zbrojną chciał przestawić na tory zmagania politycznych, w których istniałaby pewna szansa sukcesu. Społeczeństwo w dużej części zrozumiało i poparło linię polityczną Mikołajczyka i PSL'u.

Komuniści dysponowali aparatem władzy i terroru, ale byli odcięci od społeczeństwa. Postanowili więc złamać popularność Mikołajczyka. Zamierzali to uczynić m.in. przez zmuszenie PSL'u do pogodzenia się z rolą satelity PPR'u, ofiarowując w zamian pewien procent mandatów poselskich i tek ministerialnych. Chodziło przede wszystkim o wyrażenie przez PSL zgody na wspólną listę w przyszłych wyborach do Sejmu. Gdyby PSL tę koncepcję „Bloku Demokratycznego” akceptowało, straciłoby natychmiast zaufanie i poparcie znacznej części społeczeństwa, walka polityczna z komunizmem byłaby niemożliwa, a Zachód widziałby w „wygranych” przez „Blok Demokratyczny” wyborach pogodzenie się Polaków z ustrojem komunistycznym.

Mikołajczyk postanowił „grać na czas”, zwlekać z decyzją PSL'u co do wspólnej listy, aby Stronnictwo mogło okrzepnąć i później łatwiej przystąpić do otwartej walki politycznej. Ale komuniści dążyli do szybkich rozstrzygnięć. Wygrali terrorem i kłamstwem referendum. Bezlitośnie cenzurowali nie tylko pisma PSL'u, ale nawet afisze i ulotki oraz wewnętrzne biuletyny Stronnictwa. Nie dopuszczali Mikołajczyka do mikrofonów Radia Warszawa, rozbijali siłą zebrania ludowe, demolowali lokale PSL'u, stosowali terror wobec działaczy PSL'u. Wreszcie rozwinęli szeroką kampanię oszczerstw i kłamstw, na które ani Mikołajczyk ani PSL nie mogli odpowiadać publicznie.

Społeczeństwo nie wierzyło w oszczerstwa pod adresem Mikołajczyka i PSL'u. Mimo cenzury i terroru kontakt z ludźmi w kraju, dzięki mocnej nici organizacyjnej PSL'u, był możliwy. Ale trudniej było Mikołajczykowi dotrzeć z jednej strony do opinii Zachodu, z drugiej do przywódców komunistycznych w Polsce i do Stalina. Korespondenci pism zachodnich i ambasady mocarstw zachodnich popierających linię polityczną PSL'u — byli łącznikami z opinią światową. Innych — jak właśnie ambasadora Włoch, Eugenio Reale, wówczas także wpływowego działacza Włoskiej Partii Komunistycznej — Mikołajczyk starał się użyć jako łącznika z komunistami. Sądził, że to co mu powie, będzie przekazane nie tylko rządowi włoskiemu ale także Gomułce i Stalinowi. Usiłował również dowiedzieć się od Reale co myślą naprawdę Stalin i Gomułka o przyszłości Polski i PSL'u. Tym tłumaczy się specyficzny ton i sformułowania niektórych wypowiedzi Mikołajczyka w rozmowach z Reale.

820/395

Do Królewskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych
w Rzymie, 17 grudnia 1945.

I. — SPRAWOZDANIE Z ROZMOWY Z WICE-PREMIEREM I MINISTREM ROLNICTWA MIKOŁAJCZYKIEM

Wice-premier i minister rolnictwa Stanisław Mikołajczyk zaprosił mnie na wieczór 12 bm. do swego mieszkania na rozmowę o rozwoju sytuacji politycznej w Polsce. W spotkaniu — które podobnie jak poprzednie odbyło się w atmosferze niezwykle serdecznej i trwało 4 godziny (od 9-ej wieczór do 1-ej w nocy) — uczestniczyła jedynie osobista sekretarka ministra w roli tłumaczki. Po przedstawieniu rezultatów konferencji FAO w Quebec, na której Mikołajczyk reprezentował Polskę

(zob. moja depesza z 8 grudnia Nr 714/337), wice-premier opisał wewnętrzną sytuację kraju. Wzbudza w nim ona poważne zaniepokojenie. Zdaniem ex-premiera rządu londyńskiego, kampania oszczerstw i fałszywych zarzutów, prowadzona przeciw PSL przez stronnictwa lewicowe a zwłaszcza SL, zaczyna wydawać owoce. Nie ma tygodnia aby przywódcy i działacze PSL nie ginęli z ręki swych przeciwników. Zamordowanie Bolesława Ścibiorka, sekretarza generalnego PSL i posła do Krajowej Rady Narodowej (zob. moje depesze z 8 bm. Nr 716/339 i z 13 bm. Nr 782/371) — to ostatni i najcięższy z tych aktów gwałtu. Niektóre z tych zbrodni są bez wątpienia dziełem NSZ'u czy agentów Andersa, innych dokonały najprawdopodobniej męty należące do PPR i SL, a pozostające pod wpływem propagandy prasowej i kłamstw głoszonych codziennie przeciw PSL na zebraniach i wiecach. Tak więc nazywa się PSL stronnictwem reakcyjnym, a jego przywódców faszystami i rzuca się pod ich adresem najbardziej wymyślne kłamstwa. Np. ogłoszono, że PSL zamierza zwrócić ziemię obszarnikom i, jeżeli wygra wybory, chłopci będą musieli oddać dawnym właścicielom nadzielone z parcelacji grunty. Nic bardziej śmiesznego, ponieważ parcelacja wielkiej własności jest od czterdziestu lat trzonem programu witosowego PSL! Głosi się także, że PSL jest przeciwne upaństwowieniu przemysłu i przygotowuje oddanie go dawnym właścicielom. Jest to oczywiste kłamstwo, ponieważ kierownicy PSL wielokrotnie stwierdzili, że są wprawdzie przeciwnikami upaństwowienia *drobnego* przemysłu, lecz opowiadają się za upaństwowieniem kopalń oraz przemysłu ciężkiego i włókienniczego. Kłamie się po to, aby podważyć zaufanie do PSL'u. Nawet minister Minc użył tej nielojalnej metody, twierdząc na zjeździe PPR, że PSL jest przeciwne dostawom węgla polskiego dla ZSSR. W rzeczywistości gdy na zjeździe w jednym z województw ktoś z delegatów powiedział, że nie należy sprzedawać węgla Rosjanom, gdy w miastach polskich ludzie umierają z zimna, Mikołajczyk wyjaśnił mu natychmiast, że umowy muszą być dotrzymane i że Polacy płacą Rosjanom węglem w zamian za benzynę, wełnę i bawełnę. Dwa tysiące uczestników zjazdu przyjęło to oświadczenie oklaskami. Ponadto Mikołajczyk przypomniał, że Rosjanie wywożą węgiel własnymi środkami transportowymi, a brak węgla w miastach polskich nie jest wynikiem niedostatecznego wydobywania, lecz spowodowany jest trudnościami przewozowymi. Inne oszczerstwo to rozpowszechniana co pewien czas plotka, o rzekomej wrogości stronnictwa wobec sojuszu PRL ze Związkiem Sowieckim. PSL uważa, że podstawą polskiej polityki zagranicznej jest utrzymanie dobrych stosunków z Rosją. Jest to niezbędny warunek rozwoju i bezpieczeństwa kraju. Jedynie Rosja może skutecznie zabezpieczyć Polskę przed Niemcami i niebezpieczeństwem niemieckim. Kto myśli inaczej jest głupi albo szalony a PSL nie ma tego rodzaju ludzi w swych szeregach.

PSL potępia zbrodniczą działalność Arciszewskiego, Andersa i towarzyszy oraz uważa ich za wrogów ojczyzny. Kto sądzi, że

PSL mogłoby współdziałać z tymi bandytami i awanturnikami politycznymi obraża to wielkie stronnictwo, które dało tyle dowodów swego przywiązania do kraju. Emigranci polscy w Anglii i w Ameryce, wierni rządowi londyńskiemu ciągle atakują Mikołajczyka i nazywają wice-premiera zdrajcą Ojczyzny, bolszewikiem, kameleonem i oportunistą. Kto tutaj, w Polsce, rzuca oszczerstwa na Mikołajczyka, leje wodę na młyn reakcji londyńskiej wbrew interesowi kraju.

PSL jest, zdaniem swego przewodniczącego, największą siłą polityczną w Polsce. Szeregi PSL'u rosną z dnia na dzień, a jego prestiż i wpływ na masy stale się rozszerzają.

Mimo swej siły i dużej liczby zwolenników — PSL bez względu na to jaki będzie wynik wyborów nie myśli o samodzielnym sprawowaniu władzy. Przeciwnie. Już teraz PSL proklamowało, że tylko Rząd Jedności Narodowej może zapewnić krajowi atmosferę niezbędną dla odbudowy. PSL uważa, że sześć stronnictw demokratycznych, oficjalnie uznanych, powinno uczestniczyć w rządzie i współpracować. PSL nie zamierza wycofać się z tych zobowiązań, ale domaga się aby traktowano je na równi z innymi stronnictwami i nie może pozwolić na to, aby jedna partia uważała się za jedyne demokratyczne stronnictwo w kraju i uzurpowała prawo potępiania innych stronnictw za to, że w pewnych sprawach są odmiennego od niej zdania.

PSL posiada szczerą chęć współpracy i o ile zostanie przerwana kampania oszczerstw („faszyści”!) — gotowe jest natychmiast rozpocząć rozmowy, mające doprowadzić do znalezienia wspólnej platformy wyborczej.

Spytałem wice-premiera Mikołajczyka czy jego stronnictwo miało już okazję wypowiedzieć się na temat daty wyborów. Odpowiedział, że PSL nie zajęło jeszcze w tej sprawie oficjalnego stanowiska, uważa jednak że wybory powinny odbyć się jak najszybciej. W rządzie sprawa ta jeszcze nie została poruszona, „chyba — dodał z uśmiechem — że przedyskutowano ten problem beze mnie. Jest dużo spraw, o których nie lubi się mówić w mojej obecności. Pewnego dnia oni przyjdą na zebranie Rady Ministrów z gotową decyzją i nie będzie można jej już zmienić”. Spytałem Mikołajczyka, ile prawdy jest w pogłoskach, jakoby akceptował on propozycję socjalistów utworzenia jednej listy wyborczej w zamian za przyznanie PSL trzydziestu pięciu procent mandatów w Sejmie. „Wysane z palca — odpowiedział. — Nigdy nie mówiono o liczbie mandatów, nie doszliśmy jeszcze do tej fazy rozmów¹. Powiedziałem socjalistom że ze względów zasadniczych

1. Później — po referendum — gdy doszło już do rozmów na temat wspólnej listy w wyborach, PSL'owi ofiarowano 25% mandatów w Sejmie. Był to wynik „konferencji” przywódców PPR i PPS na Kremlu, odbytej 8 sierpnia 1946 r. Gdyby Mikołajczyk nie przyjął wspólnej listy, otrzymałby tylko 10% mandatów.

Ostateczna decyzja niewstępowania do Bloku Demokratycznego i odrzucająca wspólną listę zapadła na Radzie Naczelnej PSL dnia 7 października 1946 r. (nota tłumacza).

nie sprzeciwiamy się wspólnej liście z innymi stronnictwami, ale decyzję w tej sprawie będzie mógł podjąć dopiero Kongres PSL, który odbędzie się w końcu stycznia”.

Zwróciłem uwagę Mikołajczyka na niebezpieczeństwo grożące PSL, jeżeli zostanie ośrodkiem skupiającym wszystkich niezadowolonych w Polsce i wszystkie najbardziej reakcyjne elementy w kraju. Kelnerka w restauracji powiedziała mi np., że wszystkie swoje nadzieje łączy z Mikołajczykiem, który — jeżeli wygra wybory — zwróci jej rodzinie skonfiskowaną cegielnię. „Zdaję sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa, ale nie przejmuję się nim — odpowiedział ex-premier londyński. — Nie potrzebuję głosów reakcji. Wystarczą mi głosy chłopów. Ex-obszarnicy, ex-przemysłowcy, wszyscy ci, którzy chcieliby niemożliwego powrotu do przeszłości, mogą głosować na PSL, jeżeli tak się im podoba. Ale ja publicznie stwierdziłem już w swoich przemówieniach, że mając do wyboru między paru tysiącami obszarników a milionami chłopów, mogę podjąć, oczywiście, tylko jedną decyzję”.

Na moje pytanie na temat stosunków między Mikołajczykiem a kierownikami innych stronnictw, prezes dał mi taką odpowiedź: „Moi byli koledzy z SL nienawidzą mnie, i to jest zrozumiałe. Nie reprezentują nic, są generałami bez armii, podczas gdy za mną stoi ogromna większość chłopów. Kierownicy PPS to porządni ludzie i szczerze chcieliby ułożyć się z nami. Wierzę w ich przywiązanie do demokracji i w ich dobrą wolę. Przywódcy Stronnictwa Demokratycznego są ludźmi godnymi najwyższego szacunku, ale nie mają żadnego wpływu na masy, oddziałują jedynie na pewne koła inteligencji. Jestem z nimi w dobrych stosunkach. Przywódcy Stronnictwa Pracy to moi szczerzy przyjaciele, przeważnie byli członkami mego rządu w Londynie. Włożyłem dużo wysiłków w przeprowadzenie uznania tego stronnictwa, mimo że jego zwolennicy rekrutują się głównie spośród chłopów. Nie boję się ich konkurencji. Jeżeli chodzi o komunistów, atakują mnie ciągle, stosunki między nami nie są więc najlepsze. Sprawia mi to przykrość, ponieważ są wśród nich osoby inteligentne i o dużym talencie politycznym. Ale wbito im do głowy gwóźdź, a ten gwóźdź to ja — Mikołajczyk. Na zjeździe organizacji warszawskiej PPR Berman atakował mnie przez całą godzinę. Także mój kolega z rządu, wice-premier Gomułka, nie szczędzi mi ataków. Kiedy sprawy państwowe idą źle, zaraz zrzuca się winę na Mikołajczyka. Jak przekonać go, że jestem niemniej niż on przekonany demokratą? Ale drażni mnie najbardziej to, że komuniści chcieliby zmonopolizować dla siebie zaufanie Rosjan. Czy tak jest naprawdę? Pan, który zna te sprawy, mógłby mi powiedzieć czy między partią, która jak PPR ma jedynie niewielu zwolenników i to wyłącznie wśród robotników, a takim stronnictwem jak PSL, mającym za sobą ogromną masę ludności — Rosja może na serio wybrać PPR i tej partii — tylko tej — okazywać swe zaufanie?”

Odpowiedziałem wice-premierowi, że główną cechą polityki rosyjskiej, tak wewnętrznej jak i zagranicznej, jest realizm.

W Finlandii Rosjanie ułożyli się z Paasakivi, który na pewno nie jest sympatykiem komunizmu. Na Węgrzech nie sprzeciwili się, aby szef partii drobnych posiadaczy a więc typowego stronnictwa drobno-mieszczańskiego, utworzył nowy rząd². W Austrii Renner ustąpił miejsca szefowi Volkspartei. W Rumunii premierem nie jest komunista Patrascanu, ale nacjonalista chłopski Pete Groza³. Rosjanie w kontrolowanych przez siebie krajach nie mogą nie liczyć się z rzeczywistą siłą różnych stronnictw, a ponieważ naprawdę nie chcą wtrącać się do polityki wewnętrznej tych krajów, zostawiają decyzję społeczeństwu, które przez wolne wybory może wybrać takich przywódców jakich pragnie. Jest tylko jedno ograniczenie: nie mogą to być faszyci, ani ci, którzy wypowiedzieli wojnę Rosji lub podtrzymywali czy wspierali Hitlera.

— „Ale jeżeli chodzi o Polskę?” — nalegał Mikołajczyk.

— „Ta sama zasada odnosi się do Polski — odrzekłem — i nie można dziwić się, że Rosjanie mają zaufanie do Gomułki; znają bowiem jego anty-faszystowską przeszłość i jego przywiązanie do demokracji. Nie można też dziwić się temu, że spoglądają z sympatią na PPR, stronnictwo robotnicze o postępowym programie. Nie znaczy to jednak, że zamierzają narzucić Gomułkę na szefa rządu. W Polsce, tak jak gdzie indziej, Rosjanie zakładają veto jedynie przeciw wrogom demokracji i wrogom ludu. Jestem przekonany, że po wyborach premierem nowego rządu będzie szef stronnictwa, które okaże się najsilniejsze i któremu większość ludności okaże swe zaufanie”.

— „Nawet jeżeli tym stronnictwem będzie PSL?”

— „Oczywiście. Chyba że PSL zebrałoby głosy reakcji, zwróciłoby się w polityce zagranicznej przeciw Rosji i postawiło sobie za cel odwołanie reform społecznych przeprowadzonych przez Rząd Jedności Narodowej, a więc powrót do polityki Piłsudskiego i jego następców, którzy doprowadzili Polskę do upadku. Na to — podobnie jak na restaurację monarchii w Austrii czy na powrót do Władzy Mannerheima lub Radescu — Rosja nie pozwoli”.

Następnie omówiliśmy inne problemy a więc zakaz tworzenia nowych stronnictw (Mikołajczyk aprobował ten zakaz, uważa bowiem, że Polsce wystarcza sześć stronnictw już istniejących); sprawę odszkodowania albo przynajmniej jakiejś emerytury dla wywłaszczonych właścicieli (co Mikołajczyk uważa za rzecz słusz-

2. Węgierska Partia Drobnych Posiadaczy („*Kis-Gazda-Part*”) wcale nie była „stronnictwem drobno-mieszczańskim”, lecz chłopskim, o charakterze zbliżonym do przedwojennego Stronnictwa Ludowego w Polsce, jednak bardziej bliskim chrześcijańskiej demokracji (nota tłumacza).

3. REALE chyba orientował się, że GROZA jest komunistą a nie żadnym „nacjonalistą chłopskim”. Tę „takteczną” rolę wkrótce zresztą Groza porzucił. Chłopskich przywódców w Rumunii, MANIU i MICHALAKA, komuniści trzymali w więzieniach. Mówiąc Mikołajczykowi o taktyce komunistów REALE nie odstępował od oficjalnej tezy Stalina, udającego, że jego taktyka to strategia, że zależy mu na ugruntowaniu systemu demokracji w sąsiadujących z ZSSR krajach i że walczy tylko z „faszyzmem” (nota tłumacza).

ną i niezbędną); trudności utrzymania porządku w kraju; problem usunięcia Niemców z ziem zachodnich i td.

Drugą część rozmowy poświęciliśmy polityce zagranicznej. Zreferuję ją w następnym raporcie.

Podpisano — *Reale*



522/195

Do Ministerstwa Spraw Zagranicznych
Królestwa Włoskiego w Rzymie, 1 lutego 1946.

II. — ROZMOWA Z WICE-PREMIEREM
I MINISTREM ROLNICTWA MIKOŁAJCZYKIEM
(zob. moją depezę z 17 grudnia Nr 820/395)

W przeddzień Kongresu PSL znowu odbyłem długą rozmowę z Mikołajczykiem. Przyjął mnie w swoim mieszkaniu. Wice-premier opracowywał swe przemówienie i wyglądał na bardzo zmęczonego. Po raz pierwszy, odkąd go znam, nie wydał mi się tak pewny siebie jak zwykle. Wydawał się nawet niezdecydowany i jakby pozbawiony nadziei. Nadmiar pracy i ostra walka polityczna odbiły się na jego wyglądzie i samopoczuciu. Sądzę, że jest to *défaillance* przejściowa i że Mikołajczyk wkrótce powróci do formy i będzie w stanie podejmować decyzje, których oczekuje cały kraj z nadzieją lub niepokojem. Przyjaciele i wrogowie wiedzą, że to on a nie zjazdy zadecydują czy PSL przystąpi do wyborów razem z innymi stronnictwami koalicji rządowej czy też pójdzie do nich samo, przechodząc w ten sposób do opozycji i wysuwając kandydaturę Mikołajczyka na stanowisko nowego szefa rządu.

Mikołajczyk rozpoczął rozmowę od skarg na brak zaufania, jaki okazują mu prasa i inne stronnictwa, doszukując się we wszystkich jego posunięciach i wypowiedziach czegoś ciemnego, „makiawelicznego” czy nielojalnego wobec rządu, w którym zasiada. „Nie można kontynuować tego stanu rzeczy — mówił Mikołajczyk. — PSL i jego przywódcy mają prawo być traktowani na równi z innymi stronnictwami i ich przywódcami. Nie wystarczy tylko mówić o „równości” — trzeba wprowadzić w czyn te dobre chęci. PPR z byle jakich powodów, a często i bez powodu, obsypuje obelgami przywódców PSL i samego Mikołajczyka. Wygląda na to jakby cała polityka PPR (i jego niemądrych służalców z SL) polegała na wypychaniu PSL do opozycji, do wyjścia z rządu i z koalicji stronnictw demokratycznych. Jeżeli dąży się do tego, to prawdopodobnie to nastąpi. Wystarczy stosować dotychczasowe metody. Ale wtedy każdy będzie musiał podjąć od-

powiedzialność wobec kraju, trzeba będzie ukazać kto chciał rozbić front rządowy i jedność narodową”.

Przerwałem wywody prezesa mówiąc, że na podstawie moich obserwacji nie doszło jeszcze do tego i że mam nadzieję iż PSL nie pozwoli się sprowokować.

— „Mamy zdrowe nerwy i okazujemy to — odparł Mikołajczyk. — Ale cierpliwość ludzka ma swe granice, a poza tym musimy liczyć się z masą członków PSL, mających już dość tego wszystkiego. Wzywają oni nas do okazania większej energii. Kilka tygodni temu, w Poznaniu, pewien stary głupkowaty chłop bredził coś, na przedzjazdowym zebraniu miejscowego koła PSL, o naszych stosunkach z ZSSR. Oczywiście, nikt z nas nie może tych bredni podzielać. Otóż, ten drobny śmieszny epizod wywołał natychmiast nową kampanię przeciw nam. Posłałem do Poznania komisję dla zbadania czy przewodniczący zebrania naprawdę aprobował oświadczenie tego mówcy. Jeżeli okaże się że tak, wyrzucimy obu z PSL. Ale nie chcemy aby tego rodzaju incydenty i tego rodzaju wypowiedzi nieodpowiedzialnych jednostek służyły do budowania wyssanych z palca oskarżeń przeciwko nam, do opierania na nich kampanii prowokacji i kłamstw. Komuniści chcą w ten sposób wywołać zamęt w naszych szeregach i zmusić nas do czynów i decyzji, których nie chcemy podjąć. Oskarżam przywódców PPR o dążenie właśnie do tego, tylko do tego”.

Zwróciłem presesowi uwagę na to, jak poważne są tego rodzaju oskarżenia, skierowane przeciw partii, która tyle uczyniła dla zjednoczenia narodu i która każdego dnia głosi, że dąży do porozumienia z PSL, o ile okaże się ono naprawdę demokratyczne i postępowe.

— „Bynajmniej nie nienawidzę komunistów — odpowiedział Mikołajczyk — to oni mnie nienawidzą. Nie można rozmawiać z Gomułką czy Bermanem. Obaj są fanatykami i nigdy ich nie przekonam o mojej dobrej wierze ani o mojej szczerzej chęci budowania — razem z nimi — prawdziwie demokratycznej Polski. Co mam zrobić, aby zdobyć ich zaufanie? Nie jestem komunistą i nie sądzę, aby ustrój komunistyczny nadawał się — przynajmniej na razie — dla naszego kraju. Trzeba by przecząć jedno czy nawet dwa pokolenia, aby podjąć tego rodzaju eksperyment. Teraz jest jeszcze za wcześnie. Przywódcy komunistyczni twierdzą (a wierzę, że mówią szczerze), iż ich celem w Polsce jest nie komunizm, ale ustrój postępowej demokracji. W takim razie nie powinnyby istnieć między mną a nimi wielkie przeciwieństwa. Jestem przeciw kolektywizacji ziemi — komuniści są też przeciw niej. Opowiadam się za upaństwowieniem wielkiego i średniego przemysłu, ale pragnę, aby drobny przemysł, handel detaliczny i rzemiosło pozostały w rękach inicjatywy prywatnej. Komuniści wielokrotnie oświadczaali, że są tego samego zdania. Jeżeli chodzi o upaństwowienie wielkiego i średniego przemysłu, ja poszedłem dalej niż komunista Minc i domagałem się, aby wywłaszczonym właścicielom nie przyznawano żadnych odszkodowań. Uczyniłem to nie z demagogii, jak pisano w gazetach ko-

munistycznych. Po prostu jestem przeciwny stosowaniu różnych miar, a jak wiadomo wywłaszczonym obszarnikom nie przyznano ani grosza odszkodowania. Jeżeli chodzi o politykę zagraniczną, mój program nie różni się od programu PPR. Twierdzę, że Polska, gdyby nie była w przyjaźni i sojuszu z Rosją Sowiecką, byłaby skazana na śmierć samobójczą. Bezpośredni sojusz ze Związkiem Sowieckim — szczery i bez żadnych ukrytych zastrzeżeń — nie powinien jednak wykluczać utrzymywania dobrych stosunków z Anglią i Stanami Zjednoczonymi. Czy komuniści proponują coś odmiennego? — Pragnę aby Polska była wolna i niepodległa, aby mogła rządzić się u siebie, aby nikt nie dawał jej rozkazów. Komuniści nie mogą nie pragnąć tego samego. Co to wszystko znaczy? — Znaczy to, że komuniści nie są wrogami mego programu politycznego, który jest tak samo demokratyczny i postępowy jak ich program, lecz że są wrogami mojej osoby, która przesłania ich, i naszego stronnictwa, które jest znacznie silniejsze niż PPR i inne partie razem wzięte. Boją się mnie i ruchu ludowego. To wszystko”.

Zapytałem wice-premiera czy sądzi, że naprawdę stoi za nim ogromna większość kraju.

— „Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości — brzmiała odpowiedź. — Gdziekolwiek się pokażę, wszyscy manifestują mi swoje uznanie. W miastach robotniczych wpływ PSL jest nie mniejszy niż na wsi. Nie tylko ogromna masa chłopów jest z nami, lecz także robotnicy, urzędnicy, inteligencja. Widzą oni w PSL'u stronnictwo, które naprawdę broni ich interesów, stronnictwo prawdziwej i dobrze zrozumianej demokracji. Nie wykluczam — powiedziałem to już panu innym razem, że niedobitki przeszłości mogą patrzeć na mnie z nadzieją, podobnie jak ci, których prasa komunistyczna nazywa słusznie reakcjonistami. Uważam za logiczne i naturalne, że ludzie ci są niezadowoleni z polityki rządowej i że pragną innej, radykalnie odmiennej. Jest to ich prawem i nie myślę im go odmawiać. Ale nie rozumiem, jak mogą oni uważać, że ja, właśnie ja, mogę zmierzać do zmienienia w tym duchu polityki obecnego rządu. Wielokrotnie oświadczałem, że cokolwiek nastąpi w Polsce, ziemia nie zostanie już nigdy zwrócona obszarnikom. Jeżeli chodzi o przemysłowców, to przed paru minutami przypominałem panu, że jestem nie tylko zwolennikiem upaństwowienia ich fabryk, lecz walczyłem, aby odbyło się ono bez odszkodowania. Jak na rzekomego obrońcę obszarników i przemysłowców to rzeczywiście dziwne! Jak mówiłem panu w naszej ostatniej rozmowie, jeżeli będą oni głosować na mnie w nadchodzących wyborach, rozczarują się”.

Z kolei zaczęliśmy mówić o wyborach i o taktyce wyborczej PSL'u.

— „Sprawa udziału PSL w bloku wyborczym wszystkich stronnictw demokratycznych — powiedział Mikołajczyk — jest nadal przedmiotem dyskusji i z pewnością będzie się o tym mówiło na naszym Kongresie. Mimo prowokacji komunistycznych (mo-

głoby się wydawać, że od paru tygodni gazety ich mają tylko jeden cel: stworzyć między naszymi stronnictwami atmosferę uniemożliwiającą jakiekolwiek porozumienie wyborcze), nie podjęliśmy dotychczas ostatecznej decyzji. Przewiduję, że na Kongresie toczyć się będzie na ten temat zacięta walka i że wielu delegatów wystąpi przeciw wspólnej liście. Czy oznacza to może, że są oni reakcjonistami, że dążą do wprowadzenia nowej dyktatury, że zamierzają skłócić chłopów z robotnikami i tak dalej? Nie śni się im to nawet. Zwolennicy oddzielnej listy w wyborach chcieliby po prostu, aby wybory wykazały prawdziwą wolę kraju, aby wyborca mógł oddać swój głos na tych, do których ma zaufanie a nie na zespół ludzi i stronnictw reprezentujących najrozmaitsze, często sprzeczne ze sobą programy. Jeżeli wygra ten pogląd i pójdziemy samodzielnie do wyborów, zobaczy pan, że 70-80% głosów padnie na PSL”.

— „Wydaje mi się, że jest to nieco przesadzone”.

— „Przeciwnie. Jest to jeszcze niższe od rzeczywistości. Pan ambasador nie docenia naszej siły, nie wyobraża sobie nawet ile sympatii i entuzjazmu wzbudza nasze stronnictwo w całym kraju i we wszystkich warstwach społecznych. Zapewniam pana, że także ja odczuwam niekiedy pokusę dania naszemu ludowi możliwości jasnego wypowiedzenia się i pokazania światu jakie jest prawdziwe oblicze Polski”.

— „A więc chciałby pan, aby PSL poszło do wyborów z oddzielną listą?”

— „Tak jest. Chciałbym zobaczyć minę Gomułki i Bieruta przy ogłoszeniu rezultatów. Sądzę, że zasługują na to po przejściach ostatnich miesięcy, po wszystkich świństwach jakie mi uczynili. Oto ostatnie, o którym jeszcze nikt nie mógł panu opowiedzieć. Kiedy uzgodniliśmy w Moskwie utworzenie Rządu Jedności Narodowej, postanowiliśmy jednogłośnie że komuniści otrzymają stanowisko przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej (Bierut), socjaliści — premierostwo (Osóbka-Morawski), a nasze stronnictwo stanowisko zastępcy przewodniczącego KRN (śp. Witos). Po śmierci Witosza, zażądaliśmy, aby inny członek PSL'u wszedł na jego miejsce. Przed chwilą zakomunikowano mi, że nastąpi to dopiero wtedy, gdy oficjalnie uznamy zasadę jednej listy w wyborach. Co pan o tym myśli?”

— „Przyznaję, że nie widzę żadnego związku między tymi dwiema sprawami”.

— „Jest to jeszcze jeden przykład szantażu, którego padamy ofiarą. Nic innego jak szantaż. Jeżeli próbujemy przeciwstawiać się, jeżeli reagujemy, jeżeli domagamy się poszanowania układow, jesteśmy natychmiast oskarżani o najgorsze intencje. Zapewniam pana, że problem wyborów niepokoi mnie bardzo, ponieważ nie wiem dokąd może nas zaprowadzić. Porozumienie między sześciu stronnictwami i wystawienie wspólnej listy ma niewątpliwie swe zalety. Przede wszystkim stworzy atmosferę zgody narodowej, która sprawi, że walka wyborcza nie będzie ani gwałtowna, ani — być może — krwawa. Zwłaszcza w obec-

nej, tak trudnej chwili. Wobec ogromnego zadania odbudowy kraju nie możemy sobie pozwolić na luksus marnowania choćby tylko części naszej energii i sił w wielomiesięcznej walce wyborczej. Walki, które powinniśmy toczyć i wygrać, to walki o zwiększenie wydobywania węgla, o usprawnienie przewozów, o odbudowę zniszczonych wojennych, o rekonstrukcję przemysłu na ziemiach zachodnich. Z tego punktu widzenia wspólna lista przedstawiałaby poważne korzyści. Ale układ w tej sprawie powinien być poprzedzony uznaniem naszej siły i przede wszystkim wzajemnym szacunkiem układających się stron. Mógłbym przekonać PSL o konieczności tej nowej ofiary (tzn. przyjęcia 30 czy 40% mandatów, podczas gdy na osobną listę moglibyśmy osiągnąć dwa razy tyle), ale mógłbym zrobić to tylko wtedy, kiedy zaprzestanie się — i to natychmiast — ataków na nas i kiedy, jeszcze przed wyborami, zacznie powstawać atmosfera wzajemnego zrozumienia i solidarności narodowej, czego wszyscy pragniemy”.

— „A więc całe zagadnienie jest jeszcze otwarte”.

— „Jak najbardziej. Zanim zdecydujemy się na coś, ocenimy uważnie wszystkie za i przeciw. Uczynię wszystko aby Kongres nie wypowiedział się przeciw wspólnej liście wyborczej, choć wiem, że pragnie tego większość delegatów. Zaproponuję, aby kontynuować rozmowy z innymi stronnictwami i aby upoważnić kierownictwo PSL do podjęcia ostatecznej decyzji. Jeżeli zjazd nie przyjmie mojej propozycji, postawię kwestię zaufania”.

— „Czy to prawda że Anglicy namawiają pana do wystąpienia z oddzielną listą w wyborach?” — zapytałem zniecierpliwionego rozmówcę.

— „Anglicy nie ukrywają swej niechęci do zasady bloku stronnictw i wspólnej listy. Jest to ich zdaniem niezbyt demokratyczne. Przyzwyczajeni od lat do swobodnej gry stronnictw, nie mogą sobie wytłumaczyć tego bloku przedwyborczego i wyborczego między różnymi stronnictwami, jeżeli nie zna się ich rzeczywistego wpływu w społeczeństwie, i ich sprawności organizacyjnej. Blok stronnictw, mówią Anglicy, można zawrzeć dopiero po wyborach, w rządzie, utworzonym zgodnie z rzeczywistą siłą poszczególnych stronnictw i z liczbą zdobytych przez każde z nich mandatów. Muszę przyznać, że rozumowanie to jest jak najbardziej poprawne. Ale muszę też stwierdzić, że Anglicy nie uczynili niczego, aby narzucić mi swoje poglądy, czy choćby tylko je zasugerować. Nie tolerowałbym zresztą ich ingerencji w te sprawy, czego zresztą oni wcale nie próbowali. Tego samego zdania co Anglicy są również Amerykanie”.

Tu Mikołajczyk przestał mówić o wyborach i zaczął znowu skarżyć się na najgroźniejsze wystąpienia rządu przeciw niemu i na bezprawia, których ofiarą pada PSL.

— „Na ostatnim zebraniu Krajowej Rady Narodowej (moja depesza z 10 bm. Nr 214/101 str. 4) protestowaliśmy przeciw niesłusznemu i arbitralnemu przydziałowi miejsc poszczególnym stronnictwom w K.R.N. Wystarczy przypomnieć, że śmieszne i w praktyce nie istniejące SL otrzymało prawie dwa razy tyle miejsc

co my. W rządzie jest nie lepiej. Mamy trzech ministrów, a socjaliści sześciu. Mało tego. Utworzenie ministerstwa Ziem Odzyskanych i powierzenie go komuniście, Gomułce, odebrało ministerstwu Administracji Publicznej więcej niż jedną trzecią jego kompetencji. A tymczasem ministrem Administracji Publicznej jest właśnie członek naszego stronnictwa, Kiernik. Dopóki te niesprawiedliwości nie zostaną usunięte, będziemy czuli się pokrzywdzeni.

Jeżeli chodzi o nadużycia, Mikołajczyk powrócił do jednego ze swych ulubionych tematów, do największego ze wszystkich nadużyć: do sprawy ministerstwa Bezpieczeństwa (moja depesza z 23 list. ub.r. Nr 548/231).

— „To ministerstwo Bezpieczeństwa — powiedział — jest nonsensem, jest absurdem. Czy wy we Włoszech macie ministerstwo Bezpieczeństwa? Z pewnością nie. Nic podobnego nie istnieje nigdzie poza Rosją. Rosja ma tyle wspaniałych osiągnięć ale dla czego mamy naśladować ją właśnie w tym co jest tam najgorszego. Trzeba rozwiązać ministerstwo Bezpieczeństwa; będziemy się tego domagali. Ministerstwo Administracji Publicznej spełnia doskonale wszystkie swoje zadania. Tymczasem Bezpieka stała się potężną bronią w ręku jednej tylko partii. Setki naszych najlepszych działaczy aresztowano i trzyma się ich bezpodstawnie w więzieniach. Na Radzie Ministrów wezwałem Radkiewicza aby przyniósł mi dowody na to — co opowiada na prawo i lewo — to znaczy, że aresztowani utrzymywali kontakt z NSZ i z ludźmi Andersa. Bezwstydne kłamstwo. Aby unieszkodliwić przeciwnika politycznego, który sprawia trudności PPR mówi się: „należysz do NSZ” i zamyka się go w więzieniu. To zbyt wygodne, aby mogło trwać tak długo. Radkiewicz nie może dostarczyć najmniejszych dowodów, nie ma ich skąd wziąć. Działacze PSL są patriotami i nigdy nie utrzymywali kontaktów z wrogami ojczyzny. Natomiast padali nieraz pod ich ciosami. Nie, nie, nie. Bezpieka musi być zniesiona i to jak najszybciej!”

Zwróciłem uwagę Mikołajczyka, że właśnie walka z terrorystami i bandytami usprawiedliwia, choćby czasowo, istnienie ministerstwa Bezpieczeństwa które zajęłoby się przede wszystkim tą sprawą. Wice-premier odpowiedział, że walkę tę będzie mogło kontynuować ministerstwo Administracji Publicznej (które odpowiada naszemu ministerstwu Spraw Wewnętrznych), jeżeli podporządkuje mu się kierownictwo wojsk bezpieczeństwa wewnętrznego i milicji obywatelskiej.

Następnie rozmowa przeniosła się na inne tematy; sytuacja we Włoszech, konferencja ONZ, problem polskich granic zachodnich. Mówiąc o nich, Mikołajczyk wysunął tego rodzaju dziwne uwagi: „Granice na Odrze Polska zawdzięcza przede wszystkim mnie. Gdybym nie był wszedł do rządu, to ani Anglia ani Stany Zjednoczone nie akceptowałyby propozycji sowieckich. Także uznanie Rządu Jedności Narodowej jest w gruncie rzeczy moim dziełem, ponieważ gdybym nie uczestniczył w nim, nie byłby rządem Jedności. A tymczasem chcieliby mnie teraz wyrzucić jak

wyciśniętą cytrynę. Komuniści otrzymawszy upragnione uznanie rządu i wyznaczenie nowych granic, myślą że rola Mikołajczyka skończyła się. Jeżeli chce, może sobie teraz odejść. Ale czyż nie przyszło tym głuptaskom do głowy że uznanie rządu może być cofnięte, a granice uzyskają ostateczną sankcję dopiero po zawarciu traktatu pokojowego. Nie łatwo będzie pozbyć się Mikołajczyka, on jeszcze ma dużo do powiedzenia i zrobienia w swoim kraju”.

Przed zakończeniem rozmowy Mikołajczyk zawiadomił mnie poufnie o mającym wkrótce nastąpić rozwiązaniu wojsk Andersa. (Zob. moją depeszę z 18 ub.m.) Otrzymał on tę wiadomość wprost z Anglii; rząd polski nie został jeszcze o tym powiadomiony. Tak więc istnieją sprawy, które zna rząd, ale o których nie wie Mikołajczyk i istnieją sprawy, które zna Mikołajczyk, a o których nie wie rząd. Każdy robi co potrafi. Wice-premier dodał, że parokrotnie już zwracał uwagę ambasadorowi Bentinckowi i samemu Bevanowi o niebezpieczeństwie jakie dalsze pozostawanie oddziałów Andersa na terytorium włoskim mogłoby przedstawiać dla stosunków pomiędzy Polską a Włochami (Moja wspomniana depesza z 18 ub.m.). Według informacji Mikołajczyka pewne angielskie koła konserwatywne chciały odsunąć datę wycofania wojsk polskich z Włoch na okres po wyborach do włoskiej Konstytuanty; wojsko polskie miałoby dbać o „utrzymanie porządku podczas wyborów”. Jednak przemogło zdanie zwolenników natychmiastowego wycofania wojsk Andersa a może nawet ich rozwiązania. Zaznaczam, że wiadomość otrzymana przez Mikołajczyka nie precyzuje z dostateczną jasnością, czy chodzi tu o wysłanie tych wojsk na inne mp. (Grecja? Indochiny?) czy też o powrót do Wielkiej Brytanii.

W następnym raporcie skomentuję oświadczenia Mikołajczyka na tle obecnej sytuacji wewnętrznej w Polsce.

(podpisano — *Reale*)

(Z oryginału włoskiego przełożył Wł. Sznarbachowski)

DATA	POLITYKA
16-3-67	Stany Zjednoczone gotowe są do podjęcia rozmów w Wietnamie w każdej chwili, ale ograniczą działania wojenne tylko wtedy, gdy komuniści zrobią to samo.
17-3-67	Po podpisaniu traktatu z PRL Niemcy Wschodnie zawarły podobny traktat z Czechosłowacją. Zdaniem komentatorów zachodnich ma to przede wszystkim na celu wzmocnienie prestiżu Ulbrichta.
18-3-67	Papież Paweł VI powiadomił władze PRL, że gotów jest przyjąć na audyencji przewodniczącego Rady Państwa Ochaba, w czasie jego wizyty w Rzymie.
19-3-67	Wybory parlamentarne na Węgrzech według nowej ordynacji wyborczej. Wszyscy kandydaci musieli być zatwierdzeni przez „Front Patriotyczny”. Na ogólną ilość 350 okręgów, tylko w 9 zgłoszono więcej niż jednego kandydata.
20-3-67	Dwaj czołowi działacze partii Wolnych Demokratów w Niemczech Zachodnich, Wolfgang Schollwer i Wolfgang Rubin, wypowiedzieli się za uznaniem granicy na Odrze i Nysie. Kierownictwo partii odcięło się od tych oświadczeń.
21-3-67	B. wice-prezydent Stanów Zjednoczonych Nixon, któremu odmówiono wizy do Polski, podejmowany jest przez przywódcę komunistów rumuńskich Ceausescu.
22-3-67	Po zakończeniu konferencji na wyspie Guam, na temat Wietnamu, prezydent Johnson oświadczył, że nie znaleziono odpowiedzi jak rozwiązać ten problem.

KULTURA I NAUKA

Oratorium Oświęcimskie Krzysztofa Pendereckiego zostało po raz pierwszy odegrane z okazji odsłonięcia pomnika w Brzezince.

Władze brytyjskie przekazały Polskiemu Ośrodkowi Społeczno Kulturalnemu tytuł własności Centrali Bibliotek Ruchomych.

W Oxfordzie odbyła się angielska premiera „Kartoteki” T. Różewicza w przekładzie A. Czerniawskiego. W programie była również jednoaktówka Mrożka „Na pełnym morzu”, w przekładzie Michaela Bethella.

Dwumiesięcznik jugosłowiański *Praxis* utworzył międzynarodową komisję doradczą, w której skład wchodzi m.in. L. Kołakowski, G. Lukacs i J. Strinka z Bratysławy.

Rzeźbiarz warszawski Stanisław Słoniński otrzymał nagrodę UNESCO na wystawie „Grand Prix” w Monte Carlo.

Miesięcznik słowacki *Host do Domu* stwierdza — na marginesie krytyki, która ukazała się w *Rudym Prawie* — że dzieła literackiego nie można oceniać tylko z punktu widzenia słusznego czy błędnego naświetlania wydarzeń politycznych.

W Warszawie podpisano protokół polsko-sowieckiej współpracy filmowej. Przewiduje się wspólne kręcenie filmów.

RÓŻNE

W prasie rumuńskiej ukazują się po raz pierwszy ogłoszenia firm zachodnich.

W Warszawie ukazał się pierwszy numer kwartalnika *Opinie*. Zawiera on informacje o towarach dla konsumenta.

ORMO podlegające Min. Spraw Wewnętrznych liczy 260.000 ludzi.

Telewizja WNET w Nowym Jorku nadała dwugodzinny program o Europie Wschodniej.

PAN wydaje wielo-tomowe dzieło o stosunkach polsko-sowieckich. Zebrano ponad 25 tys. dokumentów.

Student Uniwersytetu Warszawskiego A. Michnik usunięty został na przeciąg jednego roku z uczelni za udział w dyskusjach nad wykładami L. Kołakowskiego (21. 10) i M. Rakowskiego (3. 11). 71 innych studentów usunięto z ZMS.

DATA	POLITYKA
23-3-67	Senat amerykański zatwierdził sumę 377 milionów dolarów, którą rząd może użyć na budowę systemu obrony opartego na antypociskach.
24-3-67	Sąd w Bremie uznał, że F.Thielen ma prawo pełnić funkcję prezesa NDP ponieważ wice-prezes von Thadden pozbawił go nielegalnie stanowiska.
25-3-67	Bezkrwawy zamach stanu w Sierra Leone. Do władzy dochodzi grupa młodych pułkowników.
26-3-67	W 10-tą rocznicę podpisania Traktatu Rzymskiego premier Fanfani wezwał do przyjęcia W. Brytanii do Wspólnego Rynku.
27-3-67	Czerwona Gwardia w Chinach rozpoczyna ataki na dwóch najbliższych współpracowników Czu En-laia. Są nimi wice-premierzy: Li Hsien-nien i Tan Czen-lin.
28-3-67	Papież ogłasza encyklikę „Populorum progressio”, w której zwraca uwagę na niebezpieczeństwo przeludnienia i wzywa do zwiększenia pomocy dla krajów nierozwiniętych gospodarczo, i ograniczenia zbrojeń.
29-3-67	Prezydent de Gaulle uczestniczy w uroczystości wodowania „Redoutable”, pierwszego francuskiego okrętu podwodnego o napędzie atomowym. Okręty tego typu mają stanowić podstawę francuskiej potęgi nuklearnej.
30-3-67	Do Delhi napływają wiadomości o rozruchach w Lhassie i masowym pogromie ludności przez armię chińską.

KULTURA I NAUKA

VIII Zjazd Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu. W dyskusji padają głosy przeciw „przesadnym tendencjom eksperymentowania w teatrze”.

150-lecie wydawnictwa *Ossolineum*.

Mianowano 3 nowych członków redakcji miesięcznika *Nowy Mir*. Są nimi: Dorosz, Ajtmatow i Chitrow. Ten ostatni uchodzi za „aparaczyka”.

Rumuński „Film o fascynującej dziewczynie”, powitany przez niektórych krytyków jako „powiew świeżego wiatru”, został po tygodniu zdjęty z ekranów i potępiony jako przedstawiający „nietypowe dla społeczeństwa jednostki”.

Czołowe dzienniki brytyjskie zamieszczają pochlebne recenzje londyńskiej premiery „Chwalebnego Zmartwychwstania Pańskiego” Mikołaja z Wilkowiecka, w reżyserii K. Dejmka.

We Wschodnim Berlinie odbyło się spotkanie przedstawicieli związków literatów krajów „socjalistycznych” celem koordynacji działalności literackiej.

RÓŻNE

Porcelana dworu carskiego została sprzedana w Londynie przez władze sowieckie za sumę £ 65.751.

Zjednoczenie Polek na Emigracji ostrzega przed komunistyczną infiltracją.

We Włoszech odkryto niezwykle rozbudowaną sowiecką szajkę szpiegowską, której sieć rozciągała się od Cypru po Skandynawię.

Sir Alec Douglas-Home przyjął w Izbie Gmin przedstawicieli sojusznicznych organizacji kombatanckich: gen. K. Ziemskiego (SPK) i gen. A. Liska (b. d-cę czechosłowackiej brygady pancernej) oraz A. Dargasa i J. Jostena. Omawiano bieżące zagadnienia polityczne i problemy uchodźców.

Dyrektor koncernu Kruppa, Beitz, przeprowadza w Warszawie rozmowy z min. Trąmpczyńskim.

Na inauguracyjnym zebraniu Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Londynie przemawiali m.in. konsul Trębicki a ze strony ukraińskiej red. Zełenko.

DATA	POLITYKA
31-3-67	Handel zagraniczny w Czechosłowacji prowadzony będzie przez towarzystwa akcyjne, utworzone przez przedsiębiorstwa przemysłowe, a nie jak dawniej przez centrale handlowe.
1-4-67	Senator R. Kennedy zapowiedział, że w wyborach w przyszłym roku udzieli całkowitego poparcia prezydentowi Johnsonowi i wiceprezydentowi Humphrey'owi.
2-4-67	Sekretarz Generalny ONZ, U'Thant, wzywa „najpotężniejszy kraj w historii świata” Amerykę, do wstrzymania wszelkich działań wojennych w Wietnamie.
3-4-67	Gwałtowne rozruchy w Adenie po przyjeździe misji ONZ, która miała pomóc w uzyskaniu przez Południową Arabię pełnej niepodległości. Rozruchy wywołuje organizacja zależna od Egiptu.
4-4-67	Na dorocznym zjeździe Wolnych Demokratów w Hanowerze doszło do otwartego sporu między kierownictwem partii, a zwolennikami uznania granicy na Odrze i Nysie.
5-4-67	W Moskwie ogłoszono, że ubiegły rok przyniósł rekordowe zbiory, wyższe o 25% od poprzednich. Pozwoli to na eksport ziarna do Europy Wschodniej.
6-4-67	W czasie obrad Unii Zachodnioeuropejskiej w Rzymie ministrowie 5 krajów zapewнили poparcie wniosku o przyjęcie W. Brytanii do Wspólnego Rynku. Jedyne delegat Francji wyraził pesymistyczną opinię w tej sprawie.
7-4-67	Prezydent Johnson zapowiedział w liście do kanclerza Kiesingera, że zamierza wycofać z NRF około 10 tys. żołnierzy. Nie wywołało to sprzeciwu Bonn.

KULTURA I NAUKA

Związek Pisarzy Sowieckich wzywa redaktora miesięcznika *Nowyj Mir* Twardowskiego, by wytłumaczył powody „niełociągnięć” swego pisma.

Firma Allen i Unwin wydaje zapowianą od dawna autobiografię znanego filozofa angielskiego Bertranda Russella.

Le Figaro donosi, że w kościele parafialnym w Kosowie znaleziono obraz El Greco „Św. Franciszek w ekstazie”.

Miesięcznik sowiecki *Tieatr* ogłosił, że największym powodzeniem na scenach sowieckich cieszył się ostatnio utwór T. Korusznika „Kocha, lubi, szanuje”. Był on grany 756 razy w 33 teatrach.

Nagrodę za najlepszą książkę obcą przełożoną na język francuski zdobył Anglik G. Painter za monografię „Marcel Proust”, uważaną za najlepszą książkę o Prouście.

Wileńskie pismo w języku polskim *Czerwony Sztandar* zwiększyło w ub.r. liczbę prenumeratorów prawie o 50%. Rośnie również liczba prenumeratorów pism sprowadzanych z Polski.

Tygodnik wydawany w Pradze *Literarni Noviny* stwierdza, że rozwój wydarzeń w Europie zmierza do zaciśnienia współpracy ogólnoeuropejskiej przede wszystkim w dziedzinie kultury i gospodarki.

RÓŻNE

W Moskwie zmarł 68 letni minister Obrony ZSSR marszałek R. Malinowski.

Na mistrzostwach hokejowych w Wiedniu 67 osób — w tym 2 Polaków i 56 Czechów — poprosiło o azyl polityczny.

Wysłannik Watykanu Msgr. Casaroli spotkał się z „katolikami reżymowymi” B. Piaseckim i J. Frankowskim.

Tunizja przejęła dziennik *La Presse* i aresztowała jego właściciela, obywatela francuskiego H. Smadja. Jest on również właścicielem paryskiego *Combat*.

Telewizja BBC 2 nadała program poświęcony rozgłośni *Wolna Europa*, oparty na podobnym programie telewizji w Kolonii. Telewizja w Kolonii krytykowała działalność RWE.

Przywódca Światowego Kongresu Żydów dr N. Goldman udaje się do Pragi, a następnie do Budapesztu, Belgradu i Bukaresztu.

DATA	POLITYKA
8-4-67	Przewodniczący Rady Państwa, Ochab, zakończył wizytę w Rzymie nie składając kurtuazyjnej wizyty Papieżowi.
9-4-67	Według doniesień z Tokio na posiedzeniu Politbiura chińskiej partii komunistycznej, Mao Tse-tung odniósł ostateczne zwycięstwo nad głową państwa Liu Szao-czi, przeprowadzając większością głosów uchwałę określającą Liu jako rewizjonistę.
10-4-67	W Brukseli, podobnie jak poprzednio w Paryżu, doszło do gwałtownych demonstracji ulicznych z racji wizyty wice-prezydenta Stanów Zjednoczonych Humphrey'a.
11-4-67	Stany Zjednoczone posiadają 1446 pocisków kierowanych, rozmieszczonych na lądzie lub na okrętach podwodnych a ZSSR tylko 470 — oświadczył min. McNamara.
12-4-67	Minister spraw zagranicznych NRF przybył do Londynu by omówić sprawę przystąpienia W. Brytanii do EWG oraz stosunki z Europą Wschodnią.
13-4-67	Kancelarz NRF Kiesinger ogłosił propozycje dotyczące współpracy z NRD, m.in. w zakresie wspólnej budowy dróg i kolei.

KULTURA I NAUKA

Występ orkiestry Filharmonii Warszawskiej pod batutą W. Rowickiego w londyńskim *Festival Hall* zdobywa wiele pochlebnych recenzji w prasie angielskiej.

Brytyjski miesięcznik *Encounter*, a poprzednio zachodnioniemiecki *Der Spiegel* zamieściły dwa dokumenty dotyczące protestów intelektualistów sowieckich wobec prób rehabilitacji Stalina.

W. Brytania zdobyła tegoroczną nagrodę „Oskara” za najlepszy film, najlepszego aktora i najlepszą aktorkę roku. Nagrody otrzymali: Paul Scofield i Elisabeth Taylor, oraz film „A Man for All Seasons”.

RÓŻNE

W Seminarium poświęconym jedności Europy, zorganizowanym przez Europejskie Zrzeszenie Studentów w Cambridge, bierze udział delegacja studentów i naukowców z Polski.

Danuta Mostwin otrzymała stypendium państwowe na studia doktorskie w *Columbia School of Social Work* w Nowym Jorku.

Komisja amerykańska badająca przyczyny tragicznego wypadku kabiny kosmicznej „Apollo”, w której spalili się trzej astronauty, stwierdza, że zasadnicze przepisy bezpieczeństwa zostały zaniedbane. Komisja stwierdziła również błędy w planach, budowie i wykonaniu kabiny.

Znanemu poecie W. Iwaniukowi, który zamierzał spędzić wakacje w Polsce, władze warszawskie odmówiły wizy. Jest to *pouforna* odmowa. Ilustruje ona znakomicie „zbliżenie między literaturą krajową a emigracyjną”, o której tak ładnie mówił J. Iwaszkiewicz i inni na Zjeździe poetów który odbył się w Paryżu w pierwszych dniach marca r.b. Okazuje się, że władze PRL wymagają obecnie pisemnego zobowiązania, że po powrocie nie będzie się krytykowało stosunków w Polsce.

Paskudny zawód re-writera

Jean Cau pisze w „Le nouveau Candide”, że wbrew trwającemu od szeregu lat usiłowaniom zbliżenia młodzieży angielskiej do kontynentu, młodzież ta amerykanizuje się na potęgę. Ani wymiany studentów, ani ułatwienia turystyczne nic nie pomagają. Za kilkadziesiąt lat, dumna, pogardliwa, zakochana w sobie Anglia obróci się definitywnie plecami do Europy i stanie się satelitą amerykańskim.

Czy to samo grozi Francji? De Gaulle wie, że jego wystąpienia anty-amerykańskie cieszą się poparciem nie tylko komunistów. Iluż to Francuzów, nie mających nic wspólnego z tak zwaną lewicą, witało z radością, zacierając ręce, wiadomość, że 40 tysięcy Amerykanów należących do wojsk atlantyckich opuści Francję. *Qu'ils foutent le camp, et au plus vite...* — mówili. Lecz ci sami Francuzi, z których przeszło 5 milionów głosuje na komunistów, ci sami Francuzi, którzy naskórkowo i nie wiadomo dlaczego nienawidzą Amerykanów, niespostrzeżenie, nieustannie, w nieprzerwanym, i wydaje się nieuniknionym, procesie — amerykanizują się. Nic tu nie pomoże rozpaczliwe wznoszenie rąk ku niebu, fakt jest niezaprzeczalny. Gdzie i w czym objawia się wpływ wschodu u 5 milionów komunistów francuskich? Czy zaczęli oni pić herbatę, chodzić w papachach, palić machorkę, załewać się wodą? Kto z nich, poza grupką smutnych i zawiedzionych intelektualistów, zna lub czytał Szołochowa, Pilniaka czy Andrzejewskiego? I odwrotnie: 90 procent młodzieży francuskiej, która jakoby odnosi się niechętnie do Ameryki, wie doskonale co to jest *jam session*, lecz nigdy nie słyszała o Gogolu. Ta sama młodzież zachwycą się James Deanem, beatnikami, ale ani jej w głowie śpiewać hymny pochwalne na rzecz radośnie twórczego komsomolca, który szczerzy zęby znad kierownicy traktora. Wschód dla niej był, jest, i prawdopodobnie będzie mało ponętną egzotyką.

Ale obok tych masowych objawów histeryzującej ameryka-

nizacji (vide LSD czy obłądne seanse gdy zjawia się tutaj jakiś Sammy Davis jr. lub Trini Lopez), życie nasze tu, w Europie zachodniej, nasycone jest wpływami pochodzącymi z tamtej półkuli, znacznie mniej widocznymi i często tak głęboko zakorzenionymi, że zapominamy o ich źródle. Przecież w sporcie nie można zrobić kroku, by nie natknąć się na słowa anglosaskie w rodzaju punch, k.o., dribbling, football, walk-over, przecież w radio, telewizji czy filmie nie można zrobić kroku by nie spotkać słów anglosaskich: play back, jingle, travelling, przecież na ulicy nie można zrobić kroku, by nie spotkać chłopaka lub dziewczyny w blue-jeans'ach i wychodzących z drug-store'u. Dalsze wyliczanie tych oczywistości właściwie mnie nudzi. Stawiam tezę: Francja, podobnie jak cała zachodnia Europa, amerykanizuje się. Ponieważ jednak proces ten budzi w niej dziewiczy wstyd, woli nazywać go anglizowaniem się. Wielka Brytania służy jej za pośrednika czy za parawan. I tak staje się ona w życiu codziennym satelitą amerykańskim z drugiej ręki.

O tym czy ta amerykanizacja jest zjawiskiem pozytywnym czy ujemnym można by napisać wiele. Nie jest to jednak moim zamiarem. Niech każdy wyciąga sobie wnioski jakie się mu podobają. Chciałbym natomiast poświęcić kilka uwag instytucji świeżo i na gorąco przeniesionej z Ameryki, a która nazywa się *re-writing*. Jest to zjawisko dogłębne, bo pociągające za sobą konsekwencje psychologiczne i społeczne. Zjawisko jednak zamaskowane, ukryte, przyczajone i stąd mało znane. Oto kilka słów prawdy o *re-writing'u*.



Mało osób na świecie robi to co lubi, lub to, co chciałoby robić. Wśród moich znajomych do tej uprzywilejowanej kategorii ludzi należy Jerzy Giedroyc i Witold Gombrowicz. Może są jeszcze inni, o których nie wiem. Ja w każdym razie należę do tej większości, która robi to, co nakazuje twarda rzeczywistość. I tak stałem się *re-writer'em*.

Na czym to polega? Na ogół czytelnicy wyobrażają sobie, że tak zwany *re-writing* ogranicza się do nieznacznego przerobienia tekstu, postawienia przecinków, wprowadzenia pewnego ładu, wydobycia rzeczy interesujących, zastąpienia zwrotów niefortunnych przez szczęśliwsze. Ci, którzy tak myślą żyją jeszcze na początku XX wieku. Bo *re-writing* w drugiej połowie XX wieku to cała sztuka, wiedza, szereg nieubłaganych zasad, zmierzających do fałszowania rzeczywistości w myśl ustalonych postulatów. Tu, jak wszędzie indziej, ludzkość zrobiła w ostatnich czasach ogromne postępy.

Ci, którzy upierają się przy dawnym pojęciu *re-writing'u*, powiedzą mi — drogi panie, nie ma na świecie redakcji gdzie nie istniałaby tak zwana „linia”: o tym lepiej nie mówić, tutaj należy ograniczyć się do lekkiej aluzji, tam wystarczy delikatna insynuacja, a to trzeba wydobyć, podkreślić, wyolbrzymić. Po co

więc tyle hałasu o rzecz znaną i wieczną jak świat? Odpowiadam: między szeptanymi na ucho wskazówkami na konferencjach redakcyjnych a *re-writing*'iem drugiej połowy XX wieku jest taka różnica jak między pocciwym i sapiącym parowozem a samolotem odrzutowym.

Przechodzę jednak do konkretnych wypadków.

Pismo, w którym pracuję, którego nazwę zataję ze zrozumiałych względów, jest tygodnikiem ilustrowanym o nakładzie przeszło 300 tysięcy egzemplarzy. Poświęcony jest on wyłącznie zbrodniom, historiom kryminalnym, tajemnicom policyjnym. Chwali się, że żadne inne pismo na świecie nie przeprowadza tak dokładnych i tak rewelacyjnych dochodzeń w sprawach kryminalnych.

W tygodniku tym pracuje 33 dziennikarzy. Dzielą się oni na dwie wyraźne, przedzielone zasadniczą linią demarkacyjną, grupy. Pierwsza z nich składa się z reporterów i fotografów. Gdy w jakimś zakątku Francji Jaś zamordował Małgosię wskazując do pociągu, samolotu czy samochodu, lecą na miejsce zbrodni, węszą, kręcą się, wypytują ludzi, fotografują, zbierają elementy. Potem przywożą do redakcji fotografie i piszą na miejscu raport z danymi, lub, gdy jest bardzo późno, raport ten dyktują przez telefon. W zależności od temperamentu reportera raport jest czasami suchym zestawieniem faktów, danych, szczegółów dotyczących miejsca i przebiegu zbrodni, a czasami wzruszającą, sentymentalną wizją danej sprawy, jaką autor sam sobie stworzył.

Druga grupa, to mózg redakcji. Składa się ona z redaktora naczelnego, jego zastępcy i 5 *re-writer*'ów (4 mężczyzn i młoda dziewczyna, mini-spódnica, ogromne czarne okulary, które zakrywają połowę twarzy, nieodłączny papieros w kąciku warg; smutna, znudzona, zblazowana, po całym dniu babrania się we krwi i cudzych zbrodniach, niezmiennie przesiaduje w lokalach nocnych po tym, gdy pisze jak Jaś wiercił nożem dziurę w brzuchu Małgosi — ziewa; latem, opowiadała mi, żeby zapomnieć o okropnościach, pędzi po pracy samochodem z Paryża nad morze, 250 kilometrów, siada na pustej, głuchej plaży i do rana słucha szumu fal). Między reporterami a *re-writer*'ami, zimna wojna. To oni nas nie lubią. Nazywają nas z przekąsem, z ironicznym uśmieszkiem „geniuszami”.

Re-writer dostaje od archiwisty akty sprawy, które zawierają raport reportera, czasami jakieś wycinki z prasy, fotografie miejsca zbrodni i protagonistów. *Re-writer* studiuje sprawę, potem idzie do redaktora naczelnego i składa sprawozdanie, a raczej przedstawia projekt opowiadania, które ma zamiar napisać. W dyskusji nad tym projektem biorą udział: redaktor naczelny, jego zastępca, szef *re-writer*'ów i sam *re-writer*. Cztery mózgi, czasami przez pół godziny szukają rozpaczliwie rewelacyjnego, sensacyjnego kłamstwa.

Moja pierwsza sprawa wydawała się niezmiennie prosta. W jakimś miasteczku belgijskim młody człowiek, który nazywał się

Marcel, zadusił własnymi rękami swą kochankę, Yvette. Marcel był skromnym urzędniczyzną, zarabiał niewiele, Yvette szastała pieniędzmi; gdy znaleźli się w długach, bez forsy, a Yvette zapowiedziała, iż ma zamiar rzucić swego kochanka, Marcel ją zamordował. Jasne...

Idę na konferencję, opowiadam jak będę przeprowadzał suspensy, od jakiej sceny zacznę opowiadanie, gdzie umieszczę wzruszające akcenty, w jakim złośliwym świetle przedstawię ofiarę.

Redaktor naczelny patrzy na mnie stalowymi oczami. — „Pan nic nie rozumie...” — mówi w pewnej chwili brutalnie.

Poruszam się nieswojo na krześle.

„Przecież fakt, że ktoś kogoś zamordował dlatego, że znalazł się w długach nikogo nie interesuje” — mówi redaktor naczelny cedząc słowa — „Pan z tej historii zrobi zbrodnię na tle zazdrości, Yvette zdradzała swego kochanka...”

Otwieram zdumione oczy. Nigdzie, ani w raporcie reportera, ani w wycinkach gazet nie było słowa o tym, że Yvette miała innych kochanków poza Marcelem. Oponuję nieśmiało. Redaktor naczelny macha zniecierpliwiony ręką. „My podajemy rzeczy, o których inni nie wiedzą, my dajemy naszym czytelnikom rewelacje...” — stwierdza kategorycznie. Potem przez 20 minut cztery mózgi w intensywnym wysiłku układały i dobierały fakty w ten sposób, by tę zbrodnię przedstawić w innym świetle niż to, które było zgodne z rzeczywistością.

I tak zaczęło się. Pod moim piórem Yvette stała się ladacznicą, dziewczyną o rozpasanym temperamencie seksualnym, którego ani biedny Marcel ani tabun innych mężczyzn nie byli w stanie zaspokoić. Gdy oddawałem skończone opowiadanie nie wiedziałem właściwie gdzie jest prawda. A może redaktor naczelny miał rację, a może Yvette była w istocie rozszałym zwierzęciem seksualnym? Jedno było pewne: Yvette w grobie nie mogła już prostować naszej wersji.

Odtąd zacząłem funkcjonować prawie bezbłędnie jak prawdziwy *re-writer*. To znaczy zniekształcałem fakty, naginałem je do góry ustalonej tezy, naświetlałem je zgodnie z życzeniami pisma, wymyślałem i tworzyłem nowe gdy zaszła tego potrzeba, hasałem wolny i swobodny po życiu nieznaney mi istoty jak ów dziki kozak po stepach ukraińskich. Fantazja i tylko fantazja. Od *re-writer'a* wymaga się tylko fantazji.



Wszystko głupstwa, ten Zdziechowski kłamie jak najęty — powiedzą ludzie źle wychowani. Otóż daję słowo *re-writer'a*, że mówię prawdę. Toż to ohyda — zakrzykną ci, którym szlachetne uczucia nakazują żyć w iluzjach. Nie wiem, wcale tego nie jestem taki pewien. Oto przykład.

Niedawno w zaroślach jednego z lasków podparyskich znaleziono ciało nagiej, młodej i prześlicznej dziewczyny. Autopsja

wykazała, że dziewczyna została uduszona, policja wykryła, że nazywała się Solange, że była *call-girl*, że jej podręczny notes zawierał 300 nazwisk i adresów mężczyzn, że ostatnio utrzymywał ją bogaty przemysłowiec z północnej Francji, że kochała się w Murzynie, który gra w orkiestrze na bębnie w jednym z lokali nocnych. Mnie przypadło w udziale opisanie jej życia i przedwczesnego końca w sposób wzruszający, jedyny, niezapomniany, sensacyjny. Zadanie wykonałem.

W jakiś czas potem spotkałem na ulicy młodego Francuza, którego nie widziałem od dłuższego czasu. Nie wiadomo dlaczego ucieszył się na mój widok, zaciągnął do kawiarni, posadził przy stoliku i postawił piwo.

— Co pan robi? — pyta się.

— Pracuję w tygodniku, który nazywa się tak a tak...

Zainteresował się.

— Czytam to pismo od czasu do czasu i niedawno widziałem długą historię o tej dziewczynie, Solange. Czy to pan pisał?

Kiwam potakując głową.

— A ja ją znałem — mówi cicho mój znajomy.

— Pan z nią spał? — pytam zimno i cynicznie.

— Nie, ale kilku moich przyjaciół, tak. Byli w niesamowitym strachu, że policja będzie ich przepytawać, bo znaleziono w mieszkaniu Solange jej notes z adresami... — Zamyślił się. — Ale wie pan co, ja po przeczytaniu historii jej życia w pańskim piśmie, zmieniłem o niej zdanie. Spotykałem ją często w drug-storze na placu Opery i zawsze uważałem, że ta dziewczyna jest zupełnie nieinteresująca, a teraz widzę, że to było dobre, nieszczęśliwe stworzenie, prześladowane przez życie...

Milczę. Mogę mu powiedzieć, że tę wzruszającą stronę jej życia wymyśliłem ja, ot tak, z palca, z niczego. Że to ja zrobiłem z tej głupiutkiej istoty, latającej obłądnie za forszą, pół-aniola, którego deptali źli, wredni mężczyźni. Ale milczę. Niech ta pseudo-prostytutka ma swój pomnik nakreślony niezdarną ręką *re-writer'a*, w klekocie dziesięciu, piszących naraz maszyn, w brzęku dzwoniących telefonów, w gwarze rozmów, w zaduchu dymu z papierosów.



Nadszedł czas by uronić kilka łez nad pożałowania godnym losem *re-writer'a*. Jest on nieszczęśliwy z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że wymaga się od niego, jak od nikogo innego na świecie, nieustannego wysiłku wyobraźni, umiejętności tworzenia faktów z niczego, na oczekaniu, układania ich w jakąś logiczną całość i to wbrew istniejącej rzeczywistości. Praca zastępowania konkretnych faktów faktami zmyślonymi jest nieludzkim zadaniem. Po drugie, puszczając wodzę swej fantazji, musi on jednak działać w myśl ustalonych i bardzo precyzyjnych zasad. W wypadku mojego pisma obowiązywały następujące zasady:

a) prawda nie interesuje nikogo. Czytelnicy chcą rzeczy wzruszających, sentymentalnych, wstrząsających lub brutalnych, mrozących krew w żyłach. Szał seksualny i morze krwi. Oto dwa sztandary. Dlatego zbrodnie popełniane dla zysku stawały się zbrodniami nikczemnych sadystów, zbrodniami nieszczęsnej, zawiedzionej miłości, zbrodniami rozgrzanych do wybuchu instynktów seksualnych;

b) w opisie wydarzenia nie ma miejsca na pół-cienie, niuanse, wątpliwości, współ-udział w winie mordercy i ofiary. Z jednej strony jest bestia apokaliptyczna, z drugiej anioł. Kto zostaje zaliczony do istot niewinnych, a kto do szatanów, zależy wyłącznie od tego jak historia się układa. Jeżeli względy na suspens i sensację nakazują zrobienie z ofiary belzebuba, a z mordercy człowieka o nieskazitelnych uczuciach, nie ma co suszyć sobie głowy skrupułami;

c) mordercy i ofiary w aferach popełnianych na tle miłości, zazdrości, czy rozwyrzenia seksualnego muszą być cudownie piękni. Przeżycia sentymentalne brzydoty nikogo nie wzruszają. Doszedłem też do genialnej wprawy w opisywaniu monstrialnych, starych bab w okularach, które pod moim piórem zamieniały się w powabne istoty, chodzące w ciasno przylegających swetrach i sukniach podkreślających foremne kształty ciała nabrzmiałego chucią. Fotografia obok przeczyłałym słowom. Ale morderstwo jest wyłącznym przywilejem ludzi pięknych. I tak my *re-writer*'zy tworzyliśmy olimp apollonów i wenus, który tarza się we krwi;

d) realizm i skrupulatna precyzja obowiązywały tylko w: datach i miejscach urodzenia opisywanych osób, ich nazwiskach i zawodach, ich koligacjach, datach ślubu, urodzin dzieci i ich imion, miejscu zamieszkania, opisie miejsca zbrodni (do tego służyła fotografia lub szkic reportera), zeznaniach świadków. To ostatnie sprawiało najwięcej trudności. Jeżeli zeznanie nie pasowało do ustalonej koncepcji pomijało się je milczeniem, gdyż deformacja zeznania jest rzeczą niebezpieczną. Poza tymi elementami, które wymagają dokładności, szaleje dowolność ujęta w karby ustalonej interpretacji morderstwa;

e) *re-writer* musi tak pisać, jakby był naocznym świadkiem wydarzenia. Stanowi to dodatkowy wysiłek wyobraźni. Jego fantazja tchnąć musi zaciekłym, jaskrawym, bijącym w oczy realizmem. Musi on akumulować szczegóły, opisywać je z największą dokładnością. Jest to przede wszystkim ważne w opisie sceny mordu. Ileż to razy podnosiłem rękę uzbrojoną w nóż, mrużyłem oczy mierząc z rewolweru, zaciskałem palce na drgającej szyi. Potem, razem z kolegami i smutną dziewczyną szliśmy na piwo do pobliskiej kawiarni.

Jest jeszcze jedna sprawa. Czy można wypisywać bezkarnie świństwa o konkretnych osobach, podając ich nazwiska i daty urodzeń? Przecież wydawałoby się, każda tego rodzaju historia powinna zakończyć się procesem o oszczerstwo. W tej dziedzinie

jednak istnieje także kilka żelaznych zasad. O zbrodniarzu można powiedzieć wszystko, bo ktoś kto siedzi w więzieniu jest dostatecznie zaszargany, o ofierze — prawie wszystko, bo z grobu nikt się nie odzywa, a rodzina, przeważnie biedna, nie ma odpowiednich funduszy, by wszczynać proces; gdy w sprawę zamieszany jest ktoś potężny, trzeba uważać, operuje się wówczas insynuacjami.

Re-writer wymyśla, kłamie, improwizuje, lecz robi to w imię bezwzględnie obowiązujących zasad. Nie ma on żadnej wolności. Jest biednym pionkiem na usługach potężnych instynktów mas. Zamiast zwalczać, podsycy je. I na tym polega żałosny los *re-writer'a*.



Tak po krótko wygląda praca *re-writer'a* w szmacie. Chciałbym dodać, że moje pismo operuje *re-writer'ami* od niedawna. Przedtem posługiwało się wyłącznie reporterami, którzy, opisując zbrodnie, starali się podawać fakty jak najbardziej zbliżone do rzeczywistości. Gdy jednak pismo zaczęło podupadać wprowadzono instytut *re-writer'ów*.

Nie wiem czy moja spowiedź przekonała czytelnika o dogłębnej roli *re-writer'a*. Powiem mu więc jeszcze to. Obecnie we Francji nie ma większego tygodnika czy miesięcznika (wśród dzienników jest to mniej rozpowszechnione) który nie miałby sztabu *re-writer'ów*. Zniekszałcają oni rzeczywistość w sposób mniej drastyczny niż w brukowym piśmidle, działają w innych dziedzinach: politycznej, ekonomicznej, społecznej. Ale z nudnego profesorskiego rozważania wyciągają na wierzch sensacje, przykuwają uwagę publiczności, deformują prawdę. Jakie to ma konsekwencje?

Dla samych dziennikarzy fatalne. Powstaje anonimowa kasta wyrobników, sprzedających swą umiejętność pisania i swe okruchy fantazji byle komu. Kasta ludzi bez własnych poglądów, najemników dwudziestego wieku. Z równą nonszalancją i łatwością pracować oni będą dzisiaj w piśmie lewicowym, a jutro w gazecie skrajnej prawicy. Wśród *re-writer'ów* jest oczywiście hierarchia. Na samym szczycie znajduje się kilku, którzy mają własne poglądy, którzy podpisują swe artykuły. Takim genialnym *re-writer'em* Francji, znajdującym się na najwyższym szczeblu, człowiekiem, który się nie sprzedaje, lecz mówi to co myśli, jest Raymond Cartier. Ma on sztab reporterów, którzy biegają po świecie, zbierają mu elementy, a on na podstawie tych danych pisze artykuły. Cóż to jest jeżeli nie *re-writing*? Ale Raymond Cartier, to bóg, wyjątek. Takich *re-writer'ów* liczy się na palcach. Reszta to ciemna, anonimowa masa ludzi bez twarzy (ja w moim piśmie miałem aż osiem pseudonimów, które przydzielał mi z urzędu redaktor naczelny). Dziennikarstwo na skutek *re-writing'u* zamienia się powoli w pracę wykonywaną przez techników. Nie jesteśmy jeszcze w epoce, w której Jean Corre zacząłby pi-

sać w „Humanité”, a Viansson-Ponté w „Figaro”, ale idziemy ku niej.

A konsekwencje *re-writing*’u jeżeli chodzi o samych czytelników i poziom prasy? *Re-writing* służy jednemu bogowi: Hermesowi. Obowiązują go tylko zasady komercjalizacji. Wszystko inne jest nieważne. Nic dziwnego też, że *re-writing*, ten produkt amerykański, opracowany z matematyczną dokładnością na podstawie znajomości potrzeb i zainteresowań mas, panoszy się coraz bardziej w prasie europejskiej.

Czy *re-writing* istnieje w krajach komunistycznych? Myślę, że nie. Tam jest co innego. Tam panuje „zniewolony umysł”, który nie dostrzega lub nie chce dostrzegać prawdy. W każdym razie tak było za czasów Stalina. Jeżeli w krajach komunistycznych zaczniesz rozwijać się pewna wolność słowa, powstanie tam prawdopodobnie konieczność powołania do życia *re-writer*’ów.

Co jest gorsze, *re-writing* czy zniewolony umysł? Nie potrafię na to odpowiedzieć. Tak samo nie potrafię odpowiedzieć na inne pytanie: komu jest potrzebna prawda? I po co w ogóle prawda?



Niedawno miałem w nocy widzenie. Śniło mi się, że czytam ogromne ogłoszenie: redakcja miesięcznika „Kultura” w Maisons-Laffitte poszukuje *re-writer*’a. Rano, po obudzeniu, pod wrażeniem tego widziadła, chwyciłem za telefon. Okazuje się jednak, że to nieprawda. Okazuje się że to był sen *re-writer*’a.

Paweł ZDZIECHOWSKI

P.S. Tym, którzy się oburzają na rodzaj pracy, który wykonywałem, śpieszę donieść, że z pisma poświęconego zbrodniom, wystąpiłem. Jestem teraz *re-writer*’em w miesięczniku, gdzie przerabiam i przekształcam przemówienia wyborcze, artykuły gospodarcze, wywiady z gwiazdami filmu i teatru.

Wystawa E. Koniuszego

Indywidualna wystawa rzeźbiarska to w warunkach obecnych wyczyn nie byle jaki. A cóż dopiero gdy mamy do czynienia z artystą, który znajduje się dopiero od 9 lat w tym kraju!

Edward Koniuszy jest uczniem Xawerego Dunikowskiego. Jest jednym z tych, którzy z nim współpracowali po ukończeniu studiów, co oczywiście

wskazuje na pewne zbieżności w formie. Może dla tego znamienity jest dalszy rozwój artysty, oznaczający wyzwalanie się z realizmu.

Obecna wystawa pozwala zorientować się w twórczości tego niespokojnego artysty. Niespokojnego, bo ciągle poszukującego form dla wypowiedzenia się.

Z najdawniejszych prac, które stanowią niejako ilustrację do minionych dzieł, wybija się kilka główek dziecięcych w jasnym drzewie. Są to niemal delikatne — chciałoby się powiedzieć pastelowe — portrety. To po prostu pokaz dobrej roboty. Ale tuż obok — na następnym etapie — jest nieduża rzeźba — też w jasnym drzewie — w której Koniuszy po raz pierwszy operuje skrótami i uproszczeniami. W pełni dopiero wystąpi to w pracach ostatniego roku. Koniuszy pokazał po raz pierwszy w Toronto prace w kamieniu i brązie; wiadomo, że miał kilka prac w metalu, ale te są już w posiadaniu prywatnych kolekcjonerów; nie porzucił drzewa, jedynie postuguje się znacznie mniej tym materiałem, jakkolwiek potrafi zeń wydobyć bardzo wiele. I tak np. duża figura „Krzyk” w ciemnoszarym kolorze dominuje nie z powodu rozmiarów, ale formy i wyrazu. Bije z niej już nie strach ale przerażenie. To jakiś krzyk rozpaczny wydobywa się z szeroko rozwartych ust z zarysowanymi kilkoma zębami. Cała twarz to te rozwarte usta, schylona w tył głowa. Sylwetka człowieka jest ledwie wyłobiona natomiast mówią ręce!

Koniuszy potrafi fascynować ogromnymi wręcz uproszczeniami. W grubo ociosanym marmurze wyrzeźbił „Dumą”. Oczywiście to abstrakt, ale gdy dobrze mu się przyjrzeć to wyłoni się kształt ptaka. W kamieniu artysta posunął uproszczenia najdalej. Oszczędnymi środkami wydobywa wiele efektów. Pokazuje idealnie wyszlifowane zarysy ptaków, figury geometryczne, choć może w koncepcji artysty są one czymś innym. W drzewie stosuje często obok uproszczeń deformację. A wreszcie brąz. Odlewy wykonują specjalne firmy. Jest to bardzo kosztowny proceder, który nakłada ramy na artystów. Ramy podwójne bo zarówno jeśli idzie o rozmiary jak i ilość prac. Koniuszy nie jest rzeźbiarzem małych form. Najlepiej wypowiada się w dużych. Poszedł jednak na kompromis. Wystawił pięć prac w brązie, jedną dużą, trzy średnie i jedną mniejszą. Każda jest odmienna. Największa z nich to byk na arenie. Zapewne refleksja z niedawnego pobytu w Meksyku. Silny profil głowy — całkowicie płaska — na rozstawionych nogach daje wrażenie byka w natarciu. Ustawiony na wielkim kole z czerwonego kamienia nie pozwala oderwać oczu. Tylko „Modłaca” się — wykończona w lekko złotawej patynie — przypomina w swej deformacji prace artysty w drzewie.

Czy to dobrze czy źle, że artysta operuje różnymi formami i to zapewne nie tylko w zależności od materiału? Chyba dobrze, bo są to dowody poszukiwań. Twórca niepokój jest czynnikiem bardzo ważnym.

Wystawa odbywała się w Gallery Younge w Toronto, jednej z dwóch galerii znanych pod nazwą „W & W Galleries”, prowadzonych przez małżonków Kolankińskich. Oboje mówią doskonale po polsku i postawili sobie za cel rozpowszechnianie dzieł sztuki artystów różnych narodowości. Artyści kanadyjscy, Anglosasi i Francuzi, nie mają żadnych trudności, natomiast inni — niestety — wiele. Kolankińscy już kilkakrotnie wystawiali dzieła polskich artystów z Kanady a obecnie sięgają po zamieszkałych w innych krajach i oczywiście również w Polsce.

W niedalekiej przyszłości odbędą się tu dwie wystawy malarzy z Warszawy. Artyści polscy, gdziekolwiek się znajdują, winni pamiętać o „W & W Galleries” w Toronto.

B. HEYDENKORN

SINIAWSKI I DANIEL W IZRAELU

Na początku marca rb. grupa studentów Uniwersytetu w Jerozolimie wystawiła w auli uniwersyteckiej montaż sceniczny z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela opracowany przez Haima Finkelsteina. Sala była przepełniona. Na widowni znajdowali się profesorowie uniwersytetu i cała elita społeczeństwa jerozolimskiego. Przedstawienie, w języku hebrajskim, wypadło znakomicie. Dzięki fachowej reżyserii Etienne Debel'a, utrzymana była w dużym napięciu dramatycznym, a zreżymowane do akcji fragmenty utworów obu pisarzy (zwłaszcza początek opowiadania J. Daniela „Mówi Moskwa”, poprzedzony sygnałem radia moskiewskiego) wywołały olbrzymie wrażenie.

Prasa izraelska szeroko komentowała to przedstawienie.

KOMUNIKAT

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie zwraca się do Rodaków z gorącą prośbą o ofiarowanie Uniwersytetowi (lub udzielenie mu do wglądu) wszelkiej korespondencji, ewentualnie kopii, fotokopii, odpisów i tp. Ignacego Jana Paderewskiego, wielkiego pianisty, kompozytora i męża stanu, także tej, która by dotyczyła bezpośrednio lub choćby tylko pośrednio jego stosunków i rozliczeń z firmami wydawniczymi.

Korespondencja Paderewskiego — lub odpisy z tej korespondencji — z powyższymi firmami potrzebna jest Uniwersytetowi jako zapisobiercy praw autorskich Mistrza, korespondencja zaś z innymi osobami, lub odpisy z tej korespondencji będzie stanowić cenny nabytek dla muzeum pamiątek po Paderewskim, jakie Uniwersytet zamierza założyć w Krakowie.

Na życzenie i stosownie do okoliczności Uniwersytet gotów byłby kupić niektóre listy Paderewskiego lub do Paderewskiego, po zaznajomieniu się z ich treścią.

Pisma w powyższych sprawach prosimy kierować na adres p. Aleksandra Janty, 88-28 Forty Third Avenue, Elmhurst, N.Y. 11373 lub wprost do Uniwersytetu (Kraków, Gołębia 24).

Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego
Prof dr Mieczysław KLIMASZEWSKI

Uwagi o pasjonującej książce

Wyznacznikami postawy romantycznej jest przeciwstawianie się rzeczywistości zastanej, uczucie obcości w stosunku do otoczenia i walka z samym sobą. Współczesności przeciwstawia się światy urojone (np. wyidealizowane średniowiecze) — w dowolnych warunkach egzystencji dominuje poczucie przymusu i świadomość niezasłużonego skrępowania — każda romantyczna „godzina myśli” jest gorzkim rozrachunkiem i dialogiem ze Stwórcą, Naturą, Losem i td. Jeśli zastosujemy potoczną terminologię dzisiejszą i we właściwe konteksty wstawimy „alienację”, „monolog wewnętrzny”, „strumień świadomości” — zaktualizuje się przedziwnie i „Faust” i „Improwizacja Konrada” i „Nieboska”. Podobny efekt da zaaplikowanie nomenklatury romantycznej do dowolnej antypowieści.

Więcej. Od literatury współczesnej oczekujemy takich właśnie, czysto romantycznych, manifestacji postawy życiowej. Jesteśmy jak Rousseau czy Herder (lub Czechowicz, Wierzyński, Czerniawski) rozczarowani tzw. postępem i skłonni do katastrofizmu. Z drugiej strony, jak Wordsworth czy Coleridge nie ufamy rewolucjom. I — jak słusznie zauważył autor książki, o której będzie mowa — podpiszemy się pod diagnozą, iż źródłem romantycznych rozczarowań było to, że Wolność i Braterstwo z nagłówek urzędowych blankietów nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Hasła mówiły o Równości — ale już romantycy wczesnego okresu (a nawet preromantycy) obawiali się niebezpieczeństw równania w dół i krzywdy jednostki. Egocentryzm, w najbezwzględniejszym kształcie, stanie się cechą dominującą postawy życiowej szanującego się romantyka. Dr Schenk, w rozdziale poświęconym analizie tego zjawiska, powołuje się na Mariana Zdziechowskiego („Byron i jego wiek”), podpisując się

H. G. Schenk: *The mind of the European romantics. An essay in cultural history.* By H. G. Schenk. With a preface by Isajah Berlin. London, 1966, Constable, s. XXIV, 303(1), front., 16 pl.

pod aktualną dotąd oceną arcy-romantyzmu autora „Manfreda” i jego obsesji, z których najznamienniejszą była preokupacja samym sobą i związany z nią ekshibicjonizm.

Książka Dra Hansa G. Schenk’a, z Wolfson College w Oxfordzie, spotkała się w kołach historyków literatury i kultury z niezmiernie żywym przyjęciem — jest punktem wyjścia dyskusji metodycznych, służy jako wzór pokrewnych opracowań z innych epok. Otwiera ją bardzo zasadnicza w ujęciach przedmowa prof. Isajah’a Berlin’a, „anty-namierysty”, deklarującego swe stanowisko w sprawie potrzeby systematycznych badań z zakresu historii „intelektualnej”, zajmującej się stosunkami poglądów i czynów, oraz wielorakich ich oddźwięków w zakresie układu stosunków społecznych, ekonomicznych i politycznych. Dr Schenk rozszerzy w swej książce wpływy ideologii romantycznej na medycynę a nawet — na styl gry w szachy. Pojęcia wieszcz, duchowego wodza, wizjonera przyszłości tak bliskie romantykom — nie nowe i wtedy, ale głęboko rozpracowane i narzucane milionom — odzywać się będą po kilkudziesięciu latach w powieściach J. Verne’a, „nadczłowieku” Nietzsche’go — aż wreszcie, w formie spłyconej i skrzywionej, staną u kolebki XX-wiecznego totalitaryzmu, w doświadczonych przez nas boleśnie układach stosunków i kontekstach dalekich od marzeń. Nie zmniejsza to potrzeby bliższego ich analizowania. Romantyzm jest chroniczną i nieuleczalną chorobą ludzkości.

Romantyczna wiara w możliwość i doniosłość odkryć zmieniających oblicze świata a dokonanych przez czystych duchem i w dobrych intencjach — ma swe wymowne odpowiedniki w odkryciu radu i historii narodzin bomby atomowej. Równie romantyczne ślepe zaufanie do „nadludzkich” przywódców, wznoszących nowy ład na gruzach starego porządku — choćby za cenę cierpień i ruin — ucieleśnione w XIX w. w kulcie Napoleona — nasuwa nieprzyjemne analogie z terenu nie tylko Europy ale i Chin.

Analizowanie czynników składających się na ideologię romantyczną — a to zadanie postawił sobie Dr Schenk — jest przeto zabiegiem pouczającym i pożytecznym. Książka jego rozpada się na cztery części. Pierwsza z nich pt. „Bunt przeciw XVIII w.” omawia krytyki empiryzmu, zjawisko rozczarowania postępiem, przywiązywanie ogromnego znaczenia do oryginalności myśli i czynów, tęsknotę za utraconym rajem i tp. Szkoda, że nie uwzględnił idącego chyba najdalej w krytyce empiryzmu Hoene-Wrońskiego, który twierdził (w „Liście do papieży”); iż „Metoda eksperymentalna może nas prowadzić tylko do poznania rzeczywistości stworzonych, które jako takie należą po prostu do nauk (praktycznych); podczas gdy rzeczywistość najwyższa, która jest przedmiotem filozofii, winna być tworem człowieka, nie może być absolutnie poznana przez nic innego, jak przez prawdziwy akt stworzenia, sprawdzony przez nasz rozum”.

Część druga analizuje bardzo wnikliwie nihilizm i romantyczne choroby duszy, głód unicestwienia, wyzwania rzucane Bogu

i Kościołowi. Na podłożu tych ostatnich wyrosła, równie typowa dla postawy romantycznej, skłonność do rozważań religijnych i związane z nią ożywienie uczuć chrześcijańskich. Kult średniowiecza prowadził do katolicyzmu, rozbudowując przy okazji szeroko literaturę dewocyjną, emocjonalną, w formie medytacji tak typowych np. dla Krasińskiego.

Czwarta część książki Dra Schenk'a zajmuje się analizą najbardziej znanych i typowych cech postawy romantycznej: a więc romantyczną „przesadą”, kultem jednostki, wyolbrzymianiem uczuć miłości i przyjaźni, wierności i zdrady, podziwem dla zjawisk przyrody — a wreszcie na najwyższym szczeblu „zaczadzeniem metafizycznym”, apoteozą cech narodowych (a to sprawia, że tyle jest odmian romantyzmu, co narodów), i — na zakończenie — szeroko dziś analizowanym zjawiskiem korelacji literatury, muzyki, malarstwa (cf. niedawna książka Jul. Starzyńskiego „O romantycznej syntezie sztuk: Delacroix-Chopin-Baudelaire”, PIW, 1965).

Książka Dra Schenk'a zachęca do wglębenia się w mechanizm rozumowania czołowych romantyków europejskich na podstawie zebranych przez niego świadectw. Znajdziemy wśród nich liczne polonica: autor obeznany jest dobrze z twórczością Mickiewicza i problematyką mickiewiczowską, otarł się o pisma Krasińskiego i Słowackiego (ten ostatni figuruje parokrotnie jako Stowacki, z winy zapewne zecera).

Najdłużej zatrzymuje się Dr Schenk przy polskich koncepcjach narodowego mesjanizmu, ilustrując je na przykładzie Mickiewicza (str. 187-193). Wcześniej określa niesłusznie Mickiewicza (współ z [hrabią] Krasińskim), jako przedstawiciela „European nobility”, w kontekście dużego procentowego udziału arystokracji w ruchu romantycznym. Nasz wieszcz jest dla Dra Schenk'a postacią raczej ważną i oryginalną, niż wielką. Cechujący go — jak Carlyle'a — kult Napoleona i gwałtowność uczuć patriotycznych — nasuwają analogie z ultranacjonalizmem końca XIX i pierwszej połowy XX w. Ratuje jednak Mickiewicza skłonność do łącznego traktowania sprawy Polski i ludzkości, a także wspańiałość w stosunku do dawnych prześladowców Rosjan: ex-więzień miał przyjaciół Moskali.

Najpoważniejsze zastrzeżenia Dra Schenk'a budzi Mickiewiczowska koncepcja Polski jako narodu wybranego. Przypomina, iż zdaniem naszego poety, narodem takim nie mogli być Anglicy zbyt zaabsorbowani walką o władzę na morzach świata, ani przyziemni Niemcy, oglądani oczami innymi niż Mme de Staël, dla której dla odmiany byli narodem poetów i myślicieli. Skłóceni politycznie Francuzi epoki Ludwika Filipa nie nadawali się także do roli przywódców ludzkości. Dr Schenk sądzi — a podobnie myślał prof. J. Ujejski — że niewola domaga się antidotum ideowego dla podniesienia morale narodu. Antidotum zaaplikowane przez Mickiewicza działało. Usprawiedliwiała cierpienia i pomagało je znosić, poddając analogie Męki i Zgonu z obietnicą Zmartwychwstania. Dr Schenk wysuwa możliwość

wpływu matki (rzekomo pochodzenia żydowskiego) i żony na kształtowanie się starotestamentowych poglądów mesjanicznych Mickiewicza. Sprawa bardziej skomplikowana. Tradycja „mesjaniczna” ma dawną i szeroką tradycję, by wspomnieć Orzechowskiego, Woronicza, Brodzińskiego; nie Mickiewicz był jej wyznawcą i nie on rozbudował ją w swoisty system filozoficzny. Tu odsyłam do najnowszego ujęcia przedmiotu w t. II „Historii filozofii polskiej” śp. prof. Wiktora Wąsika.

Towianizm potraktowany jest przez Dra Schenk'a jako niewątpliwa aberracja umysłowa. Przynależność Mickiewicza jest dla niego świadectwem niebezpieczeństw tkwiących w przesadnej skłonności do irracjonalizmu. Tu znów dużo można by pisać o genealogii towianizmu wiążącej się z osobliwymi manifestacjami mistycyzmu z II-ej połowy XVIII w. (Grabianka etc.).

Dr Schenk porusza się najswobodniej wśród romantyków niemieckich i francuskich, zna jednak i czuje problematykę innych „romantyzmów” narodowych, zwłaszcza włoskiego i polskiego. Ciekawe, że właśnie te dwie odmiany, może na skutek pewnych pokrewieństw sytuacji politycznej, nasuwają szczególnie wiele analogii.

Mocną stroną książki są interesujące sylwety biograficzne wybitnych romantyków, wykazujące zbieżność życia i twórczości na przykładach mniej oklepanych niż Chateaubriand, Byron czy Shelley. Sylwety te służyć mogą jako szczęśliwe przykłady właściwego dawkowania danych biograficznych i ograniczania ich do elementów niezbędnych przy interpretacji twórczości.

Dr Schenk urodził się w Pradze w r. 1912, studia uniwersyteckie rozpoczął w Pradze i Monachium, ukończył w Oxfordzie. Ma w swym dorobku angielską książkę „The Aftermath of the Napoleonic Wars” (1947), niemiecką „Kulturkritik der europäischen Romantik” (Wiesbaden, 1956). Jest współpracownikiem „New Cambridge Modern History”. Mimo długich lat przebywania w Anglii jest pisarzem z ducha kontynentalnym, z dobrej szkoły komparatystów europejskich. Píše jasno, przekonywująco, pobudza do dyskusji, umie podtrzymać uwagę czytelnika. Książka zasługująca na uważne odczytanie.

Maria DANILEWICZOWA

Polska historia literatury hiszpańskiej

Pojawienie się popularnego opracowania historii literatury hiszpańskiej po polsku zapełni choć w części lukę, która powstała po wyczerpaniu się nakładu „Literatury hiszpańskiej” Józefa

Dzierżykraja-Morawskiego sprzed bodajże 35 lat. Zresztą, imponujące to dzieło, wydane w ramach wydawnictwa „Wielkiej literatury powszechnej”, pozostanie najambitniejszym zarysem, pięknie ozdobionym i trwałym dorobkiem Trzaski, Everta i Michałskiego, mimo że przez nieporęczny format, a przede wszystkim przez swoją szczegółowość, całe rejestry nazwisk i tytułów, napomykanie o rzadkich nawet dziełach podrzędnych autorów, nie odpowiada wymogom przeciętnego czytelnika polskiego. Ponadto, rzecz ta doprowadzona do 1930 r. wymaga poważnych już uzupełnień.

Prof. dr. Marii Strzałkowej, Kierownikowi Katedry Filologii Romańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, zawdzięczamy obecną książkę, pisaną pod kątem widzenia czytelnika łaknącego wiadomości z Półwyspu Iberyjskiego, do którego gwiazd znanych mu uprzednio, takich jak Cervantes, Lope de Vega i Calderon, doszły nazwiska świeżej daty: Pérez Galdos, Baroja, Lorca, Alberti.

Do truizmów należy przypominanie, że wśród trzech czy czterech czołowych literatur Europy, hiszpańska jest najmniej znana. A przecież ona to stworzyła dwie najbardziej frapujące i głębokie postacie literatury: Don Kichota i Don Juana. Europejską sławą cieszyły się jej romanse pasterskie i rycerskie „Diana” i „Amadis”. Powstała w Hiszpanii powieść łotrzykowska znalazła żywną glebę we Francji i Anglii, a setki i tysiące sztuk teatralnych stały się niespożytym kamieniołomem dla francuskich dramaturgów, którzy pokątnie budowali z nich pomniki literatury francuskiej, tak jak ich potomkowie mieli za Napoleona grabić zabytki hiszpańskiej sztuki. Mistycyzm hiszpański rozlał się daleko za Pireneje a, w naszych już czasach, sława całej plejady znakomych poetów obiegała świat.

Wytłumaczyć to zaniedbanie nie będzie łatwo. W dużej mierze odpowiedzialnością za nie obciążymy samych Hiszpanów, w tak niedostatecznym stopniu dbających o swój dorobek. I zacząć tu trzeba od samych pisarzy, których temperament jakże często wybija z kolein, jakich wymaga dojrzałe dzieło artystyczne. Geniusz hiszpański źle się czuje w korbach żelaznej dyscypliny, która musi czuwać nad kształtowaniem się dzieła. Brak mu spokoju, przemyślenia rzeczy do końca, usunięcia swojej osobowości, wyzbycia się pięknych słów i retoryki. Zbyt porywczy, aby cierpliwie nadawać formę, oddaje się chętniej błyskotliwym improwizacjom próbując przy tym ogarnąć najróżnorodniejsze pola twórczości. Wszechstronnością chce zastąpić głębię. Brak koncentracji i refleksji, systematyczności i uporządkowania, że jego owoce są bezkształtne, niedokończone, nieraz zaprzepaszczone. Niejednokrotnie sam autor nie kwapi się do zbierania swoich utworów i tylko przypadkowi zawdzięczamy ich częściowe zachowanie się. Teksty teatralne stawały się zwykle własno-

* Maria Strzałkowa: *Historia literatury hiszpańskiej. Zarys*. Ossolineum, Wrocław 1966.

ścią dyrektorów i autor po rozstaniu się z nimi często ich więcej nie oglądał. Nieraz do druku szły wersje bardzo niedoskonałe, okrojone i zmienione przez aktorów czy niedostatecznie dobrze podsłuchane podczas przedstawienia.

Nie zdziwi nas przeto sytuacja, w której znalazł się historyk literatury hiszpańskiej tracący grunt pod nogami, kiedy chce ocenić całą twórczość niektórych poligrafów. Jeśli historyk literatury polskiej policzy utwory teatralne XVII wieku na palcach jednej ręki, to Hiszpan takich rąk potrzebuje tysiąc prawie. Ale fakt, że teatr hiszpański jest bogatszy od wszystkich innych razem wziętych, nie powinien martwić piszącego zarys literatury. Nie należy przesadzać znaczenia pojedynczych tekstów, które mogą się jeszcze w przyszłości odnaleźć (np. odkryta w Czechosłowacji przed 10 laty przeciętna sztuka Calderona). Tytanów pióra nie oceniamy wedle całej twórczości, ale jej osiągnięć szczytowych. Skoro posiadamy ponad czterysta sztuk Lopego, to najlepsze z nich mówią nam o jego randze. Nie bez znaczenia natomiast pozostają korektywy niektórych dzieł spoczywających pod pyłem niekompetentnych czy przestarzałych opinii (np. „La fianza satisfecha” Lopego czy poezja Gongory).

Wzięcie za granicą literatura hiszpańska zyskała głównie dzięki niemieckim i angielskim naukowcom i tłumaczom. Często wypadło im bronić wielkości tej literatury przeciwko samym Hiszpanom, którzy do tego stopnia popadli w bałwochwalczy stosunek do zagranicznych nowinek, a *ipso facto* odsadzili od czci i wiary dotychczasowy dorobek własny, że odrzucili cały nieomal fenomenalny teatr Złotego Wieku z Lopem de Vega, Tirsem de Molina i Calderonem na czele, zwąc ich barbarzyńcami a zadawałając się mdłym importem neoklasyków francuskich.

Za podstawę swojego kompendium Strzałkowa obrała solidną historię Valbueny Prata posługując się także zagranicznymi opracowaniami częściowymi. Po krótkim wprowadzeniu szkicuje początki piśmiennictwa w Hiszpanii w języku łacińskim, arabskim, hebrajskim. Szkoda, że nie ilustruje liryki Arabów andaluzyjskich a także nie wspomina przy tej okazji rewelacyjnych urywków liryki mozarabskiej, niedawno rozszyfrowanych a cofających o dwa stulecia początki rodzimej poezji. Następnie śledzimy powstawanie epiki i prozy wyłaniających się ze średniowiecza ku nowym prądom humanizmu i renesansu. Traktując obszerniej o romancach i „Celestynie” (której niepewne daty właśnie przetasował bibliotekarz z Cambridge) dociera do Złotego Wieku. Wśród wielu postaci tego niezwykle płodnego okresu znajdujemy twórcę nowoczesnej poezji hiszpańskiej, który genialnie przeszczepił i zaklimatyzował metrykę italskich mistrzów. Podobnie jak Morawski, Strzałkowa nie zatrzymuje się dłużej przy rewolucyjnej roli jaką odegrał Garcilaso de la Vega, „książę poetów kastyljskich” i nie wymienia roku 1543, stanowiącego początek świetnego rozwoju poezji hiszpańskiej. Na ten sam czas przypada po przesileniu się mody na fantastyczne księgi rycerskie pojawienie się prekursora powieści łożrzykowskiej,

znanego w polskiej wersji jako „Łazik z Tormesu” (1554). Obok konkwistadorów ziemskich przychodzą mistycy, zdobywcy nieba. Romans pasterski spotkał się z letnim przyjęciem, bo poświęca mu się zaledwie pół strony, a był on nie tylko wehikułem neoplatonizmu dla szerokich rzesz czytelniczych ale także próbą analizy uczuć a przede wszystkim szkołą techniki powieściowej z której skorzysta z takim pożytkiem twórca nowoczesnej powieści: Cervantes. Wiekowi XVII, stuleciu baroku i wielkiego teatru hiszpańskiego dedykuje autorka najdłuższy rozdział wybijając, jak się można było spodziewać, dwie postacie: Lopego de Vega i Calderona z podkreśleniem ech słowiańskich w ich twórczości i jej fortuny w Polsce. Choć rozlegle pisze o ostatnim, to powołuje się na krytyków marginesowych z pominięciem tych, którym zawdzięczamy restaurację Calderona. Po zjadliwej, młodzieńczej napaści Menéndeza y Pelayo odbudowali oni i ugruntowali wielkość Calderona w naszych czasach. Chodzi o uczonych brytyjskich z Parkerem, Wilsonem i Slomanem na czele. Więcej uwagi autorka poświęca ponadto poecie Gongorze, wszechstronnemu Quevedo i Gracjanowi.

Wiek XVIII jest ubogi w wybitne dzieła literackie i dopiero poeci romantyczni przywrócą splendor literaturze hiszpańskiej. Powieść obyczajowa zapoczątkowała odrodzenie wielkich tradycji prozy. Alarcón, wyjątkowo wcześniej przekładany na polski, Valera, Pereda, a zwłaszcza Pérez Galdos wprowadzili ją na powrót do europejskiej czołówki.

Wiek XX jako najbliższy nam także otrzymał obszerny rozdział. Jest on bogato ilustrowany przekładami na polski i ozdobiony podobiznami pisarzy. Rejestr zacząty galerią pisarzy tzw. pokolenia 1898 r. (Unamuno, Valle Inclán, Baroja, Azorin, bracia Machado) kontynuuje dramaturg Benavente, poeta Ramón Jiménez, piewca Walencji Blasco Ibañez, Pérez de Ayala. Z sympatią traktuje autorka grono poetów pokolenia Lorki (J. Guillén, G. Diego, D. Alonso, V. Aleixandre, L. Cernuda, R. Alberti). Może przecenia nieco znaczenie Lorki jako dramaturga, nie doceniając go jako poety („straciła w nim Hiszpania także wielkiego poetę”). Zmarły na gruźlicę w więziennym szpitalu Miguel Hernandez, to najsilniejsza indywidualność spośród młodych poetów, których rozproszyła wojna.

Słabiej wypadła ocena a nawet selekcja pisarzy ostatniego dwudziestolecia. O ile Cela i Laforet patronują nowej powieści, o tyle szkoła „historycznego realizmu” ciesząca się rozgłosem politycznym, była zjawiskiem efemerydalnym i nie stworzyła trwałych pozycji literackich. W tym kontekście szkoda, że tylko wymieniona została zdolniejsza od całej tej grupy Anna Maria Matute, czy twórca imponującej trylogii poświęconej wojnie domowej, Gironella, czy Delibes. Brak zupełnie Sáncheza Ferlosio, autora ambitnej powieści „El Jarama”. Wśród dramaturgów nie figuruje A. Sastre a skoro jest Entrambasaguas, należało choćby wymienić edytorów i naukowców tej miary co Blecua, Lapesa,

García Blanco. Z młodszych wyróżniono V. Gaosa a zapomniano o Lopezie Estrada czy Alarcosie Llorach.

Dorzucam powyższe uwagi do tych, które zapewne same nasunęły się autorce od czasu publikacji książki, a które mogą się przydać przy opracowaniu następnego wydania zarysu. Ponieważ w sytuacji polskiej będzie to podręcznik jedyny przez długie lata, dobrze by było dać pełniejszy obraz dorobku hispanistów i tłumaczy polskich (brak np. nazwiska W. Folkierskiego).

Książka, w mojej opinii, zyskałaby także, gdyby autorka nie musiała się tak często powoływać na wcześniejszych kompilatorów czy zgoła tłumaczy. Czytelnik może odnieść fałszywe wrażenie, że są oni autorami poglądów, które tylko powtarza. Podając bibliografię, winna się czuć zwolniona z drobiazgowego rozliczania się z zaciągniętych pożyczek.

W sumie, otrzymaliśmy cenną pracę i rzecz na czasie. Wielką jej zasługą jest przegląd całokształtu literatury hiszpańskiej bez popadania w skrajność suchego rejestru czy ogólnikowej syntezy. Doskonałym pomysłem są ilustracje przekładami — z konieczności krótkimi i nie zawsze najlepszymi jakie istnieją (brak J. Łobodowskiego). Niemniej z trudnej sytuacji, bo Hiszpania jest ciągle jeszcze przedmiotem politycznych uprzedzeń i przetargów, autorka wysłała obronną ręką. Czytelnik polski wdzięczny jej będzie za książkę popularną a wcale nie błahą. Jest ona w dodatku napisana żywo i ciepło, bogato ilustrowana i wydana na dobrym papierze, ma poręczny format i płócienną oprawę. Wszystko na to wskazuje, że Ossolineum mogło śmiało podwoić nakład, który wyniósł 6500 egzemplarzy.

Florian ŚMIEJA

Owady w bursztynie

Swoją działalność wydawniczą zaczęła Polska Fundacja Kulturalna w r. 1963, chociaż istniała już poprzednio przy „Dzienniku Polskim”. Inicjatywę tę podjął p. Juliusz Sakowski, któremu chodziło o to, aby wykorzystać istniejące już możliwości i drukarnię przy Caldra House Press, drukującą między innymi *paperback*'i i tym podobne tanie wydania w języku angielskim.

Książki Polskiej Fundacji Kulturalnej (P.F.K.) są *paperback*'ami wychodzącymi seriami, w kompletach po pięć książek. Kompletu te są bardzo przystępne w cenie (po 30 szylingów lub 5 dolarów komplet), a każdy pojedynczo sprzedawany egzemplarz jest również w granicach możliwości finansowych większości polskich czytelników. Zamiarem P.F.K. jest wydawanie książek ład-

nych, w paro-kolorowych oprawach graficznych, w wygodnym formacie, drukowanych dobrą czcionką, i co więcej, często ilustrowanych rycinami malarzy i grafików o znanych nazwiskach. Każdy komplet wydaje się w ilości 3.000 egzemplarzy (razem 15 tys. książek w jednej serii). W sumie, są to wydania równie przystępne finansowo jak większość *paperback*'ów angielskich, a za razem, dzięki swej oprawie graficznej, apelujące do instynktów kolekcjonerskich.

P.F.K. zadebiutowała następującymi książkami: „Wróble Noce” I. Bączkowskiej (powieść z lat 1900-1914); „Tu i tam” A. Bogusławskiego (powieść historyczna z czasów Stanisława Augusta); „Chłopcy z Nowoszysek” F. Czarnyszewicza, powieść; „Im dalej w las” M. Hemara, wiersze zebrane; „Młodość sercem pisana” R. Kiersnowskiego, wspomnienia z dzieciństwa. Jest to seria raczej nietypowa dla dalszych, przede wszystkim dlatego, że już nie powtórzyły się żadne tomiki wierszy. Jest za to więcej esejów i wspomnień, a mniej powieści w dalszych seriach. W serii drugiej, na przykład, mamy więc oprócz takich pozycji jak S. Piaseckiego „Człowiek przemieniony w wilka”, czy Z. Nowakowskiego „Start Edmunda Sulimy” również A. Bregmana „Jak świat światem?”, eseje publicystyczne o stosunkach polsko-niemieckich napisane w r. 1963.

Do tej pory ukazało się siedem serii, a ósma właśnie poszła do druku. P.F.K. chce wydawać dwie do trzech serii rocznie, głównie powieści, pamiętniki, eseje, nowele. Jak zapewnia p. Sakowski materiałów nie brak. Oprócz książek „serii” ukazują się prace w sztywnych okładkach, o nakładzie o połowę mniejszym, o charakterze głównie niebeletrystycznym. Ukazały się m.in. takie pozycje jak: „The Crime of Katyn” po angielsku, z przedmową gen. Andersa; „Moja prywatna Ameryka” K. Wierzyńskiego, ilustrowana bardzo ciekawie przez Mariana Kościatkowskiego, a także „Pan Tadeusz” Mickiewicza, tłumaczony świetnie przez K. Mackenzie, z pięknymi ilustracjami, i wiele innych.

Z punktu widzenia literackiego profil wydawniczy P.F.K. można by określić jako 'łatwy'. Jest on chyba takim z samego założenia. Pogratiulować trzeba P.F.K. ilości sprzedanych książek; indywidualne tytuły rozchodzą się w ilości 1.700-2.500 egzemplarzy. Kupują je czytelnicy na całym świecie, nie tylko w Anglii. Najlepiej sprzedają się one w USA i Australii, może najgorzej we Francji. W największej ilości egzemplarzy rozsprzedano tom wierszy Hemara, „Im dalej w las” (miał dwa nakłady), a nakład „Pana Tadeusza” po angielsku jest już kompletnie wyczerpany. Sądząc po danych cyfrach najgorzej rozchodzi się „The Crime of Katyn”, do tej pory sprzedano tylko 650 egzemplarzy.

Wydaje się że większość czytelników P.F.K. serii w papierowych okładkach to publiczność prowincjonalna. Mało jest wśród niej czytelników szukających podniety intelektualnej, czy też interesujących się literaturą eksperymentalną.

Wydawnictwa polskie na emigracji prowadzą na ogół dość określoną politykę wydawniczą. Tak, na przykład, Instytut Lite-

racki w Paryżu ma zainteresowania społeczno-polityczne, a także chętnie wydaje książki tych autorów, którzy ze względów politycznych nie mogą być drukowani w Kraju. Oficyna Poetów i Malarzy drukuje wytworne tomiki wierszy, mniej lub więcej eksperymentalnej prozy i obiecujące debiuty. P.F.K. stara się zaspokoić gusta i potrzeby masy emigracyjnej, nie konkurując z żadnym właściwie z istniejących wydawnictw emigracyjnych. Wszystkie te wydawnictwa wypełniają obowiązek jakim niewątpliwie jest dla emigracji publikowanie polskiego słowa. Jednym z tych obowiązków jest, aby użyć tego frazesu, ujawnienie prawdy historycznej wobec faktu przemilczania jej w Kraju. Do obowiązków społeczeństwa emigracyjnego należy popieranie zarówno znanych, ustalonych nazwisk jak również stwarzania szans wyłonienia się nowych talentów. Dla zrealizowania tych celów musi istnieć nie tylko środowisko ale całe społeczeństwo emigracyjne, ta liczna „szara” ilościowo duża masa, utrzymująca możliwie jak najściślejszy kontakt z językiem i kulturą polską. Na stu polskich emigrantów może się znaleźć jeden talent literacki, ale szansa zwiększa się znacznie jeżeli będziemy mieli do czynienia z tysiącem lub dziesięciu tysiącami polskich domów, starających się o utrzymanie polskiego języka i kultury. Po to, aby nowe talenty mogły się wybić, a stare utrzymać ta masa ludzi jest konieczna. A jej potrzeb z kolei nie może zaspokoić i zadowolić niczym nie rozcieńczona pożywka intelektualna. Wszyscy zwolennicy intelektualizowania mas muszą się pogodzić z myślą, że społeczeństwo zawsze się będzie dzieliło na tych, którzy pójdą na Becketa i tych, ilościowo znacznie liczniejszych, którzy pójdą na „My Fair Lady”; tych którzy umieją się patrzeć na abstrakcyjne malarstwo i tych, przywiązanych do tradycji fotograficznej w malarstwie, którzy nigdy nie pojmą dlaczego portrety Picassa pokazują, przypuścmy, oko w pięcie. Jest przyjęte w kołach intelektualnie uświadomionych stosować sądy oceniające i uważać ten rodzaj rozrywki jaki oferuje Proust, Becket czy Picasso za lepszy, lekceważąc gusta zawodowych podoficerów jako rzecz 'gorszą' i niegodną uwagi. Nie jest to chyba stanowisko właściwe.

Wydawnictwo P.F.K. w *paperback*'ach to książki lekkie, łatwe, o stylu wręcz 'młodzieżowym'. Nawet takie studium o Modiglianim T. Wittlina nie ma w sobie nic z pracy naukowej, a przypomina przystępnie napisaną powieść. Nie ma właściwie książek żenująco złych lub pisanych złą polszczyzną. Większość jest pisana kompetentnie i przyjemnie. O reakcji szerokiej publiczności na ten rodzaj działalności wydawniczej świadczą przytoczone powyżej cyfry sprzedanych książek. Są one chyba najlepszym dowodem na to, że tego rodzaju inicjatywa była potrzebna społeczeństwu emigracyjnemu. Poczytność serii P.F.K. zaskoczyła samych inicjatorów, którzy zaczęli swą działalność w wielkiej niepewności. Po ponad trzech latach i ośmiu seriach, P.F.K. ma już właściwie ustalone linie wytyczne — wydaje głównie nowele, pamiętniki, powieści, eseje, trochę wznowień i parę debiutów.

Książki te są kupowane i w większości pisane przez tzw. średnie i starsze pokolenie. Stosunkowo najmniej interesują się nimi młodzi. W bardziej ambitnych *hardback*'ach stanowiących do pewnego stopnia „badania rynku”, wydane zostały „Bajki na codzień” W. Solskiego z ładnymi ilustracjami Danuty Laskowskiej. Wydawałoby się, że emigracyjni rodzice walcząc przeciw wynaradawianiu się swych maleństw rozchwytają tę uroczą, przystępną książeczkę w mgnieniu oka. Przypuszczenie okazało się mylne i wobec wymowy cyfr, walka z wynaradawianiem się emigracyjnego potomstwa chyba nie zostanie podjęta przez P.F.K.

Trzeba tu dodać, że dzięki akcji rodzin w Kraju, młodzież emigracyjna ma zapewniony dopływ klasyków polskich, których w Polsce wydaje się dużo, ładnie i tanio. Z tego względu P.F.K. nie uwzględnia ich w swojej działalności.

Nie uniknie się chyba tutaj banalnego już dziś twierdzenia o rozdźwięku pomiędzy młodszym i starszym pokoleniem emigrantów. Przerzucając książki P.F.K., jak też recenzje o nich pisane, które są miarą i wyrazem reakcji na nie, niesposób nie zauważyć tego rozdźwięku. Nie jest to kwestia rozbieżności wieku, ale braku ciągłości wrażeń i wspomnień. Pokolenia trzeba dzielić na tych, którzy pamiętają Polskę przedwojenną i na tych, którzy jej nie pamiętają — na tych, którzy chodzili w Warszawie na ciastka do Lardellego czy Ziemiańskiej i tych, którym to nic nie mówi i zbytnio ich nie obchodzi. Pokolenia te dzielą się na tych, którzy nie zauważają swego obecnego otoczenia, osadziwszy wspomnienia w pamięci, jak w bursztynie, i na tych, dla których żadne inne otoczenie, oprócz tego, w którym się znajdują, nie istnieje.

Dla tych „młodszych” trochę zaskakującym może być fakt, że np. wiersze Hemara, niewątpliwie miłe, o aspiracjach bardziej kabaretowych niż literackich, mogły się okazać *best-seller*'em. W wierszu opublikowanym parę lat temu, pt. „Nienazwane Święto” (o 31-szym sierpnia) Hemar pisze:

Dwadzieścia cztery lata temu?

Czas się myli.

*Dwadzieścia cztery lata — znikły w jednej chwili.
Noc londyńska sprzed oczu odpywa coraz dalej,
A ja znów, z przyjaciółmi, wśród zieleni Alej,
Znowu szczęśliwy, znowu wolny, znowu młody,
Idę środkiem pokoju, idę środkiem pogody,
Idę środkiem mojego, nienazwanego święta,
O którym nikt nie myśli i nikt nie pamięta.*

Taki np. Bogdan Czajkowski, młody poeta z grupy „Kontynentów” patrzy się na ten okres zupełnie inaczej. Pisze on:

*Płomień zostawiał popiół,
Popioły zbierały wiatry*

*W urny powietrznych trąb.
W popiele grzebał człowiek
Szukając spalonych czasów.*

(Z „Metaforyzacje Dzieciństwa”)

W innym wierszu „Polonez” Hemar każe nam:

*... nastuchiwać — kiedy z polskiej strony
Odezwie się głos ludzi wolnych — ludzi dumnych —
Ludzi mądrych po szkodzie — po szkodzie rozumnych —
Nauczonych lekcjami niewoli i biedy.
Kiedy oni tchu w płuca nabiorą i kiedy
Podniosą krzyk majowy, śpiew niezapomniany:
Wiwat Sejm! Wiwat Naród! Wiwat wszystkie Stany!*

A oto Zbigniew Herbert, poeta piszący w Kraju:

*Odchodzę do moich spraw Dziś w nocy urodzi się
gwiazda Hamlet Nigdy się nie spotkamy
to co po mnie zostanie nie będzie przedmiotem tragedii*

*Ani nam witać się ani żegnać żyjemy na archipelagach
a ta woda te słowa coś mogą coś mogą książkę*

(Z „Tren Fortynblasa”)

Nie chodzi o to, że takich wierszy jak Hemara już „się” nie pisze. To jest sprawa do dyskusji dla krytyków i teoretyków poezji. Jest jednak jasne, że w młodszych pokoleniach już się nie operuje pewnymi pojęciami.

Wystarczy przeczytać parę recenzji z książek wydanych przez P.F.K., aby zauważyć niesłychanie nie-teraźniejsze, zakrawające na egzotykę, reakcje recenzentów i przypuszczalnie również i większości czytelników. Hemar np. recenzując Wierzyńskiego książkę „Moja prywatna Ameryka” używa tego rodzaju słów: (Wierzyński) „Pisze prozą męską, niedbałą o efekt, ale dbałą o klarowność i jasność wyrazu”. Cóż to właściwie znaczy ta męska proza? Szukamy więc w Wierzyńskim męskiej prozy — znajdujemy ciekawe, urocze opowiadania pisane piękną polszczyzną, faktycznie — prozą o tendencjach poetyckich — ale czyżby ona była zaraz męska? albo żeńska? W recenzji z książki „Talizmany i Wróżby” St. Balińskiego, M. Czuchnowski pisze: „Jest doprawdy coś fascynującego w tej literaturze operującej czystą fantazją poetycką. Jest w niej ten gatunek esencji nerwowej, której żadne inne gatunki prozy nie posiadają. Bez niej piarstwo polskie byłoby niepewne”. Brzmi to zastanawiająco i tajemniczo! Cóż to jest ten wspaniały eliksir, ta esencja nerwowa, bez której piarstwo polskie byłoby niepewne?

Jeżeli tego rodzaju styl w literaturze i krytyce trąci staroświecczyną, to nie jest on jednak pozbawiony pewnego uroku. Można się dziwić ludziom zasklepionym tak mocno w przeszłości, we wspomnieniach, dla których znaczenie i sens życia zawiera się nadal w wypadkach które działy się przed wojną i w czasie jej trwania. Jest jednak niezaprzeczalnym faktem, że dla wielu emigrantów czas stanął z końcem drugiej wojny światowej i to co działo się potem i dzieje się teraz jest bez specjalnego znaczenia. Hemar w wierszu o dzisiejszej tematyce „Tristan da Cunha” pisze:

*„Tristan da Cunha” — jak gdyby
Dźwiękła koncha eolska.
Nie tak zwyczajnie jak u nas —
Galicja
— czy Lwów
czy Polska...*

To chyba, między innymi, tłumaczy popularność Hemara, nie tylko jego lekkostrawny, rymowany styl, ale to głębokie wycucie, czego jego odbiorcom potrzeba. To wycucie jest również udziałem p. Sakowskiego, który wydaje książki tego typu ludzi, dla podobnie myślących i czujących odbiorców.

Celem P.F.K. jest wydawanie książek dla jak największej ilości czytelników. Popiera ona też autorów, którzy by nie mieli możliwości wydawania swych utworów gdzie indziej, niekoniecznie z przyczyn politycznych. Wydaje się debiuty — np. „Wojna z wysokości siodła” L. Sapiehy, nowości, jak Z. Jabłońskiego „Nad rzeką Amen”, lub W. Lasockiego „Zwierzęta i żołnierze”. Niektóre pozycje zamawia się u autorów, tak było z „Nawrócony w Jaffie” Hłaski. W *hardback*’ach realizują się plany bardziej ambitne. Po rozchwytej angielskiej wersji „Pana Tadeusza” są plany dalszego kontynuowania wydawania naszych klasyków po angielsku. Jako następna pozycja zaplanowane są „Dziady”. W tym roku jeszcze ma się ukazać Hemara przekład Sonetów Szekspira. Książka zawierać będzie obok tłumaczeń teksty oryginałów. Oprócz serii beletrystycznych planuje się wydanie zbioru najlepszych esejów drukowanych w „Wiadomościach” w latach 1940-1965; antologii różnych artykułów o socjalizmie europejskim i wybór wspomnień żołnierzy A.K., dokonany pod kątem widzenia współpracy polskiego ruchu podziemnego z Zachodem. P. Sakowski przygotowuje tom prozy J. Lechonia we własnej redakcji, liczy że zbierze się tego około 400 stron druku. Te materiały mają wejść w skład zupełnie nowej serii. Reakcja i oddźwięk z jakim się spotka ta ostatnia inicjatywa wśród czytelników zadecydują o dalszych planach wydawnictw P.F.K.

Działalność wydawnicza Polskiej Fundacji Kulturalnej prowadzona jest z myślą o szerokich rzeszach emigracyjnych i ich potrzebach czytelniczych.

Jest to działalność próbująca ugruntować polskość i polskie słowo na emigracji. Baza taka jest istotna dla wszelkiej działalności politycznej jak również awangardowo-artystycznej.

Magdalena CZAJKOWSKA

Nadeślane nowości wydawnicze

- SCHLEYEN (Kazimierz). *Lwowskie gawędy*. Ilustrował Marek Gramski. Opr. muzyczne dra Czesława Halskiego. Str. 158 i 2 nlb. Plan m. Lwowa. (Wyd. GRYF, Londyn, 1967).
- JANTA (Aleksander). *Księga podróży, przygód i przypomnień*. Okładka Danuty Laskowskiej. Str. 240. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1967).
- KIERSNOWSKI (Ryszard). *Reportaż spod ciemnej gwiazdy*. Wspomnienia korespondenta wojennego. Okładka Tadeusza Terleckiego. Str. 240. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1967).
- MORAWSKI (Kajetan). *Wczoraj*. Pogadanki o niepodległym dwudziestoleciu. Str. 238 i 2 nlb. Okładka T. Terleckiego. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1967).
- NAGLEROWA (Herminia). *Wierność życiu*. Powieść. Opracował i wstępem opatrzył Tymon Terlecki. Str. 237 i 3 nlb. Okładka — Feliks Matyjaszkiewicz. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1967).
- PRZYBOROWSKI (Henryk). *Raport karny*. Zbiór opowiadań. Str. 240. Okładka — Irena Ludwig. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1967).
- LESZCZA (Jan). *Konie drewniane*. Poezje. Str. 48. Rysunek na okładce Krystyny Sadowskiej. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, styczeń 1967).
- MAREK (Zdzisław). *W cieniu*. Poezje. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1967).
- WHITMAN (Walt). *Liście traw*. Poezje w przekładzie Jadwigi Lipińskiej. Str. 34. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1966).
- KWIATKOWSKI (Jerzy). *485 dni na Majdanku*. Str. 504. (Wyd. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin, 1966, cena zł. 30,00).
- Studia Estetyczne*. Tom III. 1966. Str. 405 i 7 nlb. (Wyd. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1966, cena zł. 98,00).
- HOUBEN (Robert). *Uwagi o polityce*. Str. 128. (Wyd. „Odnowa”, Londyn, 1967).
- BRAUN (Jerzy). *Moja matka*. Fragmenty poematu. Str. 96. (Wyd. „Odnowa”, Londyn, 1967).
- HUXLEY (Aldous). *Eseje wybrane*. Wybrał, przełożył i wstępem opatrzył Jan KEMPKA. Str. 191. (Wyd. Perspectives in Culture, Nowy Jork, 1966).
- ANDRZEJEWSKI (Jerzy). *Cendres et diamant*. Roman traduit du polonais par Georges Lisowski. Str. 362 i 6 nlb. (Wyd. Gallimard, Paris, 1967, cena F. 20,00).
- ANDRZEJEWSKI (Jerzy). *Sautant sur les montagnes*. Roman traduit du polonais par George Lisowski. Str. 277 i 5 nlb. (Wyd. Gallimard, Paris, 1967, cena F. 12,00).

Humor krajowy

PYTANIA I ODPOWIEDZI

- Jaka jest różnica pomiędzy studentem chińskim a polskim?
- Pierwszy czyta Mao, a drugi czyta mało.



- Czy sprawnie działa PZPR?
- Jak każdy import z ZSSR.

Z PRZYSŁÓW LUDOWYCH

... Tym chata bogata co dokradnie tata...



W Warszawie mówią, że po wizycie w Polsce wysłannika Watykanu, Casarolego, jeden z biskupów westchnął: „Jam nie z soli, ani z roli, ale boli Casaroli...”

Z ŻYCIA CODZIENNEGO

Tak jak na Zachodzie również i w Polsce istnieje instytucja żłobków, którym pracujące kobiety powierzają swoje małe dzieci „na przechowanie”. Odbierają je wracając z pracy do domu. W jednym z takich żłobków pod słuchano następującą rozmowę:

Matka do zarządzającej: — Proszę Pani, bardzo mi się spieszy, jeszcze nie nie kupiłam na kolację, przysłałam po mojego synka.

Zarządzająca: — Chwileczkę, zaraz go Pani przyniosę.

Po chwili wraca i wręcza czekającej niemowlę.

Matka: — Proszę Pani, co mi Pani przyniosła, to nie moje dziecko!

Zarządzająca: — Niech Pani nie krzyczy, nie ma powodu do nerwów, co Pani za różnica i tak go Pani jutro rano odniesie...



Młody człowiek stara się o wyjazd na placówkę zagraniczną. W związku ze swoim podaniem wezwany jest na „interview” do Min. Spraw Wewnętrznych. Przed powzięciem decyzji musi być sprawdzone dokładnie pochodzenie młodego człowieka.

— Gdzie jest Pana ojciec? — pyta urzędnik.

— Nie żyje.

— A co robił za życia?

Kaszał — pada odpowiedź.

— Cóż mi tu Pan za głupstwa opowiada, — denerwuje się urzędnik — ja się pytam co Pana ojciec miał za życia.

— Gruźlicę...

— Przecież z tego nie można żyć — krzyczy urzędnik.

— To też mówię przecież, że umarł — odpowiada spokojnie młody człowiek.

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Nancy, 13 kwietnia 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

W nrze 4/234 „Kultury” przeczytałem dziś ze zdziwieniem artykuł prof. Wacława Lednickiego pod tytułem „Moja odpowiedź Z. Markiewiczowi”.

Znany rusycysta w dwustronicowym wystąpieniu z okazji mej recenzji z pracy B. Białokozowicza (p. nr 1/2-231/232 „Kultury”) w specyficzny sposób streścił moje wypowiedzi, zarzucając mi ponadto niezajomość jego prac, których tytuły cytuję.

By odpowiedzieć na ten poważny dla naukowca zarzut, zmuszony jestem przytoczyć jedno zdanie z oskarżenia prof. Lednickiego pod moim adresem: „Twierdzi on (ścił. Markiewicz) w swej recenzji, że Białokozowicz polemizuje ze mną, że zarazem, potwierdzając niektóre moje wnioski, jeśli chodzi specjalnie o opowiadanie Tołstoja „Za co?”, rozszerza znacznie stan wiadomości o genezie tego utworu” i, jak oświadcza p. Markiewicz, zachodzi potrzeba sukursu dla „rusycysty z Berkeley”.

By poddać analizie powyższe zdanie prof. Lednickiego należy rozbić je na trzy części:

1) „Twierdzi on w swej recenzji, że Białokozowicz polemizuje ze mną”. Na str. 139, pisząc o pracy Białokozowicza, prof. Lednicki stwierdza wyraźnie: „występuje on z zastrzeżeniami, *polemizując* z moimi interpretacjami i wnioskami (podkreślenie moje — Z. M.)”.

2) W drugim członie zdanie prof. Lednicki wyraża się: „potwierdzając niektóre moje wnioski, jeśli chodzi specjalnie o opowiadanie Tołstoja „Za co?”, „rozszerza znacznie stan wiadomości o genezie tego utworu”. W mej recenzji (str. 227) piszę: Białokozowicz, potwierdzając dawniejsze, *trajne* (podkreślenie moje — Z. M.) przypuszczenie Lednickiego, i td. W zdaniu tym stwierdzam *najwyraźniej* pionierskie zasługi prof. Lednickiego. Jeśli zasób informacji przytoczonych przez Białokozowicza, poświęcającego więcej uwagi odnośnym ustaleniom w *dzisiejszej* literaturze o Tołstoju jest, moim zdaniem, obfitszy, nie ujmuje to w niczym zasług pierwszego badacza.

3) Wreszcie trzeci człon: „i, jak oświadcza p. Markiewicz, zachodzi potrzeba sukursu dla „rusycysty z Berkeley” jest, niegodną uczzonego, trawestacją mej wypowiedzi. Na str. 226 wyraziłem się: „Oczywiście *nie jest* moim zadaniem *przychodzić w wątpliwy sukurs* rusycystie z Berkeley (podkreślenie moje — Z. M.). Przymiotnik „wątpliwy” świadczy, że cenię wysoko autorytet prof. Lednickiego jako rusycysty *nie potrzebującego obrony*”.

Jak by w nagrodę za określenie „najwybitniejszy rusycysta polski między dwiema wojnami” i szereg szacunkiem nacechowanych uwag pod jego adresem, spotkał mnie zarzut, że wymieniłem jego prace, lecz zapewne nie zadałem sobie trudu przeczytania ich i tp.

W ciągu mej ponad 30-letniej pracy naukowej trzy razy miałem do czynienia z prof. Lednickim. Nie wierząc od dawna ogólnie znanym w Europie, Ameryce i Afryce sądom o jego „nadwrażliwości”, starałem się zrozumieć jego postępowanie, „parząc się” za każdym razem.

Istnieje francuskie powiedzenie: *Celui qui tombe deux fois dans le même fossé mérite la mort*. Nie sądzę bym założył na nią. nie wyciągając wniosków po pierwszym incydencie ze swoistej cechy charakteru prof. Lednickiego. Niemniej mój oskarżyciel może być spokojny; wyrażałem się zawsze z szacunkiem o jego pracach. Odtąd postaram się zapomnieć o jego istnieniu.

Przepraszam za długi list i łączę wyrazy szczerzego szacunku.

Zygmunt MARKIEWICZ

SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego A. Pomorski

Rp.

Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)
Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)
Persantin 75 dragées (NIEMCY)
Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)
Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)
Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966

Dr. Med. K. Kratowski
Podpis i stempel lekarza

*P.S. Doradzą załatwić
przez TAZAB w Londynie, bo
wykona natychmiast!*

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

New York. 100 East 10th Str. N.Y.3.
Tel.: ALgonquin 4-4161.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CHIswick 1860

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”. Wacław IWANIUK,
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2^e Trimestre 1967.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Celandlaan 50, Amsterdam; tél. : 1533311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont, K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, tél. : HU 8-5224; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W. T. Drymmer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; Stefan Kozlowski, 1212 Donald Ave., Lakewood, Ohio 44107; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book Co 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11.....	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 143

BONIFACY MIAŁZEK

ZIEMIA OTWARTA

P o e z j e

Str. 40

Cena egz. 6 F (dol. 1,25; 9/-)



TOM 144

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

POLITYCZNE NEUROZY

Jak należy ustosunkować się do Rosji? Jakie błędy popełnili powstańcy węgierscy? Gdzie leżą źródła naszej anty-rosyjskiej neurozy? Na powyższe pytania, i na wiele innych, stara się dać odpowiedź autor w swoim nowym tomie esejów.

Str. 192

Cena egz. 13,50 F (dol. 3,00; 20/-)



TOM 44

BORYS PASTERNAK

DOKTOR ŻIWAGO

Nowe wydanie głośnej powieści, wraz ze
**STENOGRAMEM OGÓLNEGO ZEBRANIA
PISARZY MOSKIEWSKICH**

z dnia 31 października 1958 r.
na którym potępiono Borysa Pasternaka za wydanie zagranicą
„DOKTORA ŻIWAGO”

Przekład *Pawła Hostowca.*

Wiersze oraz Stenogram w przekładzie *Józefa Łobodowskiego.*

Str. 544

Cena egz. 26 F (dol. 5,50; 38/6)

Cena 5,00 F